

Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem
w roli głównej



DZIESIĘCIU MULAŃKÓW



**Przypadek
chodzi
po ludziach...**

Jacek
Getner

DZIESIĘCIU
MULATKÓW

L  R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2023

Niniejsza powieść jest zmienioną i uzupełnioną wersją książki
Jacka Getnera „Pan Przypadek i kryminaliści” (Warszawa, 2018)

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023

© Copyright by Jacek Getner, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Iwona Huchla

Korekta: Agnieszka Mańko, Magdalena Białek

Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce: © wannawit, © julymilks, © olenadesign/123rf.com

Zdjęcie Jacka Getnera: © Maciej Zienkiewicz Photography

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-04-3 (EPUB); 978-83-67654-05-0 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

tel:691962519

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L I R A
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział I. Dziesięciu Mulatków
Rozdział II. O'Isnienie
Rozdział III. Cesarski blef

Wszyscy pisarze kryminałów występujący w tej książce to postacie fikcyjne, poza tymi, którzy noszą własne nazwiska.

Podobieństwo pozostałych do prawdziwych osób jest niezamierzone.

ROZDZIAŁ I

Dziesięciu Mulatków

Wszystko, co najmodniejsze w stolicy, siedziało każdego popołudnia i wieczora w Diabelskim Kotle. Autor daruje sobie jednak szczegółową charakterystykę bywalców tego jakże popularnego lokalu. Współczesne mody mają bowiem to do siebie, że przemijają zwykle tak szybko, iż zanim skończy tę książkę, wszystkie ubrania, fryzury, poglądy oraz każda inna rzecz, z którą się manifestacyjnie obnosili, skończy już na śmietniku historii, odchodząc w słuszne zapomnienie. Za cały ich opis niech wystarczy to, że byli to ludzie zawsze na czasie, a Czytelnik w trakcie lektury nałoży sobie na ich osoby najnowsze trendy.

Taki też był Arnold Niedobijczuk, personal manager Polskich Książek, siedzący nad sojową latte i czytający w „Nowym Życiu” o głośnym ostatnio zabójstwie Eleonory Pahl: *Zwłoki denatki (65 l.), znanej kolekcjonerki dzieł sztuki nowoczesnej, zostały znalezione w jej mieszkaniu. Policja na razie nie ustaliła, co było motywem zbrodni. Z mieszkania zniknęło niewiele przedmiotów, między innymi niezwykle cenna rzeźba „Wenus i trzech kochanków” Pabla Krulikowskiego. Głównym podejrzanym jest według policji wynajmujący u denatki pokój Jan Kowalski (25 l.) (zgodził się na podawanie nazwiska)...*

„A dlaczego miałyby się nie zgodzić! – pomyślał Arnold Niedobijczuk, odkładając gazetę. – Przecież Kowalskich tu jak psów. Za to Afropolaków tyle, co kot napłakał...”

Ta myśl spowodowała, że znów zaczął się zastanawiać, do kogo w tej chwili zadzwonić z pytaniem o pracę. Nie, nie był bezrobotny. To znaczy jeszcze nie był, bo jego wypowiedzenie znajdowało się zapewne w komputerze działu kadr światowego giganta wydawniczego – Universe Book, które pośrednio, przez spółkę Polskie Książki, było jego pracodawcą. Wręczą mu je najpóźniej za dwa tygodnie. Wtedy zadzwoni do niego z Londynu pan Jonas Mtambo i zapyta, czy już zatrudnił w dziale redakcyjnym kogoś co najmniej z pięćdziesięcioprocentowym udziałem afrykańskich korzeni, a Niedobijczuk będzie mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce. Na nic się zdadzą tłumaczenia, że w Polsce ciemnoskórych mieszkańców jest ułamek procentu, a on już i tak dokonał cudów, znajdując dziewięć osób pracujących obecnie w dziale dystrybucji, promocji i marketingu oraz handlowym.

Pana Jonasa Mtambo nie wzruszy również to, że Polskie Książki to w tej chwili jedyna firma w tym kraju, gdzie biali heteroseksualni mężczyźni stanowią ledwie jedną piątą zatrudnionych, a Arnold Niedobijczuk musiał się nieźle namęczyć, wyszukując przedstawicieli odpowiednich mniejszości rasowych i erotycznych, czasem nawet przymykając oko na to, że ich kompetencje nie do końca odpowiadają powierzonym zadaniom. Niestety, w wypadku pracownika działu redakcji wytyczne globalnej czapy były

równie nieubłagane jak przy doborze rasowym. Korektorem mógł zostać tylko ktoś, kto ukończył miejscową filologię. Czyli w Polsce musiał być polonistą.

Jeszcze kilka tygodni temu Arnold Niedobijczuk miał nadzieję, że przeglądając spisy absolwentów filologii z całego kraju, w końcu natknie się na taką osobę. Ale żadne z nazwisk z ostatnich dziesięciu lat nie dawało nadziei na afrykańskie korzenie ich właściciela. Dlatego pogodzony był już z tym, że wkrótce straci pracę. Musiałby się zdarzyć cud, a jako zdeklarowany materialista nie uznawał sił nadprzyrodzonych. Chociaż z drugiej strony, gdyby Pan Bóg, w którego nie wierzył, zechciał mu ten cud zesłać, to on mógłby łaskawie w niego uwierzyć i nawet pójść kiedyś do kościoła. Może nie od razu na mszę, ale jajka poświęcić.

Ale cuda się nie zdarzają...

– U nas na polonistyce... – Arnold usłyszał ten tekst jednym uchem i zerknął w stronę stolika, skąd padły te słowa.

Zobaczył tam dwóch brodaczy z modnie ufryzowanymi włoskami, którzy słuchali trzeciego kolegi, odwróconego w tej chwili do Niedobijczuka plecami. Ten trzeci miał na sobie bluzę dresową z narzuconym kapturem i to pozwoliło personalnemu z Polskich Książek popuścić nieco wodze fantazji i zobaczyć w nim czarnoskórego rapera po polonistyce. Dlatego kiedy Arnold ujrzał dłoń w kolorze hebanu sięgającą po szklankę na stoliku, pomyślał, że powinien ograniczyć nieco środki, którymi od czasu do czasu starał się poszerzyć swoją niezbyt wielką wyobraźnię. Na wszelki wypadek przetarł ręką oczy, ale palce wystające spod rękawów bluzy wciąż były czarne!

Niedobijczuk poczuł się nagle mocno wierzący i błyskawicznie stanął obok stolika, chcąc sprawdzić, jakiego koloru twarz kryje się pod kapturem. Nie mogło być wątpliwości. Wprawdzie w rysach pojawiał się jakiś ślad europejskości, ale dużo więcej widać w nich było afrykańskich korzeni.

– Mam cię! – zawołał ucieszony, a w duchu jeszcze dodał: „Mam dziesiątego Mulatka!”

Na wszelki wypadek chwycił też za ramię siedzącego, aby mu nie uciekł, a może aby ostatecznie się przekonać, że nie jest wytworem jego wyobraźni.

– Ja tego nie zrobiłem! – zaprzeczył energicznie Mulat.

– Zostaw go, rasisto! – krzyknęła nagle histerycznie dziewczyna siedząca obok Mulata. Miała na policzku trzy świeże blizny, jak kiedyś Bruce Lee w filmie Wejście smoka, a sama wyglądała nie mniej groźnie niż mistrz sztuk walki. – To nie on ją zabił! To jej wnuczek faszysta albo ten sąsiad trep!

Wrzeszczała dalej, ale Niedobijczuk tego nie słyszał, bo był jak w transie. Chwycił mocniej Mulata i chciał go zaciągnąć do swojego stolika. I może by mu się to udało, ale dziewczyna go odepchnęła. Stracił równowagę. Posiadacz bluzy wykorzystał to i błyskawicznie ruszył do drzwi wyjściowych.

Niedobijczukowi zrobiło się gorąco. Jego dziesiąty Mulatek wybiegł na ulicę. Rzucił się za nim, roztrącając wszystkich po drodze. Na ulicy zauważył, jak chłopak znika za rogiem. Krzyknął: „Stój!”, ale uciekający nawet się nie zatrzymał. Za to Arnold miał wrażenie, że nie jest jedyną goniącą osobą, co nawet go ucieszyło, bo zwiększało szansę sukcesu. A ta nie była zbyt wielka. Uciekał przed nim facet młodszy o piętnaście lat, na dodatek wywodzący się z kontynentu, z którego, bezpośrednio lub pośrednio, pochodzili najlepsi sprinterzy i długodystansowcy świata.

Szczęście zdawało się jednak sprzyjać Niedobijczukowi. Mulat potknął się o krawężnik i choć szybko się podniósł, to wyraźnie kulał, a na dodatek brakło mu koncepcji, dokąd ma

uciekać. Dlatego po dwóch minutach Arnold, ledwie dysząc, stanął naprzeciwko niego w ciemnym zaułku.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię. Mam dla ciebie propozycję świetnej pracy. Posłuchaj...

Niestety, zanim Niedobijczuk zdołał wyłożyć swoją ofertę, ktoś go uprzędził.

– Nie ruszać się, komisarz Dynda, Komenda Stołeczna! Podnieś ręce i odwróć się do ściany! – Zza pleców personalnego Polskich Książek odezwał się zdecydowany głos. – Janie Kowalski, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Eleonory Pahl!

Młody bóg seksu, obecnie wciąż w stanie absolutnego spoczynku, przeciągnął się leniwie. Patrzył przy tym na swojego przyjaciela, który właśnie, jak po każdym biegu, rozciągał się przy jego biurku stojącym w kancelarii Kolska & Sakowicz. Tak naprawdę jednak nie zauważał jego obecności pochłonięty własnymi egzystencjalnymi przemyśleniami. Dlatego czekał spokojnie, aż Jacek skończy wykonywać swoje ćwiczenia, i dopiero wtedy westchnął refleksyjnie:

– Wiesz, nie mogę uwierzyć, że za dwa tygodnie już nie będę kawalerem. – Błażej Sakowicz zabębnił palcami w blat biurka. – A najdalej na początku czerwca będę już ojcem. Kończy się człowiekowi młodość! Dobrze, że chociaż jej trochę poużywał.

– Nie marudź, powiedz lepiej, jak było w tym Głogówku.

Z tego miasta pochodziła rodzina przyszej żony młodego mecenasa, redaktor Anny Sobani.

– Całkiem miło, bardzo sympatyczne miasteczko – ożywił się Sakowicz. – Mają przepiękny pałacyk Oppersdorffów. Bardzo ciekawa kaplica Grobu Pańskiego. No i śliczne kościoły. Jeden mieści się w dawnym szpitalu, niesamowicie wygląda od frontu. A dwa większe stoją koło rynku, takie więcej barokowe, a jeden to właściwie rokoko. No i domek loretański jest w jednym z nich. Dawniej był osobno, ale dobudowali skrzydło kościoła i teraz to taka kaplica w środku, kapitalnie wygląda...

– Przecież nie pojechałeś tam zwiedzać – przerwał mu detektyw, który zwykle chętnie wysłuchiwał podróźniczych ciekawostek dostarczanych przez przyjaciela, ale teraz bardziej interesowały go inne sprawy. – Powiedz lepiej, jak rodzina Ani.

– Bardzo sympatyczna. Ojciec mieszka jeszcze trochę w Opolu, a matka już na stałe w Głogówku, bo się zajmuje babcią Ani. Ona jest raczej taka cierpka. Ania opowiadała, że nie lubiła do niej przyjeżdżać w dzieciństwie, bo jak się babcia zdenerwowała, to na nią krzyczała po niemiecku. Ale w sumie spoko kobieta, zrobiła nam prawdziwego śląskiego kołoczka, żebyśmy chodzili z nim po sąsiadach i tak symbolicznie na ślub zapraszali, jak to kiedyś bywało.

– Rozumiem, że tobie się podobało, a Ance jakby mniej? – domyślił się Przypadek.

– Była wściekła, ale wiesz, że dla mnie tradycja rzecz święta – zapewnił absolutnie serio młody mecenas. – Nie mogłem sobie czegoś takiego odpuścić. A tak w ogóle ten kołocz to pychota, zupełnie niepodobny do naszego. W sensie do kołoczka wschodniego. Ten jest płaski zupełnie. Wziąłem dla ciebie przepis, żeby pani Irmina mogła ci go upiec...

– Obawiam się, że przez jakiś czas nie będzie to możliwe – westchnął smutno Jacek, który był absolutnym wielbicielem wszelkich słodkości wytwarzanych przez jego sąsiadkę, panią Bamber. – Wybiera się niedługo w podróż gdzieś bardzo daleko.

– O, a gdzie konkretnie?

– Tego jeszcze nie wiem. Zresztą ona sama nawet jeszcze nie wie, że się wybiera.

– Aha. A ty to już wiesz. To znaczy wiesz, że się wybiera. – W głosie Błażeja nie było nawet cienia zdziwienia. Przez trzydzieści lat zdążył się przyzwyczaić do tego, że jego przyjaciel wiedział o innych ludziach to, czego oni sami nawet by nie podejrzewali. Dlatego Sakowicz junior po prostu ironicznie podkreślił oczywisty dla niego fakt. – Kiedy masz to przesłuchanie u Sapkowskiej?

– Za trzy tygodnie.

– A kiedy wraca Malwina z... Basią?

– Dokładnie nie wiem – przyznał smutno Jacek. – To jest trochę skomplikowane, trzeba załatwić różne formalności. Ale pewnie zjawia się najwcześniej miesiąc po waszym weselu.

– Właśnie, *à propos* tego naszego wesela. – Błażej miał zafrasowaną minę. – Nie wiesz, co się dzieje z Marzeną? W końcu macie być naszymi świadkami, a ona jakby panicznie unikała rozmowy na twój temat. Dzisiaj też, gdy się dowiedziała, że masz przybiec do mnie, wyszła pod byle pretekstem.

– Na dodatek siedzi w kawiarni naprzeciwko i czeka, aż wybiegnę.

– Aha. – Tym razem jednak w głosie młodego mecenasa wyczuć można było pewne zdziwienie. – A możesz mi zdradzić dlaczego? Nie chcę, broń Boże, wtrącać się w wasze prywatne sprawy, ale sam rozumiesz, Marzena jest moją współniczką. Wiem, że kiedyś udawała twoją narzeczoną, ale zawsze mnie przekonywałaś, że tak na serio nic was nie łączy. Więc dlaczego...

– To jest jeszcze bardziej skomplikowane niż powrót Basi – odpowiedział Jacek po chwili zastanowienia. – Muszę to sam rozwiązać i nie mogę za dużo o tym mówić. – Głos przyjaciela brzmiał na tyle poważnie, że młodemu mecenasowi pozostawało tylko pokiwać głową i zakończyć temat stwierdzeniem:

– Jasne. Ale powiesz mi, dlaczego postanowiłeś do mnie przybiec?

– Kiedyś prowadziłeś sprawę dla Polskich Książek i potrzebuję tam kontaktu.

– Ciągłe chcesz wydać kryminał swojej mamy? Kontakt mogę ci dać, ale to raczej nie będzie w niczym pomocne.

– Na razie to ja mogę być im pomocny. Dowiedziałem się, że bardzo zależy im na wyciągnięciu z tarapatów faceta podejrzanego o zabicie Eleonory Pahl.

– A, rozumiem. Ty im go wyciągniesz, a oni wydadzą książkę twojej mamy, ten taki retrokryminał o przygodach twojego pradziadka? – domyślił się Błażej.

– Mniej więcej tak. Dlatego dowiedz się, komu najbardziej zależy na wyciągnięciu tego podejrzanego.

– Umówić cię z nim?

– Nie. Ten ktoś musi myśleć, że to jemu powinno bardziej zależeć niż mnie. Załatw mi tylko numer jego komórki.

Podpułkownik w stanie spoczynku Ernest Ciachorowicz włożył klucz do zamka swoich drzwi i dopiero po kilku minutach zorientował się, że go nie przekręcił, wciąż bowiem wpatrywał się w strzepy policyjnych taśm zabezpieczających mieszkanie naprzeciwko. A tak naprawdę starał się przeniknąć do jego wnętrza, po którym jeszcze niedawno chodziła Eleonora Pahl. Właściwie nie chodziła, ale zwiernie unosiła się nad podłogą, a każdy jej uśmiech rozświetlał nie tylko przestrzeń między czterema ścianami, lecz także mroki serca pana Ernesta.

– Należało się jej – mruknął pod nosem Ciachorowicz, gdy wreszcie ocknął się z marzeń i przekręcił klucz w zamku. – Nie trzeba było się uśmiechać do tego hebana i wynajmować

mu pokoju. – Skrzywił się na wspomnienie przystojnego Kowalskiego.

Pan Ernest wszedł do swojego mieszkania, które ponownie wydało mu się puste i pozbawione jakiegokolwiek treści. Tak jak kilkanaście lat temu, kiedy – na swoją zgubę – przeprowadził się tutaj po śmierci żony. Myślał, że już nigdy więcej nikogo nie pokocha. I z całą pewnością tak by się stało, gdyby nie zamieszkał w sąsiedztwie Eleonory Pahl. To ona sprawiła, że niemal w jednej chwili jego serce zaczęło szybciej bić. Choć był już po pięćdziesiątce, poczuł młodzieńczy wigor i siły witalne, których nie pamiętał od czasu studiów.

Z zadowoleniem zauważał, jak z miesiąca na miesiąc ubywa mu zbędnych kilogramów, choć nie korzysta z żadnej diety ani nie chodzi na siłownię. Miał wrażenie, że nawet siwienie jego włosów się zatrzymało, albo wręcz cofnęło, i znów jest całkiem atrakcyjnym brunetem. Nie była to zresztą li tylko jego wyobraźnia, bo nawet starzy znajomi z wojska podkreślali, że wygląda, jakby ubyło mu co najmniej kilka lat.

Niestety, wieku się nie oszuka, więc po roku intensywnej znajomości pan Ernest zaczął się czuć jak przekłuty balonik, z którego uszło powietrze. Jeszcze przez miesiąc próbował trzymać fason, choć coraz częściej łapała go zadyszka. W końcu poprosił Eleonorę, żeby nieco zmniejszyli intensywność ich znajomości. Oczywiście nie chciał się przyznać, że tempo jest nieodpowiednie dla jego wieku, zaśłaniał się chwilowymi problemami z sercem, ale jego sąsiadka tylko się uśmiechnęła. A potem usłyszał najgorszy wyrok, jaki może usłyszeć mężczyzna z ust ukochanej kobiety. Powiedziała: „Zostaniemy przyjaciółmi!”

Podpułkownik Ciachorowicz absolutnie się tego nie spodziewał. Na dodatek pani Eleonora nie ukrywała, że miejsce w jej sercu zajął teraz młody student resocjalizacji, któremu za symboliczną kwotę wynajęła odremontowany niedawno pokoiik. Dlatego pan Ernest, urażony do głębi, zerwał z nią wszelkie kontakty, a nawet przestał się jej kłaniać. To wtedy, ponad dziesięć lat temu, potłukł ramkę, w której ukryta była fotografia trzymana przez niego w tej chwili w dłoni.

„Boże, co to była za kobieta! – westchnął w głębi duszy, odstawiając na półkę zdjęcie oprawione już w nową ramkę, a jego serce znów zmiękło na wspomnienie sąsiadki. – Z taką to by można było na koniec świata pójść. Gdyby tylko chciała...”

Ale Eleonora Pahl już nie chciała. Po tym jak po roku milczenia zdecydował się wreszcie do niej odezwać, potraktowała go dość chłodno i poczęstowała słowami o „niedojrzałych smarkaczach po pięćdziesiątce”. Zniósł to pokornie, bo przez tych dwanaście miesięcy zrozumiał aż za dobrze, że życie bez choćby przelotnej możliwości ujrzenia jej uśmiechu nie ma dla niego najmniejszego sensu. Godził się więc przez kolejne lata na rolę przyjaciela, który musi opuścić mieszkanie swej ukochanej wtedy, gdy przychodzi ktoś aktualnie zajmujący miejsce w jej sercu, a najczęściej i pokoiik, który zwykłe wynajmowała studentom. I choć narastała w nim złość, długo nie potrafił się zdobyć na jakiś rozstrzygający krok. Nie upominał się o pieniądze, które podarował jej na zakup paru dzieł nowoczesnej sztuki. A na dodatek dał jej klucz do swojego mieszkania, aby mogła tam wejść zawsze, gdy będzie miała ochotę. I cieszył się jak głupi, że dołączyła go do pęku swoich kluczy, choć nigdy z niego nie skorzystała.

Tak, powinien dawno sprzedać swoje mieszkanie i wyprowadzić się daleko stąd. Teraz, po jej śmierci, nie jest już w stanie tutaj żyć. Każda chwila w tej kamienicy będzie mu przypominać Eleonorę. Najgorsze, że nie będzie mógł jej zapamiętać żywej, bo wciąż pod powiekami będzie miał obraz jej blond włosów zabarwionych czerwonobrunatną mazią, która wypłynęła z roztrzaskanej czaszki...

Dobrze, że się wtedy opanował, a jako przyjaciel wiedział, gdzie znajduje się najistotniejsza rzecz. Otworzył skrytkę pod blatem biurka i zabrał stamtąd najważniejsze dokumenty. Dzięki temu ten heban zapłaci za wszystko, co zrobił Eleonorze Pahl. Przez niego stała się inna. Wszystkich poprzednich znajomych traktowała bardzo lekko i Ciachorowicz wiedział, że szybko przeminą, a on sam będzie trwał przy jej boku jako przyjaciel.

Lecz z tym Kowalskim sprawa była całkiem odmienna. Eleonora z każdym dniem była coraz bardziej rozdrażniona, wyglądała coraz słabiej i dlatego nawet do Ciechocinka na podleczenie nerwów wyjechała wcześniej niż zwykle. Bała się jednak, że to nie pomoże, bo ten heban podobno używał wobec niej jakichś afrykańskich czarów. Tak przynajmniej twierdziła jego sąsiadka. Wprawdzie Ciachorowicz nie wierzył w żadną magię, ale fakty wydawały się mówić same za siebie...

Pan Ernest wziął do ręki figurkę afrykańskiego bożka płodności stojącą na półce obok zdjęcia pani Pahl. Sam nie wiedział, po co ją jeszcze trzymał. Zwłaszcza teraz, po śmierci Eleonory. Dobrze, że ci policjanci, którzy przesłuchiwali go po śmierci sąsiadki, nie zwrócili na figurkę uwagi, jeszcze by sobie pomyśleli nie wiadomo co. Ale teraz powinien ją jak najszybciej wyrzucić na śmietnik.

Arnold Niedobijczuk, przychodząc do gabinetu detektywa Przypadka, miał pewne wątpliwości, czy powinien się tu znaleźć. W końcu jeszcze niedawno był to wróg numer jeden ludzi na pewnym poziomie. Niemal wszystkie z nim kontakty groziły środowiskowym ostracyzmem. Irytował całą swoją osobą i zachowaniem, a niektórzy uważali nawet, że to jego ciągłe bieganie i przygotowywanie się niby do startu w maratonie to jakieś kpiny z kultu modnego na salonach biegizmu, walczącego o prymat z cyklizmem.

Wprawdzie ostatnio jakby nie cieszył się już tak fatalną opinią, ale podobno stacja Ekstra TV przygotowywała o nim jakiś wielki, demaskatorski film dokumentalny. Zaczęto szeptać, że „ten Przypadek” znów będzie na tapecie. Na razie nikt nie wydał wyraźnego zakazu kontaktowania się z nim, jednak każda wzmianka o detektywie kończyła się zastrzeżeniem: „Lepiej uważać!”

Dlatego gdyby nie kompletna beznadzieja sytuacji, w której znalazł się Niedobijczuk, z pewnością wyrzuciliby z komórki lakonicznego esemesa od Jacka, którego treść brzmiała: „Mogę uwolnić Kowalskiego. Czwartek, w samo południe, u mnie, Konecka 40/12. Przypadek”. Zamiast tego odpisał niemal natychmiast: „Będę”, gdyż nie miał wątpliwości, że jedyną osobą zdolną go uratować jest właśnie bezczelny detektyw. Był przy tym pewien, że zażąda on za swoje usługi niebotycznego honorarium, ponieważ legendy o jego wynagrodzeniu zaczynały się od pół miliona wzwyż. Niedobijczuk miał więc zamiar paść przed nim na kolana i błagać o jakiś rabat albo chociaż o rozłożenie płatności na raty. Nie przyszło mu jednak do głowy, że detektyw zgodzi się pracować dla niego za darmo, za to pod jednym dziwnym warunkiem. Widocznie tak kochał matkę, że gotów był dla niej na wszystko. Niedobijczuk poczuł nawet przez moment, że ma Przypadka w garści, więc uśmiechnął się bezczelnie, rozkładając ręce w geście bezradności.

– Wie pan, to nie jest takie proste. Pan rozumie, proces wydawniczy trwa, nie wiem, kiedy zdołamy umieścić książkę pańskiej mamy w kalendarzu.

– Ma się ukazać w maju, żeby mama mogła podpisywać egzemplarze na targach warszawskich.

– Pan żartuje? To za dwa i pół miesiąca. Nikt jeszcze tego nie czytał...

– Mama dostała od was odpowiedź, że książka, owszem, nie jest zła, ale w najbliższym czasie nie macie dla niej miejsca w planach wydawniczych, bo nie rokuje marketingowo. Czyli wiecie, że jest dobra, ale z jakichś powodów nie chcecie jej wydać. Być może dlatego, że autorka jest moją matką.

– To nie tak, nie rozumie pan. Taka odpowiedź jest standardowa, to po prostu grzeczna forma odmowy. Nie chcemy nikomu pisać, że stworzył beznadziejną książkę...

– Czytałem ją i uważam, że jest świetna.

– Pan nie może być obiektywny.

– Ma pan rację. Za to tylko ja mogę błyskawicznie wyciągnąć z więzienia pana Kowalskiego, dzięki czemu pan utrzyma swoją posesję, mogąc zatrudnić dziesiątą osobę o korzeniach afrykańskich.

– Skąd pan o tym wie? – spytał zaskoczony Niedobijczuk.

Jacek zamiast odpowiedzi pogładził swoją kulę jasnovidza, w tej chwili pozbawioną gustownego nakrycia w postaci melonika à la Poirot. Nie musiał zresztą nic mówić, gdyż wiedział, że osoba zatrudniona w wielkiej międzynarodowej korporacji, w której wszelką religię traktuje się jak gusła starszych pań, bez trudu uwierzy w to, że można zobaczyć tajemnicę życia i śmierci w szklanej bańce. Nie pomylił się, gdyż Arnold Niedobijczuk tylko pokiwiał głową w zabobonnym strachu i widać było po jego minie, że już nie myśli, iż ma nad detektywem jakąkolwiek przewagę.

– Aha... No tak, niepotrzebnie pytam. Ale musi pan zrozumieć, ja nic nie mogę. Jestem tylko personalnym i owszem, przy zatrudnianiu kogoś mógłbym pomóc. Ale w kwestiach wydawniczych niewiele mogę...

– Może pan. – Jacek uśmiechnął się wyrozumiale. – Niech pan nie będzie zbyt skromny... Pan nie jest tylko personalnym. Pan jest aż personalnym. Wie pan o każdym grzeszku i słabości pracowników swojej firmy. Gdy naprawdę panu na czymś zależy, potrafi pan wymóc na nich każde zachowanie.

– Szantaż nie leży w mojej naturze – uniósł się godnością Niedobijczuk.

– Zatem moja kula kłamała i się pomyliłem. – Jacek wstał i wyciągnął rękę w stronę swojego gościa, który jednak nie ruszył się z miejsca.

– Proszę mnie zrozumieć... Ja mogę panu zapłacić, może nie od razu pół miliona... Może byśmy ponegocjowali cenę?

– Chętnie, zwłaszcza że zwykle biorę dużo mniej.

– To znakomicie!

– Niestety, w tej chwili jedyną walutą, jaka mnie interesuje, jest wydanie książki mojej mamy. I wiem, że pan może to załatwić. – Przypadek ponownie pogładził swoją szklaną kulę.

– No dobrze, czasem coś rzeczywiście mogę. Ale chwilowo wykorzystałem swój limit. Ten Kowalski się zorientował, że bardzo mi na nim zależy, i zażądał, żeby od razu wydać mu jego kryminał. Chyba się w ogóle nie przejmuję, że mogą go skazać za morderstwo. I co z tego, że ja mu to teraz obiecałem, jak w więzieniu nic mu po tym? Ten kryminał w sumie nie taki zły, jak nad nim popracuje redaktor, to się da wydać. Tylko nie ma go jak promować, bo on się uparł wydać pod własnym nazwiskiem. A kto to jest Jan Kowalski? Kompletnie nikt! Gdyby chociaż zechciał to wydać pod nazwiskiem ojca. To był jakiś Mbape... Albo nie, Mzumi. Nie, jeszcze jakoś inaczej. W każdym razie po afrykańsku. No to promocja sama by się zrobiła. Ale on się uparł, że jest Polakiem. Rozumie pan?! – Po minie Niedobijczuka można było poznać, że akurat on kompletnie tego nie rozumie.

Za to Jacek odpowiedział ze spokojem:

– Absolutnie rozumiem.

– Naprawdę? – Niedobijczuk spojrział na niego z niedowierzaniem. Po chwili uznał jednak, że skoro rozmawia z kimś, kto uczynił swoim znakiem firmowym denerwowanie ważnych i poważnych osób, to rzeczywiście może on pojmować kogoś, kto dobrowolnie rezygnuje z możliwości, jakie daje przynależność do tak atrakcyjnej mniejszości, i upiera się na bycie członkiem tak niepopularnej większości. – Nieważne. W każdym razie w tym roku nie dam już rady, może w przyszłym.

– Da pan radę w tym. – Jacek po raz enty pogładził szklaną kulę, a Niedobijczuk stwierdził, że jeśli chce prowadzić z nim dalszą rozmowę, powinien wyrzucić ten jego jasnowidzki rekwizyt przez okno. Przypadek jakby odczytał jego myśli i uznał, że nie ma sensu dłużej dręczyć klienta. – Wiem to nie stąd – popukał w szkło – ale stąd, że ludzie są banalnie przewidywalni.

Marek Brytan, wnuczek pani Pahl, rozejrzał się nieco bezradnie po mieszkaniu należącym do jego babci. Znajdowało się tu wiele dzieł sztuki nowoczesnej, zarówno obrazów, jak i rzeźb, a także małych instalacji artystycznych, których sensu nie był w stanie pojąć. Gdy zobaczył je pierwszy raz, mając osiemnaście lat, a pani Eleonora wymieniała mu ich tytuły, parsknął tylko śmiechem i powiedział:

– One powinny być wystawiane wyłącznie podpisane, bo inaczej ktoś mógłby je wziąć za wieszak na ubranie albo dziwaczne i niewygodne krzesło.

– Po prostu nie rozumiesz sztuki współczesnej – oburzyła się pani Eleonora. – Jej nie pojmujesz rozumem, ale czuje całym ciałem, dostrzega wyobraźnią, wacha wszystkimi zmysłami. Ona nie przemawia do rozumu, lecz do całego naszego jestestwa... Zostaw! – krzyknęła, widząc, że wnuczka zainteresował jakiś metalowy element i że próbuje go wyjąć z większej całości. – Wiesz, ile to jest warte?!

– Nie znam się na cenie złomu.

– Za to byś mógł kupić porządny samochód!

Brytan odłożył żelastwo z szacunkiem i nigdy więcej nie śmiał się już z kolekcji sztuki nowoczesnej swojej babci. Może kiedyś dzięki tym kawałkom złomu będzie bogaty? Oczywiście gdy je odziedziczy, sprzeda je jak najszybciej, ale na razie postanowił się nimi nie interesować i nie krytykować ich. Jeszcze coś babci odbije i uzna, że nie jest godny, by je odziedziczyć? Z nią nigdy nic nie wiadomo. Dlatego pomijał milczeniem również afrykańskie nabytki z kilku wycieczek pani Pahl, które wprawdzie były raczej sztuką ludową niż nowoczesną, ale śmieszyły go na równi z tamtą.

Nie bywał tu zbyt często, gdyż pani Eleonora nie dbała specjalnie o podtrzymywanie stosunków rodzinnych. Z dziadkiem Marka rozstała się zaledwie pięć lat po ślubie, zostawiając go z małą córeczką, o której wychowanie niespecjalnie się martwiła. Była to chyba zresztą jakaś rodzinna przypadłość, bo mama Brytana również któregoś dnia się ulotniła i wszelki śluch po niej zaginął. Dlatego też chłopak wychowywany był przez ojca i dziadka, którzy stanowczo odradzali mu kontakt z panią Eleonorą.

W dzieciństwie widywał więc babcię rzadko, najwyżej dwa lub trzy razy w roku, zwykle gdzieś na mieście. Ona sama także nie paliła się do podtrzymywania kontaktów i skracala rodzinne spotkania, jak tylko mogła. Zmieniło się to niecałe dziesięć lat temu, zaraz po jego osiemnastych urodzinach, na które jego babcia wprosiła się sama i poprosiła, żeby mówił do niej „Elka” albo ewentualnie „mamo”, ale pod żadnym pozorem „babciu”. Dopiero wtedy Marek zobaczył, jak świetną jest tancerką i jak niespożyte ma siły. Jako jedyna wytrzymała

zabawę do białego rana, nie pozwalając zresztą nikomu usnąć na kanapie i puszczać z odtwarzacza najszybsze kawałki.

Od tego czasu pani Eleonora utrzymywała z wnukiem zdecydowanie intensywniejsze kontakty, choć i tak nie widywali się częściej niż raz w miesiącu. Rzadko też bywał u niej w mieszkaniu, choć zawsze, gdy wyjeżdżała do sanatorium, zostawiała mu klucze. Prawie nigdy jednak z nich nie korzystał, gdyż babcia kwiatków do podlewania nie miała, a sprawy administracyjne zrzuciła w tym czasie na swojego aktualnego lokatora.

– Gdzie mogła to schować... – wymruczał niezadowolony Marek i zaczął systematycznie przeszukiwać wnętrze. – Przecież policja tego nie znalazła. Musi tu być!

W ciągu następnej godziny Marek zajrzał za wszystkie możliwe sprzęty, obrazy i szafki, a także pod krzesła, biurko, dywan, parapet oraz stół. Przetrzęsł łazienkę, kuchnię i wszystkie pokoje. Na wszelkie możliwe sposoby poszukiwał jakiegoś niewielkiego sejfu, zwykłego prostego schowka, w którym można schować dokumenty. Bez rezultatu.

Pod biurkiem odkrył wprawdzie niewielką skrytkę w sam raz nadającą się do ukrycia tego, czego poszukiwał, była jednak pusta i Brytan wątpił, żeby policja z niej coś wyciągnęła. Gdyby bowiem znalazła obiekt jego pożądanego, na pewno by już o tym wiedział i zadaliby mu sporo pytań na ten temat.

– No gdzie to jest?! – zdenerwował się głośno Marek. – Przecież nie mogła ukryć tego u niego?! A może mogła...

Po schodach krętych do granic możliwości poszedł na górę i otworzył drzwi pokoju wynajmowanego przez Kowalskiego. Znajdował się on na byłym poddaszu służącym niegdyś do suszenia bielizny. Dawniej było tam wejście wprost z korytarza, ale w tej chwili drzwi były zamurowane i można się tam było dostać tylko od strony mieszkania, jeśli nie liczyć wąskiego okienka prowadzącego na umiarkowanie spadzisty dach.

W pokoiku panował względny porządek, choć widać było, że niedawno policja przeszukała również to miejsce. Pewnie jeszcze dokładniej niż resztę mieszkania. Tak naprawdę nie było tu wiele możliwości do zrobienia skrytki, bo oprócz łóżka stały tu tylko niewielka szafka, prosty stolik i szafa na ubrania.

– Nie, to bez sensu – mruknął pod nosem Brytan. – Tu by go nie chowała. Przecież mógłby go znaleźć choćby niechcący. A gdyby tak się stało, to... Nie, musiała go ukryć w miejscu, w którym miałaby do niego w każdej chwili dostęp.

Marek odwrócił się na pięcie i był już właściwie w drzwiach, kiedy nagle dostrzegł, że materac wpasowany ogólnie dość mocno w drewniane obramowanie łóżka ma jakby lekko uniesiony róg. Podeszedł do niego i unióś go delikatnie wyżej.

– To pewnie policja po przeszukaniu tak źle go wcisnęła – powiedział do siebie, ale zdecydował się podnieść materac na dobre.

To, co zobaczył, świadczyło o tym, że policjanci raczej niezbyt dokładnie przeszukali pokój należący do Kowalskiego. Schylił się, wziął znalezione do ręki i rzekł z niekłamany obrzydzeniem:

– O Boże... Co to ma być?!

To, że Przypadek zaplątał się w kolejną głośną sprawę mogącą przysporzyć mu sporo kłopotów, absolutnie nie dziwiło podkomisarza Łosia. Po dwóch latach niezwykłej i nie do końca formalnej współpracy z detektywem zdążył już do tego przywyknąć. Dużym novum był jednak fakt, że tym razem to nie klient przyszedł z prośbą o pomoc do Jacka, ale

on sam postanowił zaoferować mu swoje usługi. A także to, że Przypadek do policjanta zadzwonił i poinformował go, jakie śledztwo będzie teraz prowadził.

– No i co wy myślicie o tej nowej sprawie, Smańko? – zapytał łaskawie podwładnego, choć był umiarkowanie ciekaw jego opinii i tak naprawdę chciał tylko rozpocząć rozmowę na interesujący go temat. W tej chwili bardziej był zajęty rozciąganiem mięśni po porannej przebieżce, którą odbył w drodze z domu na komendę. Robił to ostatnio regularnie, korzystając oczywiście po przybyciu na miejsce ze służbowego prysznica.

– Nietypowa... – odpowiedział ostrożnie starszy aspirant, którego bardziej niż sama sprawa interesował fakt, dlaczego podkomisarz cały czas jeszcze biega. Wydawało się, że zaczął to robić tylko na użytek poprzedniego śledztwa, w trakcie którego wziął na siebie obserwację przygotowującego się wciąż do maratonu Przypadka. Choć tak naprawdę pół komendy huczało, że podkomisarz Łoś wbił się w stare dresy, by móc lepiej obserwować piękną klientkę detektywa. Sprawa została już jednak zamknięta trzy tygodnie temu, a podkomisarz wciąż biegał. – Nietypowa...

– To wiem. Przypadek sam się zgłosił do klienta.

– Nie tylko o to chodzi. – Smańko potrząsnął głową, jakby się budził ze snu, gdyż uznał, że jeśli będzie nadal zastanawiał się nad tym, dlaczego jego przełożony wciąż biega, nie będzie w stanie rozmawiać o sprawie.

– Nie tylko? – Podkomisarz spojrzął z zainteresowaniem na starszego aspiranta. – A o co jeszcze?

– Do tej pory w zasadzie jak kogoś złapał, to ten ktoś prawie zawsze okazywał się kimś z plecami i poparciem. A teraz podjął się udowodnienia niewinności faceta, za którym media stoją murem i oskarżają nas, że aresztowaliśmy go z pobudek rasistowskich.

– Myślicie, że on to zrobił, żeby tak naprawdę załatwić dożywocie temu Kowalskiemu?! – Łoś przestraszył się nie na żarty.

– Nie. Przecież jemu chodzi o wydanie książki swojej matki, a Niedobijczuk mu tego nie załatwi, gdy Przypadek wsadzi upragnionego pracownika – zaprzeczył Smańko.

– Ano tak, macie rację – przyznał niechętnie Łoś. Na tyle bowiem znał detektywa, że tego jednego mógł być absolutnie pewien: pani Przypadek jest jedyną osobą na świecie, dla której Jacek jest zdolny do daleko posuniętych poświęceń i nietypowego dla siebie zachowania.

– Czyli w zasadzie możemy być spokojni, że tym razem nasz znajomy nie nadeptnie na odcisk nikomu ważnemu – stwierdził autorytatywnie Smańko, popełniając kardynalny błąd. Łoś mógł wprawdzie znieść fakt, że jego podwładny ma rację, ale już takie konkluzje zdecydowanie przekraczały zakres jego obowiązków.

– Na wyciąganie tak daleko idących wniosków jeszcze przyjdzie czas, Smańko. – Podkomisarz skarcił starszego aspiranta, kończąc rozciąganie mięśni. Zdjął dres, który wkładał także na chwilę po wzięciu prysznica, i zaczął przebierać się w zwykłe ubranie, które teraz trzymał na wieszaku w swoim pokoju w komendzie. – Na razie skupcie się na samej sprawie i referujcie mi ją dokładnie.

– Tak jest! – Podwładny Łosia w mig zrozumiał, że pozwolił sobie na zbyt wiele. – Denatka została znaleziona w swoim mieszkaniu czternastego marca bieżącego roku. Wróciła właśnie z sanatorium w Ciechocinku dwa dni wcześniej, niż planowała. Nie zdążyła nawet rozpakować walizek.

– Czyli może nakryła kogoś na włamaniu?

– Nie znaleźliśmy śladów włamania. Zamki były otwierane tylko zwykłym kluczem. Inna sprawa, że na kluczu zostały znalezione mikroślady wosku.

– Ktoś dorobił sobie klucze? Może w tym Ciechocinku? Myślał, że właścicielka wróci później, a ona nakryła go na włamaniu i kradzieży tej... Jak się nazywała ta rzeźba, która zniknęła?

– *Wenus i trzech kochanków*. – Smańko podał przełożonemu zdjęcie.

Podkomisarz Łoś spojrział na kawałek metalu na fotografii powyginany w dziwaczne kształty. Mimo największego wysiłku nie potrafił sobie wyobrazić, że przedstawia on *Wenus i trzech kochanków*. Dla niego rzeźba wyglądała bardziej jak popielniczka odwrócona do góry dnem z dziwnymi metalowymi zakończeniami, których rzeczywście było trzy.

– Podobno jest warta sto tysięcy – poinformował Smańko.

– Rany boskie! – Łoś pokręcił z niedowierzaniem głową. – I tylko to zniknęło?

– Oprócz niej jeszcze prawdopodobne narzędzie zbrodni, czyli afrykańska figurka jakiegoś bożka. Z wyglądu przypominała kij bejsbolowy i to nią prawdopodobnie kilka razy uderzono denatkę. W każdym razie na to wskazywały drewniane drzazgi znalezione w jej skroni i we włosach. Natomiast reszta dzieł sztuki, wyceniona przez rzeczoznawcę na trzy miliony złotych, pozostała nieruszona.

– Czyli to jednak raczej nie był rabunek?

– Nie ma pewności. Pozostałe... – Smańko przez chwilę zastanawiał się, jakiego słowa powinien użyć, ale nie znalazł innego niż to, które mu niespecjalnie pasowało. – Pozostałe dzieła sztuki są często dużych rozmiarów, a te mniejsze warte najwyżej kilka tysięcy. Złodziej mógł więc wziąć tę najcenniejszą. Rzeczoznawca, niejaki Ewaryst Rost, twierdzi, że to mogła być kradzież na zlecenie. A ponadto podobno chodzą plotki, że to mógł zlecić Klempuch.

– Wątpię. Klempuch wciąż jest zbiegiem i niepotrzebne mu są nowe kłopoty – stwierdził Łoś, a Smańko zastanawiał się, czy podkomisarz mówi tak dlatego, że woli, aby w sprawę nie był zamieszany ktoś, kto jeszcze niedawno był jednym z najpotężniejszych ludzi w Polsce, czy dlatego, że po prostu tak myśli.

– Komisarz Dynda, który przekazywał mi tę sprawę, też tak uważa. Podejrzewają raczej zbrodnię w afekcie albo kwestie spadkowe.

– A kto po niej dziedziczy?

– Jej wnuk, Marek Brytan. On miał także klucze do mieszkania, co tłumaczyłoby brak śladów włamania.

– Ale ten Brytan ma alibi, tak? – upewnił się podkomisarz.

– Tak. Był wtedy na jakimś marszu patriotycznej młodzieży, widziało go sporo osób. Za to ten Kowalski, którego zgarnęliśmy, był wtedy w swoim pokoju i spał. Przynajmniej tak twierdzi. To on znalazł denatkę i nas zaalarmował. Ale dopiero jakieś dwie godziny po jej śmierci.

– To ma chłopak mocny sen, skoro nie słyszał, że mu za ścianą właścicielkę mordują.

– Pokój tego Kowalskiego jest piętro wyżej, to dawne poddasze, do którego prowadzą z mieszkania denatki tylko niewielkie kręte schody. Prawie jak osobne mieszkanie, były tam nawet kuchenka i toaleta. Tylko łazienkę i wejście miał na dole – wyjaśnił Smańko.

– Aha. A mamy coś na niego poza tym, że był w domu w trakcie popełnienia morderstwa?

– Tak. Jest pewien motyw, który mógł mieć...

– Jaki?

Starszy aspirant otworzył usta, ale po chwili zastanowienia nic nie powiedział. Rzecz wydawała mu się na tyle niezwykła, a z drugiej strony krępująca, że nie bardzo potrafił wyjaśnić przełożonemu ewentualny motyw podejrzanego. Dlatego tylko podsunął podkomisarzowi stosowny fragment raportu policjantów, którzy początkowo zajmowali się

tą sprawą i dokonali zatrzymania Kowalskiego. Teraz przekazali już sprawę duetowi Smańko i Łoś, którzy w policji z urzędu zajmowali się wszelkimi śledztwami dotyczącymi Przypadka.

Podkomisarz szybko przebiegł raport oczami, które z każdą chwilą przybierały coraz bardziej zdziwiony wyraz.

– Ale przecież ona miała sześćdziesiąt pięć lat, a on czterdzieści mniej! – wykrzyknął zdumiony.

– Podczas ostatniego pobytu w Ciechocinku pobiło się o nią dwóch trzydziestoparolatków. Ona zresztą w tym sanatorium bywała regularnie od lat i podobno to nie był pierwszy tego typu spór.

Wydawać by się mogło, że każdy oskarżony o morderstwo z ochotą przyjmie wszelką pomoc, która umożliwiłaby mu odzyskanie wolności. Szczególnie zaś będzie zadowolony z faktu, iż z odsieczą przybył słynny detektyw znany ze swej skuteczności. Tymczasem Janek Kowalski od początku widzenia niechętnie patrzył na Przypadka i raczej dość burkliwie odpowiadał na jego pytania. Nie zważał przy tym na prośby Kai Figacz, swojej dziewczyny, siedzącej obok niego, która próbowała go mitygować.

– Zupełnie nie wiem, po co Niedobijczuk pana wynajął – burknął Kowalski.

– Bo jest głupi – przyznał bezceremonialnie Przypadek. – Z jego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby pan został w więzieniu.

– Nie rozumiem.

– To proste. Wie pan przecież, że Niedobijczuk chce wyciągnąć pana z kłopotów, żeby zatrudnić jako dziesiątą osobę z afrykańskimi korzeniami w firmie. Nie rozumie przy tym, że równie dobrze może pana zatrudnić, jeśli pan będzie siedział w więzieniu, i też wypełni korporacyjne instrukcje. A ponadto zyskałby wtedy punkty za pańską resocjalizację. Zakładam, że miałyby ich nawet sporo, dużo więcej, niż gdyby był pan na przykład zwykłym złodziejem. Centrala jego firmy byłaby zachwycona, że zatrudnił prawdziwego mordercę, na dodatek takiego, który może być prześladowany za pochodzenie rasowe.

– I właśnie tego nie chcę! – wybuchnął Kowalski.

– Janek, proszę cię. – Kaja chwyciła hebanową dłoń chłopaka.

– No co? Nazywam się Jan Kowalski i jestem Polakiem! – oświadczył dumnie. – Nie chcę mieć dodatkowych punktów za pochodzenie. Poradzę sobie!

– Jedynie pod warunkiem że wyciągnę pana z więzienia. – Przypadek się uśmiechnął.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ tylko wtedy będzie pan miał szansę sobie poradzić. Jeśli pan stąd wyjdzie, będzie pan mógł robić, co chce. Jeśli zaś pan mi nie pozwoli sobie pomóc, to zostanie pan skazany nie tylko na wiele lat więzienia, lecz także na Arnolda Niedobijczuka, do którego w końcu jakoś dotrze, że w więzieniu jest pan nawet bardziej przydatny.

– Mam przyjaciół.

– Ma pan. – Jacek kiwnął głową. – Będą pewnie organizować jakieś zbiórki na adwokatów pod hasłem obrony przed rasizmem. A to rzecz, której z pewnością pan by sobie nie życzył. Natomiast Niedobijczuk w końcu pana zmusi, żeby wydał pan u nich swoje książki pod jakimś ładnym, afrykańsko brzmiącym pseudonimem albo nawet nazwiskiem pańskiego ojca, z obowiązkową informacją na okładce o tym, jak bardzo jest pan prześladowany za swoje pochodzenie. Wiem, będzie się pan przed tym bronił, ale mając w perspektywie dwadzieścia pięć lat więzienia bez możliwości zarobienia pieniędzy lub choćby odrobiny zapracowania na swoją pisarską karierę, ulegnie pan...

- A skąd pan to wszystko wie?!

- Bo pan Przypadek uważa, że ludzie są banalnie przewidywalni - wyręczyła Jacka w odpowiedzi, ze smutnym uśmiechem, Kaja. - I myślę, że w tej sprawie się nie myli.

- Jeśli nawet, to nie wiem, jak mógłbym mu pomóc - burknął znów Kowalski, tym razem jednak w jego głosie nie było uprzedniej wrogości. - Powiedziałem, że nikogo nie podejrzewam.

- A Ciachorowicz? - wtrąciła nieśmiało dziewczyna. - Wiesz, że się w niej podkochiwał. Mógł ją zabić z zazdrości...

- O mnie nie musiał być zazrosny. Mnie pani Eleonora nie interesowała.

- Za to pan zapewne interesował ją. - Przypadek uśmiechnął się kpiąco, a Kowalski stwierdził, że w pogłoskach o tym, iż detektyw jest najbardziej irytującym typem na świecie, nie ma cienia przesady.

- I zapewne pan to wydedukował, bo miała ponad sześćdziesiąt lat, a ja dwadzieścia kilka?

- Nie. Znalazłem w aktach sprawy informację, że wynajmowała panu pokój za sto pięćdziesiąt złotych. Duży, właściwie osobne mieszkanie, z kablówką i innymi rzeczami, za które nie kazała panu płacić.

- Wynajmowała ten pokój wcześniej innym studentom za taką samą kasę. Chciała tylko, żeby jej czasem pomóc w różnych rzeczach - bronił się Kowalski.

- To nie była stara, niedołączna osoba. Skoro jeszcze podkochiwał się w niej sąsiad, to zakładam, że była pełna wigoru.

- Ma pan rację - przyznała Kaja. - Janek się jej podobał. Czy to coś złego?

- Za samo „podołał się” nie daje się mieszkania za półdarmo. To jak z tym było, panie Janie?

- Nic z nią nie zrobiłem! - zapewnił gwałtownie chłopak. - Tylko... - Zawahał się, patrząc na Kaję, jakby szukał u niej przyzwolenia. A gdy ta kiwnęła głową, kontynuował: - Ona miała w łazience taki wizjer z pokoju obok i czasem mnie podglądała, kiedy brałem prysznic. Na początku o tym nie wiedziałem, naprawdę. Dopiero potem tak niechcący wyszło, gdy kiedyś powiedziała coś o moich hebanowych pośladkach, na których jest znamię. Dlatego od tej pory nie brałem prysznic, jeśli była w domu.

- Ale też się pan nie wyprowadził - stwierdził Jacek.

- Powiedziałem: pilnowałem się.

- Po wyprowadzce nie musiałby się pan pilnować. Zwłaszcza że skoro miała wizjer w łazience, to kto wie, czy nie miała zamontowanego czegoś też w sypialni.

- Chce mi pan zrobić wykład o moralności?

- Jestem zapewne ostatnią osobą, która powinna to robić. - Jacek uśmiechnął się samokrytycznie. - A oprócz sąsiada kogoś jeszcze podejrzewacie?

- Już mówiłem, że nikogo nie podejrzewam - mruknął Kowalski.

- A jej wnuczek? - zaprotestowała Kaja. - Nie lubił cię. To faszysta i rasista.

- A co to ma do rzeczy? - Chłopak wzruszył ramionami. - Zabił babcię, bo mnie nie lubił? Po co?

- Żeby cię w to wplątać. Mógłby się wykazać w tej swojej organizacji.

- Daj spokój, Kaja. Ty to wszędzie widzisz samych rasistów. - Kowalski pokręcił głową z niezadowolaniem. - A z Markiem na początku bardzo fajnie się rozmawiało. Nawet mnie zapraszał, żebym się do nich zapisał.

- Ale sam mówiłeś, że ostatnio jakoś cię unikał.

- Może mi się tylko wydawało.

– Nie wydawało ci się. Pewnie koledzy z organizacji mu wytłumaczyli, że nie powinien cię lubić... Pan wychodzi? – Spojrzała z niepokojem na Przyrodka, który wstał.

– Tak. Chyba nic więcej ciekawego się od was nie dowiem.

– Ale zajmie się pan tą sprawą? – zapytała niespokojnie Kaja.

– Dłaczego miałbym tego nie zrobić?

– Tak tylko spytałam. – Figacz wstała. – Pójdę z panem, bo i tak się już kończy czas widzenia.

Kaja pożegnała się z Jankiem i wyszła razem z detektywem. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju widzeń, Jacek zapytał:

– To co jeszcze chciała mi pani powiedzieć?

– Panu się naprawdę wydaje, że potrafi tak każdego prześwietlić i zawsze dokładnie wie, co on chce zrobić? – odpowiedziała pytaniem wyraźnie zirytowana Kaja, a trzy groźne blizny na jej policzku wciąż upodabniały ją do Bruce’a Lee.

– Możemy się oczywiście chwilę zabawnie poprzekomarzać, ale jeśli rzeczywiście chce mi pani coś powiedzieć, ma pani na to jakieś dwieście metrów, bo za tą bramą – Jacek pokazał na szare stalowe wrota – mogę już zacząć biec bez obawy, iż ktoś pomyśli, że uciekam z aresztu.

– Po każdym pana słowie odechciewa się z panem gadać – stwierdziła kwaśno Kaja, lecz zaraz dodała: – Ja tylko chcę, żeby pan pomógł Jankowi. Wiem, on uważa, że ja mam czasem uprzedzenia. Wie pan, on jest taki trochę naiwny. Jemu się wydaje, że wystarczy nazywać się Jan Kowalski, by wszyscy uważali go za Polaka. Ale przecież tak nie jest. A mnie naprawdę nie zależy na tym, żeby pan udowodnił winę temu wnuczce czy sąsiadowi, chociaż obaj to faszyci i rasiści. Ja bym tylko chciała, żeby pan znalazł dowody na jego niewinność.

Pan Antoni Gelberg, do niedawna właściciel niezłe prosperującego antykwariatu, w którym można było znaleźć bardzo różnorodny asortyment nie zawsze legalnego pochodzenia, siedział teraz na kanapie w salonie pani Irminy Bamber. Zresztą może słowo „siedział” nie do końca oddawało stan faktyczny, on raczej przycupnął na brzegu mebla, jakby się bał zajmować większą część jego powierzchni.

Nie, nie był tu pierwszy raz, od pewnego czasu bywał stałym gościem. Przez długi czas wpadał wieczorami i w weekendy, ale od miesiąca, gdy zamknął swój antykwariat, przychodził także często w środku dnia w trakcie tygodnia. Niegdyś rozsiadał się na kanapie czy na fotelu całkiem wygodnie. Lecz dziś był taki dzień, że wolał usiąść na brzeжку, aby w razie czego szybko się podnieść i uciec. Gospodyni nie zdawała sobie sprawy z jego stanu, gdyż była zajęta własnymi myślami, a wizyta pana Antoniego sprawiła jej dzisiaj radość z jednego względu: miała się wreszcie komu wyżalić.

– Dlaczego on mnie tak potraktował? I to po tylu latach znajomości, sąsiedztwa, współpracy...

– Niepotrzebnie tak się przejmujesz – próbował ją uspokoić pan Antoni.

– Łatwo ci powiedzieć. Gdybyś był w mojej sytuacji, to...

– To pomyślałbym, czy nie mam jakichś przyjemniejszych rzeczy do robienia w życiu niż pomaganie jakiemuś detektywowi.

– Jakiemuś?! – Pani Bamber zmierzyła Gelberga tak groźnym wzrokiem, że ten zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zrobić użytku z tego, że nie siedział zbyt pewnie. – To nie jest jakiś detektyw, tylko absolutnie najlepszy detektyw, jakiego Polska widziała!

– Tak, tak, oczywiście, nie to miałem na myśli – zaczął się tłumaczyć Gelberg. – Chodziło mi o to, że jest dużo przyjemniejszych rzeczy do robienia niż uczestniczenie w śledztwach...

– Ale ja to uwielbiałam! A teraz wiem, że prowadzi następną sprawę i w żaden sposób nie poprosił mnie o pomoc ani nie powiedział, nad czym pracuje! – wyznała z żalem.

– No tak, rozumiem. Skoro jednak już nie uczestniczysz w tych śledztwach...

– Myślisz, że to na zawsze?! O Boże! – Pani Irmina załamała ręce. – I pomyśleć, że to ja namówiłam go do bycia detektywem, a teraz dostaję taką zapłatę.

– A może po prostu nie chce ci zwracać głowy?

– Dobrze wie, że mi nie zauraca, i na pewno zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo lubiłam mu pomagać. Dlaczego pozbawił mnie tej przyjemności? – gryzła się pani Irmina.

– Może chciał, żebyś skorzystała z innych przyjemności?

– Jakich? – zdziwiła się kobieta. – Zresztą te inne nie przeszkadzają mi w pomaganiu mu w śledztwach. A tu taka ciekawa sprawa. Na dodatek ja sporo wiem o tej Eleonorze Pahl. Mogłabym mu pomóc.

– To mu o tym powiedz – poradził zrezygnowany antykwariusz.

– Kiedy nie chce do mnie wpaść. Zapraszałam go dziś na popołudnie na kruche ciasteczka, ale powiedział, że nie ma czasu, bo się umówił z podkomisarzem Łosiem.

– Może naprawdę się umówił? – wyraził przypuszczenie pan Antoni i znów po chwili żałował swoich słów, gdyż pani Irmina po raz kolejny zmroziła go wzrokiem.

– Dawniej przełożyłby spotkanie, a na ciasteczka by przyszedł – wyjaśniła z wyższością pani Bamber. – W ostateczności powiedziałałby, że będzie godzinę później. A dzisiaj po prostu zbiegł po schodach bez słowa tłumaczenia.

– Przecież wiesz, że on wszędzie biega.

– No właśnie, a dzisiaj był w dżinsach i zwykłej kurtce.

– To może zmienia metody prowadzenia śledztw?

– Ale dlaczego mnie o tym nie uprzedził?

– No bo... no bo... To już zupełnie nie wiem, co ci poradzić. – Antykwariusz bezradnie rozłożył ręce.

– Tyle to i ja wiem. Ale musi być jakaś przyczyna, dla której to zrobił. I ja muszę się tego dowiedzieć!

– Chcesz zostać... detektywem? – zapytał z niedowierzaniem pan Antoni.

– Detektywem to za dużo powiedziane. Chcę po prostu rozgryźć jednego detektywa. I nie spocznę, dopóki mi się to nie uda.

– Aha, rozumiem. – Gelberg wygodniej rozsiadł się na kanapie, ponieważ uznał, że dziś będzie bezpieczny. Sprawy, z którą przyszedł, i tak nie ma sensu poruszać w tej sytuacji, a wizyta, która miała zdeterminować jego najbliższe życie, zapewne znowu zmieni się w przemiłą pogawędkę z sympatyczną znajomą.

– A ty chyba chciałeś mi coś powiedzieć? – zainteresowała się pani Irmina.

– Teraz to już nieważne. – Mężczyzna machnął lekceważąco ręką.

– Za to ja chciałam cię zapytać, czy ty czasem nie zaniedbujesz swojego antykwariatu? Tak często u mnie teraz bywasz...

– Po prostu mam trochę więcej czasu i daję szansę wykazania się mojej pracownicy.

– To znakomicie, będziesz mógł mi pomóc rozwiązać tę zagadkę?

– No wiesz... – Pan Antoni się zawahał, ponieważ nie miał najmniejszej ochoty bawić się w detektywa. Po chwili jednak uznał, że dopóki nie uda się rozwiązać tej kwestii i tak nie będzie sensu rozmawiać z panią Irminą o tym, po co do niej przyszedł. Dlatego stwierdził z rezygnacją: – Właściwie mogę ci pomóc. Co mam zrobić?

Twarz podkomisarza Łosia wyrażała w tej chwili jeden wielki dylemat. Wskazujący palec prawej dłoni bez ustanku nawijał wąsa, co tradycyjnie świadczyło o wielkim wysiłku intelektualnym policjanta. Jego górne zęby wciąż przygryzały dolną wargę, która cierpiała, gdyż w tym towarzystwie policjant mógł jedynie rozmawiać sam ze sobą, co też zresztą czynił.

„Po co ja się na to zgodziłem?! – krzyczał na siebie w myślach. – Przecież mam za zadanie tylko nadzorować jego zlecenia, ale nie prowadzić z nim wspólnie śledztwa. Powinienem sam próbować rozwiązać sprawę morderstwa tej Pahl, a nie pomagać mu wydać książkę jego matki! Ciekawe, co na to powie podinspektor Zasada, jak się dowie?”

– Tylko proszę pamiętać, że to ja prowadzę tak naprawdę to śledztwo – zaznaczył zdecydowanie podkomisarz Łoś, gdy razem ze starszym aspirantem Smańką i detektywem Przypadkiem stanęli pod kamienicą, w której przed śmiercią mieszkała pani Eleonora.

– Ależ oczywiście, panie podkomisarzu, będę o tym pamiętał – zapewnił Jacek, ale nie wiedzieć czemu żaden z policjantów nic a nic mu nie uwierzył.

– Dlatego jeśli ja prowadzę śledztwo, to ja ustalam, jakie pytania można zadać – sprecyzował podkomisarz.

– Naturalnie, zawsze tak było, gdy wspólnie prowadziliśmy śledztwa – przytaknęła grzecznie detektyw, ale nie spodobało się to policjantowi.

– Zawsze każdy z nas prowadził odrębne śledztwa, które miały pewne punkty styczne. – Łoś spojrzał znacząco na Smańkę, gdyż spostrzegł, że ten ma chyba ochotę wyrazić pewną wątpliwość, czy aby na pewno słowa przełożonego są absolutną prawdą.

– Ma pan całkowitą rację – przytaknęła potulnie Przypadek. – Zresztą proszę na mnie spojrzeć, zgodziłem się nawet, że tu nie przybiegnę, więc przyjechałem z panami autem. A przy przesłuchaniu będę milczał jak grób, dopóki pan nie powie, że powinienem zadać jakieś pytanie.

Solenne zapewnienia detektywa nie przekonały podkomisarza, lecz skoro znaleźli się już pod drzwiami Ciachorowicza, nie pozostawało mu nic innego, jak służbowo i z godnością zapukać do drzwi sąsiada Eleonory Pahl. Po chwili wyszedł do nich gospodarz, uprzedzony wcześniej o wizycie policjantów, i zaprosił ich gestem ręki do pokoju, gdzie czekały już na nich herbata i ciasteczka.

– Proszę, rozgośćcie się, panowie. – Wskazał ręką na krzeselka. – Chętnie odpowiem na wszelkie pytania, ale przyznam, że nic nowego mi się nie przypomniało, więc nie wiem, jak mógłbym panom pomóc.

– No cóż, zmieniły się osoby prowadzące śledztwo i...

– Tak, słyszałem. – Ciachorowicz wszedł w słowo Łosiowi. – Podobno tą sprawą ma się zająć ten słynny detektyw Przypadek. To któryś z panów? – Spojrzał pytająco na swoich gości, ponieważ zarówno Łoś, jak i Smańko pracowali dziś bez mundurów. Podkomisarz zerknął z ukosa na Jacka, który pomny swej obietnicy milczał jak grób, wyciągając tylko w górę dwa palce, jak uczeń potwierdzający swoją obecność. – Aha, inaczej sobie pana wyobrażałem. Podobno pan wszędzie biega?

Jacek bezradnie rozłożył ręce, jedną z nich wskazując na Łosia. Podkomisarz, chcąc nie chcąc, udzielił wyjaśnienia:

– Dzisiaj pan detektyw przyjechał z nami. – Policjant chrząknął i zajrzał do raportu z przesłuchania, który przyniósł ze sobą. – Czyli mówi pan, że nic pan nie może dodać? –

Ciachorowicz kiwnął twierdząco głową. – Niczego pan tego dnia nie słyszał i nie zauważył nic niepokojącego. Tak?

– Tak – potwierdził gospodarz.

Zapadła chwila milczenia. Na początku dość naturalna, podkomisarz bowiem wpatrywał się w policyjny raport, przekręcając jego strony, jakby chciał odnaleźć właściwy ustęp. Ale z każdą sekundą coraz bardziej jasne się stawało, że nie szuka niczego konkretnego, tylko ma nadzieję na odnalezienie jakiegokolwiek punktu zaczepienia, który pozwoli mu zadać jakieś pytanie wnoszące coś nowego do sprawy. Nic takiego jednak nie następowało, a obecni zaczęli się kręcić jak widzowie zniecierpliwieni zbyt długim oczekiwaniem na początek spektaklu po podniesieniu kurtyny. Przypadek nawet wstał i rozglądał się po pokoju, szczególnie wpatrując się w półki.

– To o co pan chciał zapytać, panie podkomisarzu? – odezwał się w końcu Ciachorowicz.

– No właśnie, o co to ja chciałem zapytać? – Łoś rozpaczliwie patrzył na Jacka, który w tej chwili wpatrywał się głównie w sufit. Dlatego podkomisarz w końcu nie wytrzymał. – Niech pan wreszcie zada jakieś pytanie, w końcu to pan zaczął mieszać w tym śledztwie.

– Panie Ciachorowicz, proszę powiedzieć, dlaczego nie ujawnił pan policji, że był pan w długoletnim związku z panią Pahl? – zapytał Jacek, a Łoś, zamiast z wdzięcznością, spojrzął na niego ze złością, że wcześniej nie podzielił się z nim tą informacją.

– No bo... no bo... – Ciachorowicz intensywnie szukał usprawiedliwienia, zastanawiając się jednak przy okazji, czy nie warto jednak zaprzeczyć.

– Co „no bo”? Proszę odpowiedzieć – zażądał Łoś.

– To było bardzo dawno temu – przyznał w końcu gospodarz, który uznał, że to pewnie jeden z zazdrosnych sąsiadów zdradził detektywowi ten fakt. – Nie myślałem, że to ma znaczenie.

– Jak dawno? – zapytał Jacek.

– Niedługo po tym, jak się tu sprowadziłem. To już kilkanaście lat. Sam o tym już właściwie zapomniałem. To dawno wygasło.

– I dlatego wciąż trzyma pan na honorowym miejscu zdjęcie pani Pahl? – Jacek uniósł ramkę z fotografią położoną w tej chwili na płask, tak że nie była dla nikogo widoczna.

– A na dodatek je pan ukrył! – wykrzyknął zadowolony Łoś, gdyż poczuł, że znalazł coś znacznie więcej niż punkt zaczepienia.

– Nie ukrywałem! – oburzył się Ciachorowicz. – Gdybym chciał ukryć, tobym schował do szuflady – bronił się.

– Położył ją pan tylko tak, bo nie spodziewał się pan, że będziemy gdziekolwiek zaglądać. – Jacek się uśmiechnął. – I pewnie zaraz po naszym wyjściu chciał ją pan jak najszybciej postawić jak zwykle, żeby patrzeć na miłość swojego życia.

– To nie była miłość mojego życia! – krzyknął zapalczywie pan Ernest, ale szybko się zorientował, że nie jest to najlepsza linia obrony. – No dobrze, kochałem ją cały czas, ale platonicznie.

– Widocznie inaczej się nie dało – zauważył beczelnie Przypadek, a Ciachorowicz zaczął się zastanawiać, skąd tamten to wszystko wie. Jasnowidz czy co?! Chyba nie ma sensu niczego przed nim ukrywać.

– Nie zabiłem Eli. Nie byłbym zdolny zrobić jej krzywdy. Przecież ją kochałem. I to bardzo.

– Tak, tak. – Łoś ze współczuciem pokiwał głową. – Historia stara jak świat: odrzucony kochanek postanawia się zemścić.

– Gdybym chciał się mścić, to na tym drugim.

– Z całym szacunkiem, panie Ciachorowicz, ale my wiemy, że tych drugich było co roku co najmniej tuzin. – Podkomisarz Łoś nie bez pewnej satysfakcji wbił szpilkę przesłuchiwanemu. – Musiałby pan mordować średnio jednego w miesiącu. Dlatego zapewne wybrał pan łatwiejszą opcję.

– Pan mnie o coś oskarża?! Nie ma pan żadnych dowodów, że zrobiłem coś Eli.

– Nie oskarżam pana o morderstwo, ale o to, że skłamał pan w zeznaniach, twierdząc, że denatka była dla pana zwykłą sąsiadką. Zresztą w tym świetle staje się oczywiste, dlaczego sugerowałam nam pan, jakoby to pan Kowalski mógł być mordercą.

– Niczego nie sugerowałam! Powiedziałem tylko, co wiem. I to nie ja mogłem być o niego zazdrosny, ale ten jej wnuczek!

– On? Dlaczego? Zazdrosny o babcię? – Łoś patrzył zdziwiony na Ciachorowicza.

– Zazdrosny o pieniądze babci. Ona planowała zapisać cały majątek temu Kowalskiemu!

Błażej Sakowicz oczyma wyobraźni kancelarię swoją widział już potężną. Tak, ona nie może być tak zwykła i staroświecka, jak ta należąca do jego ojca, w której pracował kilka lat. Ba, musi nawet różnić się w sposób diametralny od tamtej. Błażej wiedział, że urządzi wszystko odwrotnie niż pan Jędrzej. Od rzeczy dużych i istotnych po najmniejsze detale, takie jak klamki u drzwi, które musiały być nowoczesne, a nie archaiczne jak w kancelarii Sakowicz & Sakowicz...

A właśnie, zaraz po ślubie będzie musiał porozmawiać z ojcem, żeby odłączył jeden człon z nazwy. Może zresztą zagadnie go o to już w trakcie wesela? Niech ludzie wiedzą, że teraz są dwie kancelarie kontynuujące chlubną tradycję słynnego prawniczego rodu. I w żadnej z nich nie pracuje więcej niż jeden Sakowicz.

Błażej rozmarzył się tak bardzo, że w pierwszej chwili nie usłyszał pukania do drzwi. Dopiero gdy stało się nieco natarczywe, ocknął się i powiedział:

– Proszę.

– Tomek mówił, że mnie szukasz – odezwała się stojąca w otwartych przed chwilą drzwiach Marzena.

– A tak, chciałem pogadać trochę o kancelaryjnych sprawach.

– Koniecznie teraz? – zapytała niechętnie pani mecenas.

– Musimy przemyśleć dobrze pewne sprawy. Wiesz, znowu zgłosiło się do mnie parę osób, które chcą odzyskać kamienice. Staliśmy się specjalistami w tej dziedzinie. Trzeba to wykorzystać, żeby nie przegapić koniunktury. Na początek pomyślałem o zmianie biura na większe, w jakimś nowoczesnym budynku.

– Będzie droższe – zauważyła rzeczowo Marzena.

– Przejrzałem już oferty na rynku. – Trudno powiedzieć, czy Sakowicz nie usłyszał zastrzeżenia współniczki, czy postanowił je zignorować. – Jest kilka ciekawych. Chciałbym, żeby to było powyżej piętnastego piętra, bo sprawdziłem, że żadna kancelaria nie mieści się aż tak wysoko.

– Im wyżej, tym drożej – stwierdziła dość spokojnie pani mecenas.

– Rozglądałem się już za projektantami wewnątrz. Mam kilku na oku, robili prestiżowe aranżacje...

– I na pewno nieźle sobie za to liczyli. – Kolska uśmiechnęła się krzywo.

– Do tego trzeba byłoby zrobić rekrutację wśród najlepiej rokującego prawniczego narybku. Wprawdzie sam pochodzę z rodziny z tradycjami, ale dobrze wiesz, że zwykle tych najzdolniejszych można znaleźć wśród prawników w pierwszym pokoleniu, którzy tylko

czekają na swoją szansę. I my będziemy ją im dawać. Myślę, że rekrutacją powinnaś się zająć ty...

– Błazej... – zaproponowała mecenas Kolska, ale Sakowicz junior, zatopiony w swych mocarstwowych planach, zdawał się nie zauważać burzy zbierającej się na jej twarzy.

– Nie myśl sobie, że chcę cię obarczyć całą robotą – zastrzegł się młody mecenas. – Projektanta wewnątrz i znalezienie właściwej lokalizacji biorę na siebie.

– Błazej...

Gdyby wspólnik Marzeny wsłuchał się w tembr jej głosu, szybko zastąpiłby się przed mającym spać na niego ciosem. Ale Sakowicz junior wciąż przebywał we własnym świecie, w którym jego kancelaria była zdecydowanie większa od kancelarii Sakowicza seniora i w ogóle przewyższała ją pod każdym względem.

– Nie dziękuj, mówiąc szczerze od dawna marzyłem, żeby się tym zająć. Zawsze powtarzałem papie, że nasza rodzinna kancelaria jest zbyt staroświecka i nie pasuje do dzisiejszych czasów. Ale oczywiście on mnie nie słuchał.

– Błazej! – krzyknęła w końcu mecenas Kolska.

Sakowicz podskoczył na krzeselku i rozejrzał się wokół jak wybudzony z pięknego snu i nierozumiejący, gdzie się znalazł. Przed chwilą był przecież w pięknej, ogromnej kancelarii, a teraz znalazł się w niewielkim gabinecie.

– Czemu krzyczysz? – zapytał zdziwiony Błazej.

– Może byś łaskawie wysłuchał, co mam do powiedzenia.

– No przecież po to cię tu zaprosiłem...

– Nie. Zaprosiłeś mnie tu po to, żeby przedstawić swoją jedynie słuszną wizję tego, co zrobimy. A ja uważam, że na razie nie ma sensu zmieniać siedziby ani zatrudniać nowych ludzi. I to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia! – Marzena wyszła.

Najchętniej trzasnęłaby przy okazji drzwiami i nawet w pierwszej chwili zamykała je bardziej niż energicznie. W ostatnim momencie zwolniła jednak ruch ręki i można by powiedzieć, że opuściła gabinet wspólnika niemal bezszelestnie. Uśmiechnęła się do Tomka Procha siedzącego w tej chwili w sekretariacie i udającego, że zajmują go czytane papiery. Wiedziała jednak, że jego zmysł byłego dziennikarza śledczego dokładnie odnotował wszystko, co stało się za drzwiami, i zapewne doniesie o tym komu trzeba.

Podczas gdy mecenas Kolska siedziała już w swoim gabinecie, Błazej Sakowicz wciąż wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła kilka minut wcześniej. Był w kropce, gdyż nawet do głowy by mu nie przyszło, że Marzena może się sprzeciwiać jego mocarstwowym planom. Nadal nie rozumiał, dlaczego tak się stało, i dopiero po chwili dotarło do niego typowo męskie wytłumaczenie kobiecych humorów.

– No tak... Ma okres. – Pokiwał głową Sakowicz, ale po chwili znów się zamyślił. – Nie, tydzień temu, gdy na mnie bez sensu nakrzyczała, wydawało mi się to samo. I jeszcze to jej dziwne unikanie Jacka. To może to... – Błazej znalazł kolejne typowo męskie wytłumaczenie.

– No tak, chłopca jej brakuje. Jeszcze się nie pozbiierała po rozstaniu z tym Włochem.

Marek Brytan czekał na policjantów w mieszkaniu babci. Ubrany był jak zwykle bardzo starannie, elegancko, rzec by można, że zgodnie z wojskowym szykiem. Nie znaczyło to absolutnie, że miał na sobie jakieś części umundurowania czy też ubiór paramilitarny. Po prostu cały wyglądał, jakby razem z ubraniem został elegancko wyprasowany. Wszystko na nim było w kancik i nie nosiło najmniejszego śladu pogniecenia. Całości dopełniały cienkie skórzane rękawiczki, które miał na dłoniach, chociaż byli we wnętrzu.

Jednak sądząc po jego minie i nieco nerwowych ruchach, całemu temu wizerunkowi groziło za chwilę runięcie. Wprawdzie Marek próbował się opanować, ale nie potrafił usiedzieć w miejscu na fotelu.

– Panowie sobie żartują?! – Brytan spojrział niechętnie na policjantów i na Jacka. – Dlaczego moja babcia miałaby zapisywać cały majątek swojemu lokatorowi?!

– No cóż, podejrzewamy, że był to jedyny sposób, aby skłonić go do świadczenia pewnych usług na jej rzecz. – Podkomisarz Łoś uśmiechnął się kpiąco.

– Pan obraża moją babcie!

– I mam uwierzyć, że nie zdawał pan sobie sprawy z jej bujnego temperamentu?

– Oczywiście, że sobie zdawałem. Ale wiedziałem niestety również dobrze, że babcia nie ma najmniejszych problemów ze znalezieniem chętnych do... – Zawahał się i dokończył z wyraźną goryczą: – ...tych rzeczy. Właśnie dlatego nie musiała za nie płacić.

– To prawda, ale najlepiej smakuje zakazany owoc – stwierdził Jacek. – A pan Kowalski był tak bardzo niezainteresowany pańską babcia, że mogła nie widzieć innego sposobu.

– Zapewniam pana, że mogła. – Marek Brytan wstał i odsunął szufladę biurka babci. Wyjął z niej figurkę męczyzny z hebanu poprzekłowaną szpileczkami w najróżniejszych miejscach. – I przyznam, że moim zdaniem dopięła swego. – Położył obok figurki tubkę z maścią.

Podkomisarz Łoś odkrzyknął ją natychmiast i na jego rękę wylała się czarna maść.

– Co to jest?! – zapytał lekko przestraszony policjant, wycierając dłoń chusteczką podaną mu przez Smańkę.

– Z tego, co znalazłem w Internecie, to jest jakaś afrykańska maść na potencję. A ten hebanowy pan to pewnie Jan Kowalski.

Łoś i Smańko z zabobonnym strachem spojrzeli na poprzekłowaną figurkę i tylko Jacek spokojnie zapytał:

– I naprawdę uważa pan, że pańska babcia za pomocą tych narzędzi usidliła swojego lokatora?

– Wiem, to nie brzmi zbyt mądrze – przyznał Brytan. – Ale babcia zawsze miała w rodzinie opinię czarownicy. I to z różnych powodów. Zresztą sami panowie wiedzą, że cieszyła się wciąż wielkim powodzeniem u mężczyzn i to co najmniej dwa razy od niej młodszych. Jak to inaczej wytłumaczyć? – Spojrzął na policjantów i znalazł w ich oczach zrozumienie, a nawet odrobinę współczucia. Niestety, w pokoju był ktoś jeszcze.

– A w jaki sposób znalazł pan te rzeczy? – zapytał Przypadek z właściwym sobie ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwym wyrazem twarzy.

– Przeglądałem biurko babci, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś ważnego – odpowiedział spokojnie wnuczek pani Pahl.

– Jest pan pewien, że to było w szufladzie biurka?

– Tak – potwierdził. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Owszem. I myślę, że pan podkomisarz będzie mógł zweryfikować pańskie słowa na podstawie protokołu z przeszukania mieszkania po morderstwie. – Ironiczny uśmieszek nie zniknął z twarzy Jacka. – Bo zakładam, że szuflada biurka musiała zostać przeszukana. A taka laleczka voodoo poprzebijana szpileczkami musiałaby wzbudzić ich podejrzenie i nie zostałaby niezauważona.

– O co panu chodzi?! – zirytował się Brytan i choć podkomisarz Łoś nie dodał ani słowa, widać było, że to samo pytanie ciśnię mu się na usta.

– O to, że pan jednak wierzy w to, że babcia zdążyła napisać testament. Może nawet go pan znalazł w trakcie przeszukiwania jej mieszkania. Zakładam bowiem, że ta laleczka i maść

musiały być dobrze ukryte, zatem pańska babcia nie trzymała jej ot tak, w szufladzie biurka.

- W szufladzie czy nie w szufladzie to bez znaczenia. Daję słowo, że znalazłem je w tym mieszkanku.

- W to absolutnie wierzę. - Przypadek pokiwał głową.

- Więc proszę też uwierzyć, że moim zdaniem babcia nie musiała się aż tak poniżyć, aby zapisywać mu cały majątek za kilka chwil przyjemności!

- Tego już nie będziemy wiedzieć na pewno. - Jacek wziął do ręki zakreconą tubkę i hebanową figurkę, a potem powąchał obie. - No tak, to wiele wyjaśnia.

- Co wyjaśnia?! I jakim prawem przesłuchuje mnie taka osoba jak ten pan?!

- To ja pana przesłuchuję! - zaznaczył groźnie podkomisarz.

- Jakoś tego nie zauważyłem - prychnął pogardliwie Brytan, co było wielkim błędem. Wiedział to zarówno Jacek, który spojrzął ciekawie na podkomisarza, jak i starszy aspirant Smańko, który zaczął udawać nagłe zainteresowanie sztuką współczesną i przyglądać się marmurowym kuleczkom o różnych rozmiarach poprzyklejanych do kawałka plastiku. Zdziwiłby się zapewne, że dzieło to nazywa się *Afrodyta na plaży*. Tego jednak nie mógł nawet przypuszczać, bo rzeźba nie była podpisana.

- Mówi pan, że pan tego nie zauważył - wycedził przez zęby wściekły podkomisarz, a ton jego głosu sprawił, że Brytan nieco się zdrygnął. - To może lepiej pan to zauważ, gdy pana aresztuję za składanie fałszywych zeznań i porozmawiamy na komendzie!

- Źle mnie pan zrozumiał, panie podkomisarzu...

- Zrozumiałem pana świetnie. I widzę, że bardzo chętnie widziałby pan Kowalskiego za kratkami, bo nawet gdyby się odnalazł testament, to on, jako morderca, nie mógłby dziedziczyć i wszystko trafiłoby do pana. Zastanawiam się tylko, czy ta niechęć ma jedynie podłoże finansowe, czy też przy okazji wiąże się z pańskimi poglądami.

- O, wypraszam sobie, nie jestem żadnym rasistą! A Janka na początku nawet dość polubiłem, bo można było z nim fajnie pogadać. Ale potem się umieszała ta jego nowa dziewczyna, Kaja Figacz. To straszna lewaczka, co powiem słowo, to ona od razu mi wyjeżdża z faszystą. Więc zacząłem go unikać.

- A mnie się wydaje, panie Brytan, że przestał go pan lubić, kiedy zorientował się pan, że Kowalski może panu sprzątnąć sprzed nosa majątek babci - stwierdził bezlitośnie podkomisarz Łoś, poruszając przy tym jednym z ostrzy wbitych w figurkę.

Kaja Figacz spojrzała na Janka Kowalskiego z mieszaniną zdziwienia i przerażenia. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że poprosiłby ją o coś takiego. Tak, na pewno wiedział, że zrobiłaby dla niego wszystko, jednak to jego życzenie było tak... Tak dziwaczne, że nie wiedziała, co ma na nie odpowiedzieć.

- Zrobisz to dla mnie? - upewnił się Kowalski.

- Ja... - Zawahała się. - Ja nie wiem, czy powinnam tam iść...

- Przecież nic ci nie grozi - zapewnił ją chłopak.

- Sama nie wiem, czy powinnam.

- Nie robisz nic złego. To należy do mnie. I do nikogo innego.

- Ale to jest w mieszkaniu tej kobiety. - Dziewczyna się skrzywiła, bo nigdy nie przepadała za panią Pahl, chociaż Eleonora często deklarowała, że chętnie przyłączyłaby się do różnych inicjatyw organizowanych przez takich młodych, sympatycznych ludzi jak Kaja.

- Jest w moim pokoju, za który mam zapłacone jeszcze za trzy miesiące.

- Nie wiadomo, czy będą mogła tam wejść.

– Masz przecież klucze.
– Jej wnuczek mógł zmienić zamki.
– Nie sądzę. A jeśli nawet, to po prostu powiesz mu, że musisz na chwilę wejść do mojego pokoju.

– Nie pozwoli mi go przeszukiwać.
– To wejdz przez strych. Pokazywałem ci kiedyś, jak to robić.
– Mam się włamać do twojego pokoju?! – powiedziała trochę zbyt głośno, dlatego strażnik pilnujący sali, gdzie odbywały się widzenia, przyjrzał im się uważnie.

– Kaja, to żadne włamanie. To mój pokój.
– I ty możesz tam przebywać. Ja nie.
– Mogę tam zaprosić, kogo chcę.
– Ale tylko gdy tam jesteś. – Figacz miała coraz większą ochotę wyjść z widzenia z chłopakiem. Szczególnie że ponury strażnik przyglądał się im coraz bardziej podejrzliwie, a ona zaczęła czuć się jak przestępca planujący zatrzeć ślady zbrodni.

– Czyli nie chcesz mi pomóc?
– Chcę – zapewniła.
– Jeśli ktoś to znajdzie, będę zgubiony i bezbronny.
– Jeśli do tej pory nikt tego nie znalazł..
– No właśnie tego się boję najbardziej. To może być dla mnie bardzo niebezpieczne. I czuję, że ktoś o tym już wie. Jeśli się nie pośpieszysz, może być za późno – powiedział Janek, a Kaja po raz pierwszy w życiu pomyślała, że trochę się go boi.

Jego odmienność zawsze ją pociągała, więc złościła się czasem, gdy on podkreślał, że jest zwykłym Polakiem. Sama jednak uważała go za kogoś takiego i nie widziała w jego zachowaniu niczego, co mogłaby określić jako niepolskie czy też raczej nieeuropejskie. A już na pewno nigdy nie było w nim niczego, co mogłaby nazwać afrykańskim dziedzictwem. Aż do dzisiaj.

– Kto może o tym wiedzieć? – zapytała ostrożnie.
– Ten Przypadek.
– On chce cię uwolnić.
– On chce wydać kryminała swojej mamy. I jest mu obojętne, czy będę siedział, czy nie.
– Ale skąd możesz wiedzieć, że on o tym wie?
– Mówiłem, czuję to – orzekł z pełnym przekonaniem Kowalski i dla potwierdzenia swoich słów skrzywił się, jakby go chwycił nerwoból.

– Daj spokój, to niemożliwe. Takich rzeczy nie można czuć.
– Ale ja to czuję. Zaufaj mi. – Kowalski chwycił Figacz za rękę, a ona mogłaby przysiąc, że w tej chwili usłyszała afrykańskie bębny i głos szamana odprawiającego swoje czary.

– A jeśli tego nie znajdę?
– To powiem ci, do kogo musisz pójść, żebyśmy mogli się obronić. To wielki czarownik, najlepszy w Polsce.

– Janek, daj spokój. Nie chcę słuchać o żadnych czarach i zabobonach. Jest dwa tysiące dwunasty rok i nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzy w takie głupoty! – Kaja wyróżniła się tym w swoim środowisku, że była daleka zarówno od wiary przodków, jak i swych znajomych otaczających się przeróżnymi amuletami, stawiającymi tarota i wierzącymi w tym podobne bzdury.

– Myślałem, że szanujesz kulturę, z której się wywodzę. – Kowalski wiedział, że gra nieczysto, szantażując dziewczynę tym stwierdzeniem. Ale bardzo mu zależało, żeby Figacz

spełniła jego prośbę. Zwłaszcza że znów poczuł jakieś dziwne bóle przeszywające jego ciało. – Widzisz?

– Widzę, że pewnie mieszkasz w słabo ogrzewanej celi, a zawsze źle znosisz chłód. I nic ci nie grozi, bo jesteś niewinny.

– To ty tak uważasz – powiedział Kowalski i szybko odwrócił wzrok.

– A może jest coś, o czym nie wiem? – Kaja przyjrzała mu się uważnie.

– Jeśli mi nie pomożesz, może już nie być dla mnie ratunku. – Ścisnął ją za dłoń tak mocno, że niemal krzyknęła z bólu.

– A co mam zrobić, gdy to znajdę? – zapytała zrezygnowana.

– Spal to. Ale dokładnie, żeby nie został najmniejszy ślad. Wtedy na pewno niczego nie będą mogli mi udowodnić.

Podkomisarz Łoś w zasadzie nie miał powodów do zadowolenia. Obydwa przesłuchania w sprawie zabójstwa Eleonory Pahl, choć przyniosły kilka nowych informacji, nie posunęły sprawy do przodu. Na szczęście poczucie własnej klęski zawsze jest mniejsze, gdy ktoś obok przeżywa jeszcze bardziej. A podkomisarz Łoś czuł, że Jacek również nie dowiedział się zbyt dużo. Przynajmniej miał taką nadzieję.

– No i co, panie detektywie? – zagadnął policjant. – Czy już pan wie, jak oczyścić swojego klienta z podejrzeń?

– Moim klientem nie jest pan Kowalski, ale pan Niedobijczuk. A dla niego Kowalski mógłby zostać w więzieniu, tylko na szczęście dla mnie o tym nie wie.

– Nie rozumiem. – Podkomisarz Łoś zerknął na starszego aspiranta Smańkę i zauważył, że on też nie ma pojęcia, o co może chodzić detektywowi, dlatego machnął lekceważąco ręką. – Zresztą nieważne. Co pan teraz proponuje?

– To przecież pańskie śledztwo.

– No tak, rzeczywiście – zreflektował się Łoś. – Tak więc... Co to ja chciałem... znaczy... W zasadzie trudno powiedzieć, co teraz należałoby zrobić. Jednoznacznych dowodów winy tego Kowalskiego niby nie ma, są tylko mocne poszlaki. Ale też nie da się oskarżyć nikogo innego. Ciachorowicz wprawdzie ukrywał swoje uczucie do pani Pahl, ale nie mamy żadnych dowodów mogących świadczyć o jego winie. Poza jego słowami nie ma też żadnych dowodów potwierdzających, że pani Pahl rzeczywiście sporządziła testament na korzyść pana Kowalskiego, wydziedziczając wnuka.

– To prawda, ale jeśli tego nie zrobiła, a Ciachorowicz nam to sugerował, to znaczy, że miał jakiś interes w rzuceniu podejrzeń na wnuczka, tak jak wcześniej na Kowalskiego. Jeśli zaś mówił prawdę, to mamy motyw dla pana Brytana.

– Tak, tylko że brak na to dowodów. A na podstawie tego, co mam, nie mogę nawet zarządzić obserwacji.

– Obserwacją zajmę się ja.

– Będzie pan ich śledził? – Łoś i Smańko spojrzeli na Przygadka z niedowierzaniem. Sami obserwowali detektywa od dwóch lat i nie zauważyli, aby choć raz osobiście zajmował się śledzeniem podejrzanych.

– Nie ja. Moi ludzie.

– Ma pan swoich ludzi? – Zdumienie policjantów rosnęło w postępie geometrycznym.

– Przecież panowie wiedzą, że czasem pomagają mi bezdomni.

– No tak... Ale oni nie nadają się do poważnej obserwacji – zauważył bez złych intencji starszy aspirant, a podkomisarz Łoś dodał:

– Przecież ich można wyczuć na odległość.

– Doprawdy? A wyczuł pan albo zauważył mojego człowieka, który przygląda się nam od dobrych kilku minut?

Podkomisarz Łoś rozejrzał się wokoło. Potem zrobił to drugi raz. A potem jeszcze trzeci. Wreszcie zmierzył spojrzeniem detektywa.

– Proszę się nie zgrywać. Tu nikogo nie ma.

– Doprawdy? – powtórzył Jacek, skinął ręką i nagle od szarej ściany kamienicy oderwał się jakiś niewyraźny kształt.

Dopiero po chwili podkomisarz Łoś rozpoznał w nim człowieka, który zbliżał się do nich, utykając na prawą nogę. Górną wargę z jednej strony miał uniesioną jakby w wyrazie wiecznej złości, a na głowie zawiązaną niegdyś wzorzystą, choć teraz w zasadzie jednobarwną, chustę.

– Uszanowanie, szefie. – Mężczyzna podał na powitanie rękę Jackowi, a następnie uklonił się nisko policjantowi. – Dzień dobry, panie generale. – Łoś na wszelki wypadek schował ręce do kieszeni i nie chodziło o to, że nie rozpoznaje bezdomnego. – To co jest, bierzemy się za nich?

– Tak, Kikut. Pełna obserwacja – zarządził detektyw.

– Sporo ludzi będzie trzeba – zafrasował się Kikut, unosząc jeszcze wyżej prawą górną wargę.

– Dacie sobie radę. Przecież wiecie, że ja uczciwie płacę.

– No tak, szef jest porządna firma. – Kikut z uznaniem pokiwał głową. – Ale koszty ostatnio wzrosły, akcyza podskoczyła. – Oblizał spierzchnięte wargi.

– Uwzględnij to przy rozliczeniach. Wiecie, kogo obserwować?

– Tak jest! – Kikut wyprostował się niemal na baczność i zaszutował do chusty. – Będziem na bieżąco informować. Odmeldowuję się. – Chciał odejść, ale Jacek go zatrzymał.

– Poczekaj chwilę. – Przypadek spojrzął na Łosia. – Ma pan te zdjęcia, panie podkomisarzu?

– Tak, ale nasi specjaliści uważają, że ta rzeźba na pewno już dawno została wywieziona z Polski. – Policjant podał detektywowi kilkanaście odbitek fotografii przedstawiającej *Wenus i trzech kochanków*. Jacek wręczył je Kikutowi, mówiąc:

– Szukamy też tego.

– A co to za złom? – Bezdomny krytycznie przyjrzał się dziełu sztuki. – To wygląda na miedź, za całość można wziąć nie więcej niż paręnaście złotych.

– Za znalezienie dostaniecie dodatkowo dziesięć tysięcy.

– Żarty, szefie? – Kikut spojrzął na Przypadka, a następnie przeniósł wzrok na Łosia. – Panie generale, to policja tyle za to płaci?

– To jest dziesięć procent obecnej wartości – wyjaśnił Jacek. – Ale w Polsce jest tylko kilka osób gotowych tyle zapłacić, a ty na pewno nie znasz i nigdy nie poznasz żadnej z nich, więc pamiętaj, że bardziej ci się opłaci oddać to mnie.

– Ależ oczywiście, w życiu bym nie próbował przytulić tego na boku – zarzekął się bezdomny, ale teraz wpatrywał się w kawałek metalu na zdjęciu, jakby nagle odkrył, że jest z najczystsze go złota. – No to się odmeldowuję. – Kikut, kuśtykając niespiesznie, odszedł kawałek i wtopił się w szarość ulicy.

Podkomisarz Łoś patrzył za nim jak zahipnotyzowany i przecierał oczy, starając się zauważyć, gdzie w tej chwili jest bezdomny. Nic to jednak nie dawało i policjant zaczął się nawet zastanawiać, czy to wszystko mu się nie przywidziało.

– Czy on mnie skądś zna? – zapytał w końcu Przypadek.

- Tak jak pan jego. Był zamieszany w sprawę profesora de Boutiera...
- Ach tak, pamiętam go jakby przez mgłę... Chociaż ci bezdomni wydają mi się tacy do siebie podobni.
- I to jest ich siłą podczas obserwacji. Nikt ich nie rozróżnia. A nawet nie zauważa. Choć rzeczywiście nie mogą podchodzić na bliżej niż kilka metrów, bo da się ich wyczuć.
- Aha. - Łoś pokiwał głową bez przekonania. - Czyli co, teraz tylko obserwacja?
- Ja chwilowo nic więcej nie mogę zrobić. Zwłaszcza że muszę się przygotować, bo za tydzień jestem przesłuchiwany przez przeuroczą prokurator Sapkowską. - Jacek wydawał się zachwycony tym faktem, co wzbudziło duże zdziwienie policjantów, szczególnie starszego aspiranta.
- Słyszałem, że to straszna żyleta i lepiej nie wchodzić jej w drogę.
- Poradzę sobie, przecież znam się z nią nie od dziś - skwitował lekceważąco Jacek. - A panu, panie podkomisarzu, radziłbym na początek zamknąć mieszkanie denatki.
- Po co? Ja wiem, że to miejsce zbrodni, ale wszystko tam zostało przeszukane i znaleźliśmy już, co mieliśmy znaleźć.
- Tak? A ta figurka? Jestem pewien, że nie leżała po prostu w szufladzie czy gdzie indziej na wierzchu. Skoro Marek Brytan ją znalazł, to znaczy, że przeszukiwał dokładnie mieszkanie. A skoro to robił, to znaczy, że jednak wierzy w istnienie testamentu.
- Mógł go równie dobrze znaleźć i spalić.
- Nie sądzę. Wtedy nie pokazywałby nam tej figurki. Ale chciał nam udowodnić, że jego babcia prawdopodobnie dopięła swego z panem Kowalskim, więc nie musiałyby go nakłaniać testamentem. I myślę, że on nadal nie ma pojęcia, gdzie jest testament, co go bardzo niepokoi. Jeszcze bardziej się zdenerwuje, gdy odetniemy mu dostęp do mieszkania. Tak jak Ciachorowicz.
- On tam i tak nie może wchodzić.
- Za to na pewno zaniepokoi go fakt, że policja zapieczętowała mieszkanie. I może popełnić błąd.
- Dobrze, mogę zamknąć to mieszkanie, a nawet zarządzić jego ponowne przeszukanie. Chociaż nie wierzę w efekty. To wszystko?
- Powinien pan zbadać jeszcze odciski palców na tej figurce.
- Po co? Przecież dotykał jej Brytan, więc to nam nic nie da...
- Za to jeśli dowiemy się, kto jeszcze jej dotykał bądź nie, to będziemy dużo mądrzejsi...

Suknia ślubna Anny Sobani była naprawdę wspaniała. Uszyta z jedwabiu przetykanego złotymi nitkami i ozdobiona szlachetnymi kamieniami robiła wrażenie. Mecenasa Błażeja Sakowicza musiał się na nią solidnie wykosztować i nie żałowałby absolutnie tego wydatku, gdyż Sakowiczowie nigdy nie skąpili swoim żonom pieniędzy, gdyby tylko jego przyszła małżonka była z niej zadowolona.

- No jak ja w tym wyglądam! - krzychała do niego z drugiego pokoju, gdyż naturalnie nie pozwoliła mu zobaczyć się w swojej ślubnej kreacji, aby nie zapeszyć.
- Jestem pewien, że wyglądasz zjawiskowo.
- Tak. Jak zjawiskowa hipopotamica! - oceniła krytycznie stan swojej talii, zniekształconej już nieco przez prawie szósty miesiąc ciąży.
- To niemożliwe, żabko - zaprzeczył automatycznie mecenas Sakowicz, zajęty w tej chwili przymierzaniem swojego ślubnego garnituru.
- Możliwe! Odwołujemy ślub! - stwierdziła stanowczo pani redaktor.

– Błagam cię, tylko nie teraz, znowu... – westchnął Błażej, który przeżył już w ostatnim miesiącu około dwudziestu odwołań ślubu.

– A kiedy mamy to zrobić? Ślub za dwa tygodnie, a ja nawet nie mam porządnej sukni!

– Żabko, ja naprawdę mam teraz za dużo na głowie, żeby się przejmować takimi rzeczami...

– Jakimi rzeczami?! A czym ty masz się przejmować, jak nie naszym ślubem?!

– No właśnie nim się przejmuję. Chciałem tacie w trakcie wesela opowiedzieć o planach rozbudowy kancelarii, a Marzena się postawiła, że na razie nic nie będziemy rozbudowywać. Nie wiem, co jej odbiło. Powinniśmy wykorzystać dobrą koniunkturę, a ona stroi fochy i złości się, nie wiadomo o co. Na dodatek wczoraj, wchodząc do kancelarii, poczułem kiszzone ogórki. Jak mamy przyciągać klientów, skoro ona mi takie numery robi i trzyma na swoim biurku otwarty słoik z ogórkami... – Mecenas Sakowicz umilkł, gdyż z drugiego pokoju dobiegł go straszliwy huk. – Wszystko dobrze, żabciu?

Zamiast odpowiedzi zobaczył w drzwiach pokoju swoją przyszlą małżonkę, która wpatrywała się w niego z nienawiścią, jakby gotowa w każdej chwili użyć resztek wielkiej wazy trzymanej w rękach. Błażej, choć przywykł już do zmiennych humorów Ani, a szczególnie jej nagłych napadów złości, tym razem przestraszył się nie na żarty. Nigdy wcześniej nie widział jej bowiem w takim stanie.

– Ty draniu! – wrzasnęła pani redaktor i żeby nie być gołostówną, cisnęła w Błażeja resztką wazy.

Mecenas Sakowicz wprawdzie uchylił się zgrabnie, ale ceramiczna skorupa mimo amortyzacji w postaci firanki sprawiła, że szyba w oknie pękła, a do wnętrza wpadło rześkie wiosenne powietrze.

– Ależ żabko, nie rozumiem, o co ci chodzi...

– Nie rozumiem?! Jeszcze się nie domyśliłeś, że ona jest w ciąży?!

– O Boże, ona też?! – jęknął zdesperowany Błażej, któremu bliska współpraca z dwoma ciężarnymi kobietami wydała się ponad siły.

– Trzeba jej było tego bachora nie robić, a nie teraz jójceć!

– Ależ żabko, zapewniam cię, że z Marzeną łączą mnie wyłącznie interesy!

– Tak?! To kto jej tego dzieciaka zmajstrował?! Z tym Włochem się przecież już dawno rozstała.

– To prawda. – Błażej się zamyślił. – Nie zauważyłem, żeby się z kimś spotykała.

– Nie mydl mi oczu. Wiem, że to ty! – Ania rzuciła się w stronę Błażeja, a ponieważ nie miała nic ciężkiego pod ręką, wyciągnęła przed siebie dłonie, aby nimi uchwycić niewiernego narzeczonego.

– Ale żabko, spytaj choćby Tomka Procha, przecież on ci wszystko donosi!

– Co?! Skąd o tym wiesz!? Powiedział ci?!

– Nie, Jacek tak mówił. Tomek miał cię informować o wszystkich przychodzących do mnie kobietach, bo inaczej zagroziłaś mu zwolnieniem.

– To nieprawda! Chyba mu nie wierzysz?! – Błażej był w tej chwili gotów potwierdzić wszystko, byleby tylko uspokoić Anię, ale jego kiwnięcie głową nie wypadło zbyt przekonująco. – Znaczący, wierzysz mu. Czyli musiałeś się dowiedzieć od Tomka...

– Ale żabko, skoro to nieprawda, to od Tomka nie mogłem się niczego dowiedzieć – zauważył przytomnie Błażej. Nawet zbyt przytomnie jak na fakt, że miał przed sobą rozwieszoną narzeczoną, do której nie docierały żadne rzeczowe argumenty.

– Nie mydl mi oczu! Odwołujemy ślub!

– Ale dlaczego?

– To i tak nie miałyby sensu. Zobaczylesz mnie w sukni ślubnej. Nie mamy przed sobą żadnej przyszłości!

Marek Brytan doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma najmniejszych szans na przekonanie starszego aspiranta Smańki, aby ten wypuścił go do mieszkania jego zmarłej babci, ale nie zamierzał poddawać się łatwo.

– Ja się odwołam do sądu! Nie macie prawa zabraniać mi tu przychodzić! – Z rozpaczą wpatrywał się w drzwi za plecami policjanta. Przed chwilą dowiedział się, że w tym momencie trwa tam przeszukanie, a gdy się ono skończy, mieszkanie zostanie opieczętowane.

– Teren objęty jest czasowo śledztwem!

– Na jak długo?!

– Aż śledztwo się zakończy.

– A kiedy to będzie?

– No... – Smańko zawahał się na chwilę. – Tajemnica śledztwa.

– Naruszenie święte prawo własności! Muszę zacząć remont, bo chciałbym niedługo wynająć lub sprzedać to mieszkanie.

– Na razie nie jest pan jeszcze właścicielem – wyjaśnił Smańko, wzruszając ramionami. – A gdy znajdziemy testament, to się może wiele zdarzyć.

– Nie znajdziecie żadnego testamentu, bo go nie ma! – Wnuczek pani Pahl odwrócił się na pięcie i ruszył w dół schodów.

Brytan czuł, że cała ta irytująca sytuacja to sprawka tego wkurzającego detektywa. No ale trudno, niech im będzie. Mogą sobie szukać do woli i tak nic nie znajdą. On sam przeczesał przecież całe mieszkanie centymetr po centymetrze. I to pięć razy. Nawet jeśli babcia naprawdę napisała ten cholerny testament, to na szczęście ukryła go tak dobrze, że nikt go nie znajdzie do końca świata. Może dopiero robotnicy przeprowadzający remont odnajdą go zamurowanego w ścianie, ale wtedy będzie już na szczęście za późno na jego realizację.

Zdenerwowany Brytan zbiegł po schodach. W drzwiach kamienicy zderzył się chyba z jakimś bezdomnym. Nie zauważył dobrze, jak tamten wygląda, gdyż zapach spowodował od razu, że odwrócił głowę w drugą stronę. Na podwórku natknął się na Ciachorowicza, który na jego widok złośliwie wyszczerzył zęby. Sąsiad siedział na ławeczce i wyglądało, jakby czekał na Marka.

– Zamknęli mieszkanko babci, co?

– A panu co do tego?! I tak mi będą je musieli otworzyć.

– Pod warunkiem, że nie znajdą jej testamentu. Bo wtedy kto inny się może ucieszyć.

– Nie ma żadnego testamentu...

– Jest, jest. Eleonora spisywała go przy mnie. Mówiła mi, że bardzo się zdenerwowałaś, gdy ci o nim powiedziała.

– Po co by miała o tym panu mówić?

– Byliśmy przyjaciółmi przez wiele lat.

– To pan powiedział policji o testamencie! – Brytan wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Ciachorowicza.

– Może tak, może nie... Jestem starszym człowiekiem, mam już słabą pamięć.

– To ja ci ją zaraz odświeżę. – Brytan złapał Ciachorowicza za kurtkę.

– Uważaj, synku, bo sobie przypomnę, gdzie ona schowała ten testament. I nie tykaj mnie, gówniarzu! Masz szczęście, że nie lubiłem tego Kowalskiego, bo już byś był bez grosza.

- Masz mi oddać ten testament! – Brytan nie zamierzał puszczać kurtki Ciachorowicza.
- Bo co?
- Bo skończysz jak babcia. – Żrenice Marka zwięzły się groźnie.
- Już się przestraszyłem – prychnął Ciachorowicz i nagle ścisnął rękę Brytana. Marek nie przypuszczał, że ten starszy pan może mieć aż tyle siły. Przez chwilę zaciskał zęby, ale w końcu syknął z bólu. – Widzisz? Gdybym chciał, to już byś wyładował na śmietniku. Dlatego lepiej się zastanów, zanim coś zrobisz.
- Czego ty ode mnie chcesz?
- Na początek parę rzeczy po twojej babci. Zwykłe pamiątki. Zapomniała mi je zapisać w testamentcie.
- A potem?
- Może jakieś dzieło sztuki. Wiem, tobie się one nie podobały. Ale ja je nawet lubiłem, chociaż były trochę dziwaczne.
- Akurat ci uwierzę, że je lubiłeś. Po prostu wiesz, ile są warte. Chcesz mi je ukraść!
- Ona mi ukradła paręnaście lat życia. Pieniądzy też trochę wyciągnęła. A ja, głupi, jeszcze klucz do własnego mieszkania jej dałem. – Pokiwał głową z żalu nad własną głupotą. – Należy mi się...
- Za to, że ją zabiłeś?
- Ja?
- Widziałem, jak wchodziłeś wtedy do jej mieszkania.
- A ty co tu robisz, cwaniaczku? – Ciachorowicz zbliżył znów swoją twarz do twarzy Brytana, aż ten odsunął się trochę ze strachu. – Bo słyszałem, że byłeś wtedy na manifestacji.
- Miałem zamiar wpaść tylko na chwilę, żeby coś zabrać...
- I może babcia nakryła cię na myszkowaniu za testamentem, co?!
- Nie wrobisz mnie w to. I to nie ty mnie widziałeś, tylko ja ciebie – oświadczył Brytan.
- Może ja też cię widziałem? Skoro już się przyznałeś, że tu byłeś, to w sądzie tylko słowo przeciwko słowu. A ja mam jeszcze dokument, który mogą pokazać.
- Możesz sobie ujawniać ten testament. Jak się ludzie dowiedzą, że to on miał wszystko dziedziczyć, to tym bardziej będą wierzyć, że to on zabił, a wtedy gównu dostanie.

Jest coś takiego w maminych zupach, jakiś czarodziejski składnik, nieznaną nikomu innemu przyprawa, sposób przyrządzenia oparty na magicznych wykresach czasowych, precyzyjnych co do ułamka sekundy, że zawsze smakują one w sposób absolutnie wyjątkowy. Nawet wtedy, gdy nasza rodzicielka przygląda się nam uważnie i, wprawdzie wprost nie popędzając, daje nam wzrokiem do zrozumienia, żebyśmy nieco szybciej wywijali łyżką, bo ona ma nam bardzo ważne pytanie do zadania. A nawet serię bardzo ważnych, niecierpiących zwłoki pytań.

Jacek zdawał sobie z tego doskonale sprawę, ale zacierkowa przyrządzana przez panią Felicję była tak wyjątkowa, że nie był w stanie zająć głowy niczym innym, jak tylko pochłanianiem kolejnego talerza. I nawet znaczące chrząknięcie rodzicielki, gdy poprosił o trzecią dolewkę, nie mogło w żaden sposób przeszkodzić mu w rozkoszowaniu się magicznymi zacierkami. Zwłaszcza że utrzymywały one swoją moc tylko przez pół godziny, później stawały się już bardziej podobne do mącznych pestek, którymi były. Dlatego zupę tę należało jeść jak najszybciej po ugotowaniu, gdyż potem pryskało wiele z jej magicznego czaru.

– No dobrze, mamo, teraz możesz mnie pytać – oświadczył, gdy zrozumiał, że żadną miarą nie da rady wlać w siebie już ani jednej łyżki.

– Mówisz to tak, jakbym cię miała zamiar przesłuchać – odparła nieco oburzona pani Felicja.

– A nie jest tak?

– Oczywiście, że nie. Chcę tylko dowiedzieć się kilku rzeczy.

– Aha. Zatem pytaj.

– Od jak dawna wiedziałeś o tym, że twój ojciec ma nieślubne dziecko?

– Od kilku miesięcy.

– To dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Przecież i tak byłeś w trakcie rozwodu z tatą. Nie rozwiodłabyś się z nim przez to bardziej – stwierdził Jacek z brutalną szczerością, co było niezwykle w jego stosunkach z matką, wobec której starał się zawsze być jak najdelikatniejszy.

– Ale przynajmniej wiedziałabym, o czym mówi, gdy sam się do tego przyznał. A tak wyszłam na idiotkę, kiedy mi oznajmiał, kogo właśnie zatrudnił w kancelarii.

– Upewnił się wcześniej, że nie ma już u ciebie najmniejszych szans? – zapytał Przypadek, a pani Felicja kiwnęła potakująco głową. – Czyli jednak bardziej zależało mu na tobie niż na niej.

– To dla mnie marne pocieszenie. Zauważ też, że nie odziedziczysz niczego z jego kancelarii.

– Z tym pogodziłem się już dawno. Po co zresztą miałbym cokolwiek dziedziczyć, skoro sam nie mam zamiaru uprawiać tego zawodu? Moja siostrzyczka się do tego dużo lepiej nadaje. Przypomina tatę, tylko jest od niego bardziej błyskotliwa i cwana. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia okazało się, że ona ma wszystko, a on nic.

– Naprawdę? – zapytała pani Felicja, a Jacek pomyślał, że trudno stwierdzić, czy w jej głosie więcej było troski o bliskiego jej wciąż mężczyznę, czy radości z ewentualnego pogńeblenia wiarołomnego męża.

– Nie mówię, że na sto procent – zastrzegł się Przypadek. – Ale jestem pewien, że ojciec jej nie docenia i może się na tym przejechać.

– To może by go jednak ostrzec? – W pani Felicji wzięła górę zatroskana kobieta.

– To nic nie da. Musi się sam o tym przekonać. – Jacek poklepał się po brzuchu. – Chyba muszę to jak najszybciej spalić. – Podniósł się.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłam.

– Czyli przesłuchanie?

– Od razu przyznałam, że chcę się dowiedzieć kilku rzeczy.

– To czego jeszcze chciałybyś się dowiedzieć, mamo?

– Dzwoniła do mnie pani Irmiona i pytała, czy ty się czasem na nią nie obraziłeś?

– Absolutnie nie – odpowiedział rozbawiony Jacek.

– Podobno w ogóle przestałeś u niej bywać.

– Powiedzmy, że nie chcę zawracać jej głowy. A za jakiś czas tajemnica wyjaśni się sama i uwierz mi, że pani Irmiona będzie wtedy niezwykle szczęśliwą osobą. Wiem, że nieco się teraz denerwuje, ale robię to dla jej dobra...

– Synku, nie można za nikogo decydować, co jest dla niego dobre, a co złe.

– Czasem nie ma wyjścia. Inaczej się nie da.

– Nie możesz jej tego wyjaśnić?

– Na razie nie mogę. Sytuacja jeszcze do tego nie dojrzała. Ale kiedy tak się stanie, powiem jej wszystko. Obiecuję.

– Nic nie rozumiem – rzekła pani Felicja, co nie do końca było prawdą. Doskonale bowiem pojmowała, że syn robi wszystko, aby nie wyjawic jej motywów swojego postępowania. – To może chociaż mi powiesz, co zrobiłeś Marzenie?

– Ona też do ciebie dzwoniła? – Jacek lekko zeszytniał.

– Nie. Przyszła mnie odwiedzić, a potem przez półtorej godziny mówiła właściwie o niczym. I chociaż może nie jestem tak przenikliwa jak ty, domyśliłam się, że coś się między wami stało i dlatego zdecydowała się tu przyjść.

– Masz rację, mammo. To skomplikowane...

– Znowu się wykręcasz od odpowiedzi.

– Nie, mammo. To naprawdę skomplikowane. To ma związek z Basią. – Głos Jacka był tak grobowo poważny, że pani Felicja miała pewność, iż tym razem syn nie wymiguje się od odpowiedzi. Poprosiła jedynie:

– Tylko nie zrób Marzenie krzywdy. Bardzo ją lubiłam. A nawet cały czas lubię.

– Możesz być o to spokojna. Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa – zapewnił ją Jacek. Pani Felicji przez głowę przemknęła myśl, że może to oznaczać renesans ich związku. Detektyw to wyczuł, dlatego dokończył: – Chociaż to nie ja jestem jej pisany.

– Mówisz dzisiaj samymi zagadkami. Może chociaż mi wyjaśnisz, dlaczego Polskie Książki błyskawicznie podpisały ze mną umowę i chcą jak najszybciej wydać *Detektywa w meloniku*? W pierwszej chwili wprawdzie pomyślałam, że wreszcie ktoś tam przeczytał moją książkę, ale potem dzwoniąca do mnie pani pogratulowała mi kochającego syna. Co ty zrobiłeś?

– Obiecałem, że wyciągnę z więzienia człowieka, na którym im zależy.

– Czyli nadal to, co piszę, nie spełnia wymogów drukowalności...

– Mammo, spełnia w stu procentach. Polskie Książki i tak chciały cię wydać – skłamał gładko Jacek. Była zapewne jedyną osobą na świecie, której nigdy nie mówił prawdy mogącej ją dotknąć. – Tylko trochę później. Dzięki mnie po prostu przyspieszyły decyzję...

– Chyba lepiej bym się czuła, gdyby nie przyspieszali. Nie wiem, czemu tak ci zależało na czasie.

– Po pierwsze, uważam, że to świetna rzecz. A po drugie, słyszałem, że wydawnictwa potrafią przez parę lat odkładać decyzję o wydaniu i w końcu zrezygnować. Nie chciałem, żeby cię to spotkało.

– Jeśli *Detektyw w meloniku* jest naprawdę dobry...

– Mammo, żyjesz w nierealnym świecie, w którym wydaje się książki godne wydania, a te niegodne lądują w koszu.

– No nie, aż tak oderwana od rzeczywistości nie jestem, wiem, że czasem może się zdarzyć coś wprost przeciwnego.

– Czasem to się może zdarzyć coś właśnie takiego, a rzeczy przeciwne zdarzają się z rzadka. O wydaniu książki coraz częściej decyduje tysiąc innych rzeczy, a w coraz mniejszym stopniu jej prawdziwa wartość. Zresztą tak pewnie było zawsze, można choćby poczytać Martina Edena. Dlatego postanowiłem, że twoja książka ukaże się jak najszybciej i będzie ogromnym sukcesem.

– Bardzo ci dziękuję...

– Jeszcze za wcześniej na podziękowania...

– Premiera za niecałe dwa miesiące.

– Premiera to tylko początek. Nie zapominaj, że wciąż jesteś moją mamą i cały ten zakochany w sobie półswiatek będzie na ciebie patrzył z delikatną niechęcią. Ale postaram się być jak najdłużej grzeczny i nie zrażać ich do siebie, zanim nie staniesz się autorką

bestsellera. – Słowa te zabrzmiały w ustach Jacka nie jak obietnica, a raczej jak złowieszczą groźba, po której w horrorze klasy B niebo powinna przesyć błyskawica zlewająca się z rykiem grzmotów, dopełniona demonicznym śmiechem detektywa.

- Mam tylko nadzieję, że nie złamiesz przy tym prawa.
- Dla ciebie, mam, wszystko.

Kikut rozsiadł się wygodnie na starym fotelu, trochę jak na tronie. Zarzucił nawet nogi na poręcz i leniwie patrzył, jak za oknem skleconej z dykty budki śiąpi deszcz. Wprawdzie jego lokum wyglądało nader lichy, ale dach na szczęście nie przeciekał, a on sam nie musiał swego schronienia opuszczać i nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. W końcu to on był teraz szefem i zarządzał obserwacją oraz poszukiwaniami. Chociaż nikt go nie wyznaczył na to stanowisko, przy umiarkowanym sprzeciwie reszty wyznaczył się sam. Pomogła mu w tym fotografia *Wenus i trzech kochanków*, którą otrzymał od Jacka. Wprawdzie posiadał kilka odbitek, ale wszystkim pokazywał tylko jedną i tym tłumaczył fakt, że strzegł jej zazdrośnie i nikomu nie dawał do ręki. A gdy ktoś przyniósł mu kawałek dziwacznie powykręcane go metalu, porównywał go z fotografią i oddawał zawiedzionemu zbieraczowi złomu, który liczył na zarobek tysiąca złotych. Taką bowiem kwotę wyznaczył Kikut za odnalezienie dzieła sztuki nowoczesnej. Wyszedł z założenia, że skoro on ma otrzymać dziesięć procent od wartości kawałka metalu, to sam również powinien zapłacić tylko dziesięć procent ze swojej części. Poza tym tysiąc złotych dla niego i jego kolegów było i tak kwotą niemal astronomiczną.

Jednak Kikut w kolejnych dniach coraz bardziej tracił nadzieję na ekstrazarobek. Przetrasanie śmietników od początku nie miało większego sensu, bo stamtąd już dawno każdy wartościowy kawałek metalu został zabrany przez zbieraczy. Dlatego kazał przeszukiwać głównie niewielkie skupki metali wszelakich, gdzie swój codzienny urobek oddawali bezdomni, licząc, że gdzieś tam między stertą złomu znajduje się owo wybitne dzieło sztuki nowoczesnej, niedocenione przez pozbawionych wrażliwości artystycznej właścicieli. Niestety, z każdą chwilą coraz bardziej było prawdopodobne, że jeśli nawet tam trafiło, to pojechało już na jakiś ogromny skup albo trafiło do wielkiego pieca, tracąc bezpowrotnie swą ogromną wartość.

Z tego powodu Kikut nie liczył już na kokosy, ale wiedział, że za samą obserwację podejrzanych też wpadnie mu solidna sumka. Wykorzystał jednak fakt dodatkowych poszukiwań i przekonał znajomych, że musi koordynować całość działań z siedziby głównej w tej budce z dykty. Dopiero potem miał zanośić informacje do detektywa, uzyskując stosowną gratyfikację, którą – co solennie obiecał – miał się podzielić z pozostałymi...

Kawałek dykty, umieszczony na litych zawiasach i udający drzwi do siedziby Kikuta, odsunął się energicznie. Do środka wszedł posiadacz imponującego owłosienia w kolorze naturalnej bieli, zwany z tego powodu Siwobrodym. Potrząsnął głową jak pies, strzepując z siebie krople deszczu.

– Paskudna pogoda, jeszcze się przez nią rozchoruję. – Na potwierdzenie swoich słów kichnął z całej siły. – Żeby chociaż ta aktywistka chciała do serca przytulić, ale nos ma strasznie wyczulony, zaraz jak tylko do niej podejść, ucieka, gdzie pieprz rośnie.

– To po cholerę podchodzisz? – zdenerwował się Kikut. – Obserwować możesz z takiej odległości, że cię nie poczuje. A w ogóle co tu robisz? Kto za nią łązi?!

– W taką psią pogodę?! Jeszcze nie zwiariowałem. – Siwobrodego coś zasądziło na plecach i próbował się podrapać. – Poza tym ona usiadła ze znajomymi w kawiarni

w centrum koło Zbawiciela. Tam naokoło same takie modne, kolorowe lokale, od razu mnie widać. Nawet mnie taki jeden wielki z brodą chwycił za kaptotę, pokazał znajomym przy stoliku i zaczął coś bełkotać o owocu kapitalizmu.

– O jakim owocu?

– A skąd mam wiedzieć? Nic go nie rozumiałem. – Śwędzące miejsce na plecach Siwobrodego najwyraźniej pozostawało poza zasięgiem jego rąk, ponieważ wyjął z kieszeni znoszonego płaszczka kawałek brązowego drewna i wsadził go sobie pod ubranie, tak aby dotarł do uřednej krosty. – Zresztą puścił mnie od razu i powiedział, że mi współczuje, ale tak dawno się nie myłem, a on ma alergię na brud. A przecież tydzień temu u ojczulków prysznic brałem! – oburzył się Siwobrody.

– Ale co z tą laską tego Murzyna?! Mieliliśmy ją obserwować.

– A co Saganek z Koziołkiem robią?

– Filują na tego sąsiada i wnuczka. Ale ją też trzeba obserwować, bo ona co dzień do tego Kowalskiego łązi.

– Spokojnie, ona tam w tych knajpach parę godzin spędzi jak nic. A ja się tam będę rzucał w oczy. Zresztą i tak już wiem, co kombinuje. – Uśmiechnął się z zadowoleniem, bo prowizoryczna drapaczka osiągnęła swój cel i wreszcie mógł zaatakować okropną krostę.

– Co?

– Będzie robić włam do tego mieszkania. Najpierw wlała na klatkę, ale chyba zobaczyła tego policjanta, co tam teraz drzwi pilnuje, bo szybko wyszła. Przeszła od razu do kamienicy obok i próbowała sprawdzić, czy da się dostać przez dach. Wtedy zaczął padać deszcz i mała nie zleciała na dół na ryj. Ale jak podeschnie, pewnie znowu spróbuje. To twarda laska, widziałeś, jakie ma szramy na policzku? Pewnie się naparzali z tymi łysymi karkami i tam oberwała. – Siwobrody, zaspokoiwszy swoją potrzebę podrapania się w plecy, rozsiadł się wygodnie na jednym z foteli.

– To trzeba na nią filować – zauważył Kikut.

– Trzeba też donieść szefowi, co się święci.

– Dobra, jak przestanie padać...

– O, nie ma tak, cwaniaku! – zirytował się Siwobrody. – To my zasuwamy bez względu na pogodę, a ty się tu rozsiadłeś jak król. Zasuwaj do szefa! – Wskazał Kikutowi drogę utrzymaną w ręku drapaczką. Ten chciał mu coś odpysknąć, ale umilkł, wpatrując się w kawałek drewna.

– Skąd to masz?

– Znalazłem, jak łąziłem za tą małą aktywistką. Wygląda na coś z Afryki, jakiś bożek, pewnie płodności. – Pokazał na znacznych rozmiarów przyrodzenie drewnianej rzeźby. – Może mi przyniesie farta.

– Ale na czym to stoi?

– Ja wiem? To chyba jakiś kawałek metalu jest, nie przypatrywałem się. Ale ma takie trzy fajne kolce na końcu, w sam raz do drapania!

Pani Lidia, sekretarka w kancelarii mecenasa Fryderyka Przypadka, przeczuwała, że po raz ostatni widzi Agnieszkę Storczyk, i z trudem powstrzymywała się od wyrażenia radości. Wprawdzie bez cienia wątpliwości cieszyła się z tego faktu, gdyż przedziwna aplikantka-nieaplikantka napawała ją strachem, ale nie chciała przedwcześnie zdradzić się ze swoimi uczuciami, aby przyrodnia siostra Jacka nie poczęstowała jej jakimś zgryźliwym komentarzem. Dlatego na jej widok kiwnęła tylko głową na powitanie i od razu wsadziła

nos w komputer, gestem ręki tylko dając znać, że mecenas Przypadek oczekuje jej w swoim gabinecie.

Pan Fryderyk siedział za swoim biurkiem i nawet się nie poruszył, gdy córka weszła. Wpatrywał się w nią tylko badawczo, jakby chcąc przeszyć ją na wylot i poznać jej najtajniejsze myśli. Był to jednak ciekawy paradoks do zbadania dla genetyków, jak to możliwe, że człowiek, który jest ojcem dwójki prawdopodobnie najprzenikliwszych osób na świecie, sam w tej dziedzinie osiąga co najwyższej precyzji rezultaty.

– Usiądź, proszę – powiedział, żeby od początku stworzyć pozory tego, kto tu jest górą, i nie dopuścić do samowolnego zajęcia miejsca przez córkę.

– No, no, jak oficjalnie. Zanosí się na drętwą gadkę. – Storczyk usiadła niedbale na krześle. – Ale jeśli chcesz wyrazić swoje uznanie dla mojej strategii w sprawie ziemi dla Super Tobacco, wystarczy zwykłe dziękuję.

– To prawda, sprytnie to wymyśliłaś. Lecz nie dlatego chciałem cię widzieć. A przynajmniej nie bezpośrednio dlatego – oświadczył chłodno pan Fryderyk i z pewną satysfakcją dostrzegł w oczach swojej córki cień strachu, który zastąpił zwyczajową bezczelność. I to chyba po raz pierwszy od chwili, gdy ją poznał przed kilkoma miesiącami.

– To czemu mam zawdzięczać zaszczyt zaproszenia mnie tutaj? – zapytała Agnieszka, siłąc się na ironię, choć sama poczuła, że nie wypadło to zbyt naturalnie.

– Zastanawiam się po prostu, czy jest sens, abym załatwiał ci miejsce na aplikacji.

– Wydawało mi się, że ustaliliśmy to już dawno temu.

– Tak, ale widzisz... zaszły nowe okoliczności. Sama zresztą jesteś temu winna. Gdybyś się tu nie pałętała, nie musiałbym się przyznawać byłej żonie, że jesteś moją córką. A tak stało się to, przez co ostatecznie straciłem szansę na powrót do niej, zatem nie masz już w rękę żadnych argumentów, żeby mnie przekonać do pomagania tobie.

– Faktycznie. – Dziewczyzna pokiwała głową z ironicznym wyrazem twarzy. – To, że jestem twoją córką, do niczego cię nie zobowiązuje.

– Jacek też jest moim synem i nie pomagam mu w niczym.

– Bo się na ciebie wypiął i nie chce po tobie dziedziczyć tego bajzlu! – Pokazała ręką na gabinet. – Ani nawet w ogóle być adwokatem. Sporo jednak dostał od ciebie i twojej rodziny. A jeśli nie masz zamiaru w żaden sposób uregulować zobowiązań wobec mnie, to cię do tego zmuszę. A wiesz, że potrafię być w tym dobra.

– Córeczko. – W ustach pana Fryderyka słowo to zabrzmiało niemal obraźliwie, jakby mówił do swojej latorośli „ty słodka idiotko”. – Naprawdę myślisz, że jesteś w stanie coś ze mnie wycisnąć? Tak, wiem, że jesteś w tym dobra. Tylko że ja jestem adwokatem od ponad trzydziestu lat. Znam tysiące sztuczek, aby tego uniknąć, przedłużając proces w nieskończoność. A kiedy ty znajdziesz sposób na jedną z nich, ja wyciągnę z kieszeni następną. I następną. Zanim umrę, cały swój majątek przekażę na cele dobroczynne, a ty i tak nic nie dostaniesz.

– Jeszcze zobaczymy – powiedziała Agnieszka, wstając i ruszając w stronę drzwi.

– Poczekaj. – Pan Fryderyk z niezadowolaniem pokiwał głową.

– Na co?

– Twoją największą wadą jest chyba brak cierpliwości. Gdybyś miała jej choć trochę, kto wie, do czego byś doszła. Ale jesteś przekonana o swoim geniuszu i uważasz, że wszystko ci się należy od razu. W ten sposób pracujesz na swoją klęskę. A mogłabyś sporo osiągnąć, prowadząc ze mną tę kancelarię...

– Aha. Już rozumiem. – Storczyk uśmiechnęła się kpiąco. – Postanowiłeś urządzić swoje małe prywatne poskromienie złościny. Tak? Nie musisz potwierdzać. Chcesz mnie teraz

tresować i upokarzać w zamian za to, że obiecasz mi kiedyś tę kancelarię. Mam być grzeczna i posłuszna, a ty uchylisz mi bram raję.

– Nie przesadzałbym z tym rajem. Ale fakt, w tym zawodzie można sporo zarobić, jeśli nie zadaje się zbyt dużo pytań i potrafi sprawnie wykonywać przelewy.

– Wiem to doskonale. Tylko że ja nie nadaję się na grzeczną córeczkę tatusia. Miałbyś ze mnie pociechę i sporo kasy, gdybyś potrafił powściągnąć swój bezczelny, apodyktyczny styl. Dlatego czas chyba, żeby ktoś pozbawił cię kolejnej części majątku tak jak twoja była żona.

– Jej się to udało wyłącznie dlatego, że jej na to pozwoliłem, córeczko. – Ostatnie słowo pan Fryderyk wypowiedział, niemal delektując się jego brzmieniem.

– Zobaczymy!

Wstała i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. To utwierdziło panią Lidię w przekonaniu, że widzi bezczelną dziewczynę po raz ostatni. Świadomość tego wprawiła ją w dobry humor. Od razu wzięła do ręki dokumenty, które miała dać do podpisu swemu pryncypałowi, i zapukała do jego gabinetu. Po usłyszeniu zaproszenia weszła do środka i zobaczyła mecenasa wyglądającego przez okno, po którym spływały krople deszczu. Patrzył w ślad za przechodzącą akurat na drugą stronę ulicy córką.

– Wszystko w porządku, panie mecenasie? – zapytała.

– Oczywiście, pani Lidio. – Prawnik odwrócił się w stronę sekretarki. Wziął od niej dokumenty i przyglądając się im pobieżnie, zaczął je podpisywać. – Trzeba się będzie zastanowić, jak urządzić kancelarię, żeby znalazło się miejsce na biurko dla pani Storczyk.

– Wydawało mi się... – Urwała, bo wiedziała, że nie powinna komentować tego, co się stało. – Nieważne. – Zabrała podpisane dokumenty i wyszła.

Mecenas Przypadek odwrócił się z powrotem do okna i gdzieś u wylotu ulicy spostrzegł jeszcze sylwetkę córki znikającej za rogiem. Może i nie był tak przenikliwy jak jego pociechy, ale musiał przyznać rację synowi, że w pewnych kwestiach ludzie rzeczywiście są banalnie przewidywalni.

Antoni Gelberg żałował, po raz nie wiadomo który, że dał się wciągnąć w plan pani Irminy. Mógł przecież spokojnie czekać na wyniki jej prywatnego śledztwa i się do niego po prostu nie mieszać. Ale bał się, że ono będzie trwało w nieskończoność. A tyle czasu nie miał. Dlatego pomógł jej ułożyć sprytny w jej mniemaniu plan, który miał pomóc odkryć przyczynę niezainteresowania Przypadka pomocą ze strony pani Irminy. Teraz stał z okiem przy judaszu w jej mieszkaniu i czekał, aż otworzą się w końcu drzwi lokum detektywa. Gdy to się wreszcie stało, wyszedł na korytarz, udając, że żegna się z panią Bamber.

– To na razie. – Zamknął drzwi mieszkania i uśmiechnął się do Przypadka. – Witam pana! Świetnie się składa, że pana widzę. Mogę zająć chwilę?

– A czy to coś pilnego? Rozwiązuję skomplikowaną sprawę...

– Na pewno nie tak bardzo jak ta, którą ja mam dla pana – powiedział, uśmiechając się, Gelberg.

– Aha, więc ma pan dla mnie kolejne zlecenie?

– Tak właśnie. Może wejdziemy je omówić?

– Niestety, akurat wychodziłem. Może wpadnie pan za kilka dni.

– To sprawa niecierpiąca zwłoki, na której można sporo zarobić – zapewnił antykwariusz.

– No dobrze – zgodził się niechętnie Jacek, ale wyglądało na to, że nie ma zamiaru wracać do mieszkania, gdyż ruszył w kierunku schodów.

– Ale... myślałem, że omówimy ją u pana.

– Sądzę, że nie będzie takiej potrzeby. Pan mi o niej opowie w drodze na dół, a ja postaram się ją rozwiązać przed wyjściem na ulicę.

– To chyba niemożliwe... Poza tym, jak sądzą, najpierw będzie pan musiał skorzystać z pomocy pani Irminy...

– A co ona ma wspólnego z tą sprawą? – zapytał od niechcienia detektyw, a eksantykiwariusz lekko się speszył.

– W zasadzie nic. Ale jej pomoc mogłaby się panu przydać. Jak zawsze.

– Dobrze, jeśli uznam, że śledztwo tego wymaga, skorzystam z jej pomocy. Proszę mówić...

Jacek zaczął schodzić po schodach, a pan Antoni, chcąc nie chcąc, ruszył za nim.

– To dłuższa rozmowa... Nawet nie zdążę jej panu streścić, zanim dojdziemy na dół, a co dopiero mówić o rozwiązaniu.

– Proszę się postarać. Jestem obecnie naprawdę bardzo zajęty.

Gelberg starał się opanować panikę. Był przygotowany na dłuższą opowieść, z wieloma szczegółami, a tymczasem musiał się niewiarygodnie streszczać, zostawiając detektywowi kilka stopni schodów na rozwiązanie. Bał się, że coś popłącze, ale nie miał wyjścia.

– Pewnemu mojemu znajomemu ukradzono kilka obrazów.

– Zgłosił to na policję?

– Jakby to panu powiedzieć... Nie wszystkie z nich posiadał legalnie.

– Rozumiem. Jak dokonano kradzieży?

– No właśnie, to jest najdziwniejsze. Obrazy wisiały w jego sypialni. Spał sobie spokojnie, a gdy obudził się rano, ich po prostu nie było. Puste ściany zamiast obrazów!

– Głowa go nie bolała rano?

– No właśnie nie. On też pomyślał, że może dali mu coś na sen, ale nic z tego. W nocy dwa razy chodził na siku, bo ma chore nerki. Ale nie wie, czy obrazy wisiały, czy nie, bo był śpiący i nawet nie zapalał światła w sypialni. Na dodatek żadnych widocznych śladów włamania. Ma na zewnątrz domu założoną kamerkę, kompletnie nic nie zarejestrowała. Zaczął nawet szukać w piwnicy podkopu.

– Podejrzewa kogoś?

– Tak, ma dwóch podejrzanych. Jeden proponował mu niedawno kupno dwóch obrazów, bo podobno znalazł nabywcę za granicą. A drugi to znany kolekcjoner, który dał mu do zrozumienia, że wie, iż mój znajomy ma te obrazy. Ten drugi to znajomy pani Irminy. A z tym pierwszym ma dużo wspólnych znajomych. – Antykwariusz odetchnął z ulgą, ponieważ znaleźli się właśnie na pierwszym piętrze, a jemu udało się wszystko w miarę dobrze opowiedzieć i nic nie pokręcić.

– Nic dziwnego – przyznał Przypadek. – Przecież obaj wiemy, że pani Irmina zna pół Warszawy.

– No właśnie, dlatego chyba powinien pan zwrócić się do niej o pomoc.

– Nie ma potrzeby. Wszystko już jasne.

– Naprawdę?

– Tak. Proszę poradzić znajomemu, żeby koniecznie położył się spać o tej samej godzinie. Musi też dwa razy w nocy wstać na siku. Tak jak wtedy nie może zapalać światła w sypialni. I w ogóle patrzeć na ściany. A rano obrazy tam będą. – Jacek przepuścił antykwariusza w drzwiach od klatki.

– Mówi pan serio? – upewnił się antykwariusz, bo mina Jacka była jak zwykle nieodgadniona i tylko nieliczne osoby potrafiłyby w tej chwili stwierdzić, czy on żartuje, czy

nie.

– Jak najbardziej. A teraz przepraszam, mam pilną rozmowę z moim współpracownikiem.

Przypadek wskazał kiwnięciem głowy na Kikuta. Bezdomny pozdrowił detektywa gestem ręki, a właściwie machając do niego afrykańską rzeźbą, do której przyczepiony był kawałek dziwnie powyginanego metalu. Antykwaryusz przyjrzał mu się uważnie i otworzył szerzej zdziwione oczy.

– Czy to czasem nie jest ta skradziona rzeźba Pahl? – zapytał Gelberg, a nieznający go Kikut schował za siebie rękę i się zaperzył:

– Znalezione, nie kradzione!

Podkomisarz Łoś z wyraźnym zadowoleniem poklepał się po brzuchu, którego było zdecydowanie mniej niż miesiąc temu. Regularne biegi zaczynały przynosić efekty, choć były już także przedmiotem kpin na korytarzach Komendy Stołecznej.

– Wiecie, Smańko, nigdy bym nie pomyślał, że taki bieg może człowiekowi dobrze robić.

– Łoś wykonał demonstracyjnie kilka przysiadów i z zadowoleniem stwierdził, że zrobił to bez wysiłku, choć jeszcze niedawno sprawiało mu to sporo problemów. – Rewelacyjnie się po tym myśli. Może dlatego ten Przypadek tak łatwo rozwiązuje sprawę? Powinniście też czasem pobiegać.

– Trenuję z żoną w weekend, gdy biegamy po sklepach w celu zakupienia najtańszej z możliwych wersji wszystkiego.

– Niezły trening. Choć to nie to samo co pobieganie dla czystej przyjemności. Tak, ten Przypadek to ma fajne życie. Kiedyś myślałem, że się męczy i męczy, tak wszędzie biegając, ale teraz wiem, że to niezły pomysł na życie. Kto wie, może ja też kiedyś wystartuję w maratonie? – rozmarzył się Łoś.

– Lepiej nie ryzykować. W pańskim wieku...

– Co w moim wieku, Smańko?

– No... lepiej uważać na siebie.

– Przecież właśnie uważam i dbam – fuknął niezadowolony podkomisarz. – *À propos* tego Przypadka, to nie macie wrażenia, Smańko, że jemu jakby brak koncepcji w sprawie zabójstwa Pahl?

– Być może – odpowiedział wymijająco starszy aspirant.

– Być może? Co to ma znaczyć?

– Pan komisarz wie, że on lubi nic nie mówić aż do końca.

– To prawda – przyznał zaniepokojony Łoś. – No to tym razem zmusimy go do powiedzenia wszystkiego wcześniej, żeby nie mógł robić tego swojego przedstawienia.

– A jak go zmusimy? – zainteresował się starszy aspirant, któremu zmuszenie do czegokolwiek niesforenego detektywa wydawało się wręcz niemożliwością.

– Hmmm – zafrasował się podkomisarz. – Jeszcze nie wiem jak, ale go zmusimy. Kiedy będą wyniki badań daktyloskopijnych tej szamańskiej figurki? – zmienił temat podkomisarz, choć nie spodziewał się żadnych rewelacji.

– Przyszły z laboratorium pięć minut przed panem.

– Dajcie je. – Łoś wziął kartkę z wynikami i musiał się z całej siły powstrzymać, żeby nie zareagować zbyt emocjonalnie. – No tak... Ciekawe... Kto by pomyślał...

– Przypadek – podpowiedział Smańko i uzupełnił: – Detektyw Przypadek.

– Ja już od dawna, Smańko, nie używam tego słowa w innym znaczeniu.

– Tak, tak... Chciałem tylko powiedzieć, że on podejrzewał, iż te wyniki coś nam powiedzą.

– Ale nie wiedział, jakie dokładnie będą. Zresztą co nam to daje?

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze Smańko. – Ale zanim jeszcze przynieśli te wyniki, dzwonił pan Przypadek z informacją, że dzisiaj w kamienicy tej Pahl będą dwa włamania.

– Dwa? Dlaczego akurat dwa?!

– Pan wie, panie komisarzu, on nigdy nie mówi nic do końca. Aha, dodał, że chce się z panem komisarzem założyć o stówę.

– Założyć się? A o co konkretnie?

Marek Brytan ledwo dyszał, stojąc przed drzwiami mieszkania swojej babci, pilnowanymi dzisiaj przez aspiranta Jęczmyka. Wbiegł właśnie pędem po schodach i z trudem łapiąc powietrze, usiłował przekonać policjanta:

– Mówię panu, z okna widać dym...

– Nic tu nie czuję – zauważył sceptycznie Jęczmyk.

– Ale widziałem z zewnątrz, że się unosi. Zostałem uchylony lufcik w pokoju, zanim zapłombowaliście z powrotem to mieszkanie. Pewnie jakieś zwaracie instalacji. Proszę sprawdzić.

– Ja tu muszę pilnować i nikogo nie mogę wpuszczać do mieszkania!

– To niech pan nie wpuszcza, tylko wejdzie do środka i sprawdzi. Bo jeśli pan tego nie zrobi i to mieszkanie się spali, będzie pan mi musiał zapłacić odszkodowanie za straty.

Aspirant Jęczmyk spojrział na Brytana. W sumie rzeczywiście niewiele ryzykuje. Wejdzie do środka, zamknie drzwi na zasuwę i tamten się tu nie dostanie. A on błyskawicznie sprawdzi, czy faktycznie nie ulatnia się dym.

– Proszę tutaj zaczekać – zarządził Jęczmyk i wszedł do środka. Rozejrzył się dokładnie po mieszkaniu, pociągając przy tym nosem, ale tak jak się spodziewał, nie wyczuł dymu.

„Co ten Brytan kombinuje? – zastanawiał się policjant. – A koledzy mówili, żebym się trzymał z dala od wszystkich spraw podkomisarza Łośa i Przypadka, bo to same dziwactwa, w których się tylko można narazić ważnym ludziom”. Rozejrzył się jeszcze raz po mieszkaniu. „Co ten Brytan kombinuje? – pomyślał ponownie. – A, nieważne, zaraz mu powiem do słuchu”.

Pewnym siebie krokiem aspirant Jęczmyk wyszedł z mieszkania i... zaniemówił.

– To tak się pilnuje mieszkania? – zapytał groźnie podkomisarz Łoś, obok którego stał uśmiechnięty detektyw Przypadek.

– Ale ja... ja... – jękał się Jęczmyk. – Ten Brytan powiedział, że jest jakiś dym w środku i że mnie zaskarży...

– A wy się dalsie nabracie na ten numer? Postawiłem was przed tymi drzwiami, bo wszyscy mówili, że zawsze dobrze wypełniacie rozkazy, a tu taki zawód... – westchnął podkomisarz Łoś.

– Przecież nic się nie stało – powiedział zdezorientowany Jęczmyk.

– Jak to nic? Przez was podejrzany w sprawie zabójstwa dokonał włamania.

– Nikt się nie włamał – zapewnił aspirant. – Zamknąłem za sobą dobrze drzwi.

– Do mieszkania naprzeciwko się włamał – zdenerwował się Łoś, a Jęczmyk pomyślał, że albo jego przełożony zwiariował, albo sprawy przez niego prowadzone są jeszcze dziwniejsze, niż mu się wydawało.

– Pan już da spokój, panie podkomisarzu – poprosił Przypadek. – Nie musi mi pan oddawać tej stówy, o którą się założyliśmy, że pan aspirant nie zejdzie z posterunku...

– O nie, dług sprawa honorowa – obruszył się Łoś i z wielkim bólem wyjął z portfela stużłotowy banknot, podając go Przypadkowi. Następnie spojrzął na Jęczmyka, żeby tamten nie miał wątpliwości, od kogo odzyska utraconą gotówkę. Gdy się jednak odwrócił w stronę drzwi Ciachorowicza, detektyw wręczył aspirantowi sto złotych, pokazując na Łośa, i dopiero potem stanął za podkomisarzem, który naciskał klamkę. – Zamknięte – stwierdził. – Ale można się było tego spodziewać. – Załomotał do drzwi. – Panie Brytan, wiemy, że pan tam jest. Proszę wyjść!

– I tylko niech pan nie próbuje wyskakiwać przez okno, jak pan planował! – zawołał Jacek. – Na dole czeka na pana starszy aspirant Smańko.

Podkomisarz Łoś przyłożył ucho do drzwi, ale w mieszkaniu Ciachorowicza panowała absolutna cisza, jakby tam nikogo nie było. Policjant spojrzął zaniepokojony na Jacka, który zbliżył się do drzwi i przez szparę głośno krzyknął:

– Naprawdę wiemy, że pan tam jest! Otworzył pan drzwi kluczem, który pańskiej babce dał pan Ciachorowicz. Jeśli pan sobie życzy, możemy poczekać, aż on wróci ze spaceru, ale sam pan wie, że to krewki facet, więc możemy go nie móc powstrzymać, zanim nie da panu w twarz za włamanie.

Po paru sekundach w drzwiach pokazała się postać Marka Brytana. Podkomisarz Łoś wyciągnął w jego stronę foliowy woreczek, do którego wnuczek Eleonory Pahl bez słowa wrzucił klucze trzymane w ręku. Zadowolony policjant schował dowód i zarazem narzędzie przestępstwa, ale potem popatrzył na detektywa.

– Miały być dwa włamania.

– I są – stwierdził beztrząsco Jacek i zwrócił się do aspiranta Jęczmyka: – Niech pan otworzy drzwi.

Aspirant jeszcze na wszelki wypadek popatrzył na podkomisarza, ale ten jedynie twierdząco pokiwał głową. Otworzył więc drzwi i wpuścił Przypadka do środka. Detektyw jednak tylko przestąpił próg i krzyknął:

– Pani Kaju, zapraszamy do nas! I tak nie znajdzie tam pani tej figurki, którą chce mieć pan Kowalski, bo ona dawno jest już na policji. I radziłbym nie uciekać po dachu, bo po opadach deszczu jest tam naprawdę bardzo ślisko! – Przypadek odwrócił się do podkomisarza. – Zaraz na pewno zejdzie. Proszę dać jej minutę, musi wyjrzeć na zewnątrz. Kiedy to robi, z okna po drugiej stronie pomacha do niej mój człowiek.

– Jakiś bezdomny?

– Właśnie.

– Nigdy bym nie pomyślał, że oni mogą być tak pomocni.

– Nawet bardziej niż pomocni. Gdy już pani Kaja do nas zejdzie, poproszę jednego z nich, żeby powiedział, gdzie teraz jest pan Ciachorowicz. Bo przecież na wielkim finale musimy być wszyscy w komplecie.

Ernest Ciachorowicz szedł wprawdzie do pokoju przesłuchań w Komendzie Stołecznej dobrowolnie, ale czuł się trochę jak skuty kajdankami. Starszy aspirant Smańko, którego widział wcześniej pilnującego drzwi mieszkania Eleonory, podszedł do niego na spacerze i powiedział, że muszą natychmiast jechać na komisariat. Nic więcej nie chciał wyjaśnić, ale Ciachorowicz czuł wewnętrznie, że nie czeka go tu nic dobrego. Kiedy na dodatek zobaczył, że w pokoju przesłuchań siedzą nie tylko podkomisarz Łoś i ten irytujący detektyw, lecz

także Marek Brytan, Jan Kowalski i ta jego przyjaciółka, rozumiał, że może już nie wyjść z tego pomieszczenia bez kajdanek.

– Czy mogę zapytać, dlaczego mnie tu zaproszono? – zagadnął, podkreślając ostatnie słowo, aby dać do zrozumienia, że nie czuje się o nic podejrzany.

– Włamano się do pańskiego mieszkania. – Podkomisarz Łoś wskazał ręką w stronę Brytana, ale Ciachorowicz sam wiedział, gdzie patrzeć.

– Niczego nie zabrałem! – zastrzegł się Marek.

– Bo tam nie było tego, co pana interesowało – powiedział Przypadek. – To było tutaj. – Jacek podszedł do Ciachorowicza i poklepał go po klapie marynarki.

– Chyba pan nie myśli, że chciałem zabić?! – zdziwił się mocno pan Ernest.

– Ależ skąd, po prostu na pewno ma pan przy sobie testament pani Pahl.

– Słucham? To bzdury!

– Pan jest leworęczny, prawda? Czyli testament jest raczej w prawej kieszeni. – Jacek wyciągnął dłoń w stronę Ciachorowicza.

– Ja protestuję! Nie macie prawa mnie przeszukiwać!

– Jeśli uważamy, że ukrywa pan dowody przestępstwa, to mamy takie prawo. A testament może być takim dowodem – wyjaśnił podkomisarz.

– Skąd pan to wie?! – zdenerwował się nagle Brytan. – Pewnie ten detektyw nagadał panu głupstw!

– Proszę pana, jestem doświadczonym policjantem. – Łoś dumnie podniósł głowę i nie zwracał uwagi na dyskretnie chrząknięcia starszego aspiranta. – A wy obaj jesteście amatorami. Kiedy nasz wywiadowca... – Tym razem chrząknął Jacek, ale podkomisarz także na niego nie zwrócił uwagi – ...doniósł nam, że pan Ciachorowicz zagroził panu ujawnieniem testamentu, od razu wiedzieliśmy, że nie zrobił tego bez przyczyny! Zapewne chciał pana szantażować i wymusić jakiś udział w zysku ze sprzedaży mieszkania. A skoro tak, to znaczy, że miał ten testament w ręku. Było jasne, że będzie się bał, iż pan się tego domyśli i zechce się włamać do jego mieszkania. Od tej pory więc postanowił go nosić przy sobie. – Policjant spojrział z poczuciem wyższości na obu panów i wyciągnął rękę w kierunku Ciachorowicza. Ten podał mu testament.

– Dużo jej pomogłem, gdy była w kłopotach – tłumaczył się pan Ernest. – A potem nawet nie chciała ze mną znów być. Że o oddawaniu pieniędzy nie wspomnę.

– Tak, tak. – Łoś pokiwał głową, wczytując się w słowa testamentu. – No, panie Kowalski, odziedziczył pan niezły majątek.

– Przecież on zabił moją babcię! – zaprotestował Brytan. – Ten testament to najlepszy dowód. Ja nie pozwolę...

– Pan wiedział, że babcia zapisała majątek Kowalskiemu.

– Nie widziałem tego testamentu na oczy!

– To prawda – przytaknął Łoś. – Ale z pełną świadomością chciał pan bezprawnie wejść w jego posiadanie.

– A za co on miał dostać spadek po mojej babci?! Że ją... ten tego...

– Nic z nią nie zrobiłem! – zaprzeczył Kowalski.

– Aha, i za nic dostałeś tę całą kasę?! Przecież widzieliście tę figurkę.

– Ano właśnie. – Łoś podszedł do biurka i wyjął stamtąd hebanową figurkę z powbijanymi szpileczkami. Podszedł z nią do Kowalskiego. – Może nam pan to wyjaśni.

– Ja... sam nie wiem, dlaczego tak się działo. – Kowalski unikał wzroku Kai. – Ale w niej coś takiego było... Nie potrafiłem się inaczej bronić. Ja wiem, że to głupie, ale kolega z Nigerii mi to sprzedał i powiedział, że tylko tak się obronię.

– Co on za głupoty gada?! – zdenerwował się Brytan.

– Żadne głupoty. Zbadaliśmy odciski palców. Należą do pana i do pana Kowalskiego. A nie do pańskiej babci. Zakładamy, że to był amulet, który miał chronić przed urokiem pani Eleonory. Choć naprawdę nie wiem dlaczego...

– Bo pan jej nie znał – odpowiedzieli niemal chórem Ciachorowicz i Kowalski, co spowodowało, że ten drugi musiał ponownie spuścić oczy pod wpływem potępiającego wzroku Kai Figacz, która oświadczyła:

– W życiu bym nie pomyślała, że ona może ci się podobać!

– I tu akurat pani kłamie – oznajmił Przypadek. – Wiedziała pani o tym doskonale. Dlatego zabiła pani Eleonorę Pahl.

– Co?! – Tym razem chór męskich głosów składał się również z Marka Brytana. – Pan chyba żartuje?!

– Ależ skąd. Od początku podejrzewaliśmy, że nie było to zabójstwo na tle rabunkowym.

– Tym razem łoś nie mógł zignorować zgodnego chrząknięcia starszego aspiranta i detektywa. – To znaczy moi koledzy początkowo dopuszczali taką możliwość, ale gdy przejęliśmy sprawę z detektywem Przypadkiem, od razu odrzuciliśmy tę teorię.

– Ale Kaja nie mogła jej zabić! – zaprotestował Kowalski. – No powiedz im! – zażądał od dziewczyny, ale ta milczała.

Odezwął się za to Przypadek.

– Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, zastanowiło mnie, kiedy mówiła pani, że chce tylko, abym udowodnił niewinność pani chłopaka. Nie, żebym złapał mordercę, lecz tylko udowodnił niewinność Janka. Pomyślałem, że to może kwestia pani przekonań politycznych, bo rewolucyoniści zawsze uznawali, że pospoliccy przestępcy to jedynie ofiary społeczeństwa, którym trzeba pomóc, a do więzienia wsadzać należy tylko zbrodniarzy politycznych. Ale jakaś lampka zapaliła się w mojej głowie. Potem moi ludzie znaleźli rzeźbę *Wenus i trzech kochanków*, której końcówki są bardzo ostre. I można nimi zadać takie rany, jakich ślad ma pani na twarzy. I wreszcie donieśli mi, że chce się pani włamać do mieszkania pani Pahl. Od razu pomyślałem, że może chodzić o tę figurkę. Na pewno pani uważa, że to skończona głupota bać się czegoś takiego. Ale dla pana Kowalskiego zrobiłaby pani wszystko.

Kaja Figacz zerknęła na narzeczonego i spuściła głowę. Potem milczała przez chwilę, by wreszcie ze wzrokiem wbitym w podłogę zacząć mówić:

– Poszłam do Janka tego dnia. Spotkałam ją na schodach, jak szła z walizkami. Była zła, od razu zaczęła mi dogryzać. A potem mówiła, żebym sobie Janka odpuściła, bo on potrzebuje prawdziwej kobiety, takiej jak ona. I że ona już go nawet ma i będzie miała na stałe. Na dowód pokazała mi testament, w którym wszystko mu zapisywała, i zaczęła opisywać ze szczegółami ich łożkowe wyczyny...

– To nieprawda! Ja z nią nigdy...

– I cóż z tego, panie Janku? Pani Eleonora potrafiła być bardzo przekonująca. I pani Kaja jej uwierzyła. Pewnie złapała pierwszą z brzegu figurkę i uderzyła ją w głowę. Pani Pahl, broniąc się, zrobiła jej jeszcze ranę na policzku rzeźbą *Wenus i trzech kochanków*. Dlatego jedno i drugie pani Kaja ze sobą zabrała, a potem wyrzuciła do kosza na śmieci obok swojego domu, daleko od miejsca zbrodni. I tam znalazł ją mój człowiek.

ROZDZIAŁ II

O'Isnienie

Blokada twórcza bywa czasem gorsza niż zatwardzenie i rozwolnienie razem wzięte. Z jednej strony nie pozwala pracowicie klepać w klawisze, by wyrobić normę dziesięciu tysięcy znaków dziennie. Z drugiej zaś sprawia, że wszystko dookoła staje się bardziej interesujące od uparcie nieskazitelnego białego ekranu. To rozproszenie doprowadza twórcę do frustracji, która się z niego wylewa najczęściej na najbliższych.

Dlatego można uznać za wyrok opatrności, że słynny pisarz Kordian Zamoyski, zwany Hetmanem Polskiego Kryminału, pozbawiony był towarzystwa jakichkolwiek żywych istot, którym mógłby zrobić krzywdę. Dzieci napawały go przeraźliwym strachem, odkąd sam skończył pięć lat. Zresztą ich posiadanie było raczej mało prawdopodobne, gdyż kobiety przerażały go w takim samym stopniu i o większości z nich mówił najczęściej per „wredne babsztyle”. Koty i psy tolerował, co nie znaczyło, że byłby w stanie poświęcić się ich wychowaniu i dbaniu o nie. Rybki, owszem, kiedyś miał, gdyż lubił czasem patrzeć na ich wielobarwne łuski. Niestety, gdy wrócił z trzytygodniowego pobytu nad morzem, zastał je wszystkie pływające do góry brzuchami. Od tego czasu nie eksperymentował z posiadaniem istot żywych i zadowalał się kwiatkiem na parapecie, na który właśnie patrzył.

A potem spojrzął na zegarek. Wpół do pierwszej. Za godzinę miał do niego przyjść jego wydawca z Polskich Książek, Paweł Jaszczanin, by dowiedzieć się, czy piąty kryminał jest już choć trochę gotowy. Ale jak ma być gotowy, skoro nie ma na niego nawet pomysłu?! To znaczy napisał wprawdzie już pięćset tysięcy znaków, które starczyłyby do wydania książki. Tyle że kryminału nie było w tym za grosz, żadnego trupa ani innego śladu zbrodni.

Zawsze zresztą tak pisał, najpierw całą treść, otoczkę obyczajową, wszystko, co najważniejsze. Potem doklejał do tego wątek kryminalny, który w siedemsetstronicowej książce nie zajmował więcej niż pięć procent, a Zamoyski najchętniej ograniczyłby go jeszcze bardziej lub wręcz w ogóle wyrzucił. Lecz Jaszczanin był nieubłagany i mówił:

– Musimy to reklamować jako kryminał, bo inaczej się nie sprzeda. Pamiętaj, ile poszło twojej zwykłej książki? Pięć tysięcy egzemplarzy. A kryminału prawie dwieście. Ale skoro chcesz spróbować wyżyć ze sprzedaży pięciu tysięcy egzemplarzy rocznie, to twoja sprawa.

Dlatego Zamoyski, chcąc nie chcąc, musiał doklejać do fabuły trupa, choćby nie wiem, jak bardzo on tam nie pasował.

– Szlag by trafił te wszystkie kryminały! – Zamknął w końcu ze złością laptopa. – Po co ludzie chcą czytać takie gówna?! Nie mogliby kupować prawdziwej, ambitnej literatury? Co za głupi naród. Zupełny brak gustu!

Kordian Zamoyski pomyślał, że w tej chwili może go pocieszyć tylko jedna rzecz. Poszedł do swojej garderoby i przesunął drzwi szafy czy raczej osobnego ogromnego pokoju, gdzie zgromadził swoje skarby. Zobaczył rzędy wspaniałych ubrań od najlepszych krawców: gustowne garnitury, cudowne garsonki, ekstrawaganckie płaszcze, buty ze skór wszystkich możliwych zwierząt. Wszystko koniecznie z niezliczoną ilością detali, guziczków, błyszczących cekinów. Rzec by można – ostatni krzyk mody, gdyby nie fakt, że były tu również nieco staromodne surduty, tużurki i tym podobne części garderoby, a wśród kapeluszy można było znaleźć nawet meloniki, szapoklaki i klasyczne cylindry. Prawie na wszystkich były wyhaftowane jego inicjały K.Z. Tylko na kilku najstarszych egzemplarzach, do których miał ogromny sentyment i nie chciał ich wyrzucać, widniały litery S.P.

– Moje kochane – powiedział wyraźnie wzruszony Kordian Zamoyski, autor natomiast spieszy od razu uspokoić Czytelników, że choć rzeczy z szafy były bardzo bliskie słynnemu pisarzowi, to nawet w stanie najbardziej frustrującej blokady twórczej nie byłby w stanie zrobić im najmniejszej krzywdy. – Chodźcie do tatusia.

Kolejny kwadrans spędził Kordian na ocieraniu się o wszystkie swoje skarby, przytulaniu ich, oglądaniu i wzdychaniu z zachwytem. Następne pół godziny zajęło Zamoyskiemu przymierzanie i wybieranie najlepszego ubrania na dzisiejszy spacer. Po kolejnym kwadransie miał już na sobie surdut, sztuczkowe spodnie, szapoklak, w oku monokl, a w ręku laseczkę. Tak wyposażony wyszedł na korytarz, gdzie przywitał go jazgot psa jego sąsiadki Emilii Schabowskiej. Na szczęście wredny babsztyl zniknął już za drzwiami swojego mieszkania, więc Zamoyskiemu nie groziło natknięcie się na kpiące spojrzenie, którym kobieta obrzucała go zawsze wtedy, gdy postanowił zaszaleć z garderobą.

Musiał się jednak spieszyć, bo do wizyty Jaszczanina zostawało mniej niż dziesięć minut, a na spotkanie z nim nie miał wielkiej ochoty. Uparty pracownik wydawnictwa nachodził go w domu, swoje natręctwo tłumacząc tym, że w trakcie bezpośredniej wizyty lepiej go przekona do intensywniej pracy nad kolejną książką. Ostatnio zwiększył zresztą intensywność swoich wizyt, co było najlepszym dowodem na to, że nie ma racji, bo Zamoyski nic a nic nie posuwał się w pracach nad książką. Faktem jest jednak, że w okresach niemocy twórczej nie odbierał telefonów i nie odpowiadał na maile, więc takie bezpośrednie najście mogło być jedyną skuteczną próbą kontaktu z nim.

Dotykając poręczy schodów, Zamoyski zerknął jeszcze na drzwi państwa Kurpielów, właścicieli trzeciego mieszkania na trzecim piętrze kamienicy. Znow, jak ostatnio często mu się to zdarzało, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje przez wizjer. Nie wiedział jednak, czy to pan Kurpiel, czy pani Kurpielowa, bo oboje często pracowali w domu, ale zwykle nie razem. Od pewnego czasu głównie się ze sobą kłócili, choć dawniej uchodzili za wzorowe małżeństwo.

Na drugim piętrze minął Kamilę Ryczek, sympatyczną blondynkę, która uśmiechnęła się do niego, mówiąc mu „dzień dobry”. Hetman Polskiego Kryminału odpowiedział jej tym samym, ale ponieważ nie mieli ze sobą żadnych innych wspólnych tematów poza pogodą, poszli każde w swoją stronę. Inaczej było z Bogusiem Siemakiem, pracownikiem agencji eventowej, mającym zawsze na podorzędziu garść sprośnych dowcipów, które niezmiernie bawiły Zamoyskiego. On jednak tylko podał mu rękę w przerwie otwierania drzwi swojego mieszkania, bo zajęty był rozmową przez telefon.

Kiedy Kordian wyszedł na dziedziniec kamienicy, zobaczył źle zaparkowany samochód Siemaka. Jemu to nie przeszkadzało, ale był pewien, że gdy ujrzy to Schabowska, to się wścieknie. Postawił wyżej kołnierz surduta, lecz ze zdumieniem stwierdził, że jednak nie jest tak ciepło, jak mu się wydawało, i trzeba będzie wrócić po płaszc. To zmartwiło go nieco,

gdyż dodatkowe odzienie przykrywałoby surdut i psuło nieco kompozycję całości. Nie miał jednak wyjścia, bo zdrowia był zawsze kruchego, a ledwie dwa tygodnie wcześniej wyszedł z paskudnej grypy. Odwrócił się i...

To było olśnienie! Wpatrywał się w okno Schabowskiej, która wychylała się z aparatem fotograficznym, zapewne, aby sfotografować źle zaparkowany samochód Siemaka, i już miał. Tak, to genialny pomysł! To będzie hit nad hity! A nawet bardzo dużo hitów!

Wtedy poczuł mocny ból w karku i nogi się pod nim ugięły, odmawiając posłuszeństwa. Chciał krzyknąć, ale nie był już w stanie wydobyć z siebie głosu, ponieważ ogarnęła go całkowita ciemność.

Prokurator Sapkowska wiedziała, że nie może się dobrze przygotować do przesłuchania Jacka, dlatego odkładała je do granic możliwości, a nawet daleko poza nie. Przeklinała także chwilę, w której nieopatrznie powiedziała szefowi prokuratury, że może zająć się aferą z udziałem Przypadka. Ten przyjął to jak dar niebios, gdyż sprawa była wyjątkowo śliska i żaden prokurator nie kwapił się do niej. W końcu chodziło o ujawnione przez Jacka filmy z dziecięcą pornografią, w których w głównej roli występował Klempuch, do niedawna jeden z najbogatszych Polaków i znany na całym świecie kolekcjoner sztuki współczesnej, którego koneksje przyprawiały wszystkich o drżenie serca. Wprawdzie to nie on był oskarżony, lecz detektyw, jednak zdrowy rozsądek nakazywał trzymać się od tej sprawy z daleka.

Ale zdrowy rozsądek to jedno, a masochistyczna wręcz chęć rozmowy z podejrzanym to co innego. Ta dziwna przypadłość trapiła prokurator Sapkowską od dawna, jeszcze od czasów studiów. To wtedy Jacek popełnił wobec niej niewybaczalny grzech niezauważania trwającej do dziś. Kiedy trzy lata po zniknięciu Basi znów zaczął się spotykać z dziewczynami, umawiać na randki, do teatru, do kina, na wystawy, ją jedną z godnych uwagi znajomych pomijał. Nigdy nie powróżył jej z ręki, co zawsze było u niego oznaką zainteresowania. Prowadził z nią tylko zwykłe, niezobowiązujące rozmowy w większym gronie. I to wszystko! Jakby specjalnie nie widział, że się do niego uśmiecha, ubiera w szczególny sposób, gdy on ma się znaleźć w pobliżu, i najgłośniej śmieje z jego żartów!

– Jak miło cię znów widzieć – przywitał się Jacek i wyciągnął rękę w kierunku prokurator Sapkowskiej. Ta jednak pozostała na miejscu, obawiając się, że detektyw swoim staroświeckim zwyczajem pocałuje ją w dłoń, co mogłoby jej znacząco utrudnić dalsze prowadzenie przesłuchania.

– Proszę usiąść.

– Ale oficjalnie – zakpił detektyw, ale grzecznie zajął miejsce. – Co u ciebie słychać? Fantastycznie wyglądasz.

– Przypominam, że jest pan przesłuchiwany jako podejrzany o rozpowszechnianie pornografii dziecięcej, więc fakt naszej prywatnej znajomości nie powinien mieć znaczenia.

– Ale ma. – Ironicznie-dobrotliwo-pobłażliwy uśmiech Jacka mówił wszystko i nie pozostawił prokurator Sapkowskiej cienia wątpliwości ani żadnego pola manewru do zaprzeczeń. – Następnym razem, jak będziesz chciała pogadać, po prostu zadzwoni, umówimy się na kawę.

– Proszę zanotować, że podejrzany złożył prokurator niestosowną propozycję – zwróciła się do protokolantki i ze złością zauważyła rozbawienie na jej twarzy. Najchętniej powiedziała by jej coś niemiłego, ale nie chciała dawać Jackowi kolejnego argumentu do złośliwej riposty. Postanowiła jednak, że gdy następnym razem będzie przesłuchiwać

detektywa, to poszuka do protokolowania zeznań jakiejś zaangażowanej feministki. Tylko czy to coś da? Dlaczego wszystkie kobiety tak za nim przepadały, a im bardziej deklarowały, że go nienawidzą, tym bardziej go lubiły? – Jest pan pewien, że nie chce być przesłuchiwany w obecności swojego adwokata?

– Absolutnie tak. Wolałbym rozmawiać nawet bez protokolantki, ale rozumiem, że tak się nie da – stwierdził nie bez żalu Jacek. – W sumie chyba nigdy nie byliśmy na randce, a znamy się przecież tak długo...

– Proszę zanotować, że podejrzany zrezygnował z obecności adwokata – przerwała mu pani prokurator. – Czym się podejrzany zajmuje?

– Od kilku lat głównie bieganiem. Przygotowuję się do startu w maratonie.

– Ale to nie jest chyba źródło utrzymania podejrzanego?

– Nie. Wynajmuję cztery mieszkania. No i jestem jasnowidzem.

– A nie detektywem? – wyrwało się protokolantce, która umilkła zgromiona wzrokiem pani prokurator.

– Nie, bo trudno by mi było o licencję przy życzliwości naszych organów ścigania. Za to dość łatwo założyć działalność gospodarczą o specjalności jasnowidzkiej. Teraz to dość popularne, a na dodatek postępuje i zamożniejsza część naszego społeczeństwa łatwiej wierzy w moje możliwości.

– Proszę odpowiadać tylko na pytania prokuratora.

– Oczywiście. To co jeszcze pani prokurator chce o mnie wiedzieć? Poza tym, co już i tak wie. – Prokurator Sapkowskiej wydawało się, że Przypadek puścił do niej oko, ale zrobił to tak błyskawicznie, że nie miała pewności, a protokolantka zapewne też tego nie zauważyła. Mogła więc tylko cierpko stwierdzić:

– Jako prokurator nie wiem o panu nic. Proszę podać miejsce zamieszkania i wszystkie dane kontaktowe.

– Tak jest! – Jacek wyprostował się na krześle, jakby miał stanąć na baczność. – Konecka czterdzieści mieszkania dwanaście – zameldował słuźbiście, dodając po chwili jeszcze numer telefonu. – Tylko dzwonić proszę raczej nie później niż do dwudziestej. No chyba że pani prokurator będzie miała pilną potrzebę.

– Widzę, że podejrzany świetnie się bawi. – Sapkowska z największym trudem powstrzymała się, żeby nie rzucić czymś w Jacka. – Może przejdzie mu na to ochota, gdy sobie uświadomi, że jest zagrożony karą do dwunastu lat więzienia.

– A mówią, że złość piękności szkodzi. – Jacek pokiwał głową ze zdziwieniem. – A pani prokurator wyraźnie służy.

– Jeszcze jedna taka uwaga i obiecuję ci, że wyjdiesz stąd prosto do aresztu! – Sapkowska straciła panowanie nad sobą i nie reagowała na gesty protokolantki, która być może chciała ją uspokoić, a być może o coś zapytać. – Czy to jasne... podejrzany?

– Tak.

– To proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach podejrzany wszedł w posiadanie materiałów pornograficznych i dlaczego zdecydował się na ich emisję na swoim internetowym kanale.

Sapkowska doskonale wiedziała, co powie Jacek, więc nawet go nie słuchała. Teraz nie miała cienia wątpliwości, że każde kolejne spotkanie z Przypadkiem jest dla niej wciąż niewskazane. Tylko dlaczego?! Przecież przestali się regularnie widywać, odkąd Jacek ostatecznie odpuścił sobie trud studiowania prawa i przestał uczęszczać na zajęcia. Parę razy byli wspólnie w większym gronie w teatrze, w kinie. Ale za każdym razem zaczynała się przy

nim płać jak mała dziewczynka przeżywająca swoją pierwszą, wielką, niespełnioną miłość...

Tak, musi definitywnie jak najszybciej zamknąć tę sprawę!

– Czy chce pani prokurator jeszcze coś wiedzieć? – zapytał Jacek.

– Nie. Wyjaśnienia podejrzanego mi wystarczą. Proszę jeszcze tylko przeczytać protokół z przesłuchania, sprawdzić, czy wszystko się zgadza, i podpisać.

– Żałuję, że na razie nie będziemy się więcej widywać – powiedział Jacek, przebiegając oczami treści swoich zeznań. – Ale cieszę się, że pani prokurator zdecydowała się umorzyć sprawę. Zawsze dobrze wiedzieć, że mogę skorzystać z mojego kanału internetowego.

– Ale ja... – Sapkowska otworzyła ze zdziwienia usta i przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Dopiero po dobrej minucie warknęła wściekła. – Nic takiego nie powiedziałam!

– Wszystko się zgadza. – Przypadek zignorował okrzyk Sapkowskiej i podpisał się pod protokołem zeznania. – Nie będę się dłużej narzucał.

Prokurator patrzyła, jak Jacek wychodzi, ale sama nie zauważyła, że jest bacznie obserwowana przez protokolantkę. I tak ją to niewiele obchodziło, bo wszystkie jej myśli krążyły wokół detektywa i zemsty, jaką mu kiedyś zgotuje za te wszystkie upokorzenia, które jej zafundował.

„Zobaczysz, wesołku, że któregoś dnia podpiszę nakaz twojego aresztowania – pomyślała, od razu jakby zapominając o tym, że nie powinna detektywa widywać. – I wtedy nie będziesz ci do śmiechu!”

Paweł Jaszczanin zawsze miał absolutną pewność, że w poprzednich swoich wcieleniach był kimś bardzo złym. Tylko bowiem tym faktem potrafił wytłumaczyć sobie to, że w tym życiu musiał pracować w wydawnictwie i użerać się na co dzień z całą masą zarozumiałych, zadufanych, egoistycznych, narcystycznych i niezdolnych do jakiegokolwiek myślenia ludzi.

– Kordian, ty już kompletnie oszalałeś! – Gdyby tylko mógł, Jaszczanin zacząłby potrząsać Zamoyskim. Niestety, słynny pisarz leżał teraz na szpitalnym łóżku całkowicie unieruchomiony przez gipsowy gorset. – Jak najlepszy nawet detektyw może znaleźć twój zgubiony pomysł na kryminał?!

– Wiesz, że sam jestem tego ciekaw? – przyznał Zamoyski. – Ale mówią, że w końcu to jasnowidz, więc powinno mu się udać.

– Prędzej sam trafisz przez niego do więzienia.

– Ja? A za co?

– Już on coś na ciebie znajdzie, zobaczysz. Nie słyszałeś, ilu porządnym ludzi z towarzystwa trafiło przez niego do pudła?

– Ale ja mam czyste sumienie. Tylko zgubiłem pomysł na kryminał.

– A myślisz, że ktokolwiek z tych, którzy przez niego siedzą, był tak naprawdę czemukolwiek winny? To byli sami uczciwi ludzie, którzy gdyby nie on do dziś cieszyliby się wolnością. Zobaczysz, będziesz żałował tego, że go wynająłeś.

– Oj, nie nudź, Paweł, już postanowiłem. On mi znajdzie ten pomysł. Jestem tego pewien.

Jaszczanin przyjrzał się uważnie swojemu podopiecznemu. Wiedział, że jak każdy inteligentny człowiek na poziomie w Warszawie wierzy w horoskopy i we wroźki. Lecz tym razem to było coś więcej. Znacznie więcej. To było jak wiara w moc czarodziejskiej różdżki Harry'ego Pottera.

– Kordian, przestań wymyślać bzdury i zabierz się w końcu do pisania. Zaliczkę wzięłeś pół roku temu, książka powinna się ukazać na warszawskich targach, a ty nie masz ani grama kryminału i na krakowskie też nie zdążyłeś! Wątpię nawet, żebyś się wyrobił na Wrocławskie Targi Dobrych Książek w grudniu!

– Nie moja wina, że ten wredny babsztyl z aparatem spadł na mnie z okna. Jeszcze gdybym ją niechętny uratował, byłaby z tego jakaś korzyść, zainteresowanie mediów, wywiady... – Rozmarzył się na chwilę, bo wyobraził sobie siebie w jakiejś części swej garderoby przypominającej strój dzielnego żołnierza. Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości. – A tak, ona nie żyje, a ja w szpitalu. Poza tym nie rozumiem, skąd ta panika, przecież wiesz, że mam już prawie całą książkę, tylko wątku kryminalnego nie wymyśliłem. Ale jak go będę miał, to raz-dwa go jakoś doczepię do reszty. To będzie góra trzydzieści tysięcy znaków.

– Przestań się wykręcać jakąś głupią babą, którą ciekawość zaprowadziła do piekła, tylko weź się do roboty, bo ci już grosza nie wypłacimy!

– Jak tak możesz?! Nie masz odrobiny tolerancji ani współczucia dla chorej i nieszczęśliwej osoby! Przecież przez ten wypadek poszły mi szwy na twarzy. – Kordian chwycił lusterko i z przerażeniem dostrzegł zmarszczki na swoim policzku. – I za co ja sobie zrobię następną operację plastyczną? Moje ubezpieczenie tego nie obejmuje!

– Kordian, ja ci się naprawdę staram pomóc. Jestem w twoim domu co drugi dzień i noszę tu twoje ulubione przedmioty, bez których byłoby ci smutno. I uwierz, że mam dla ciebie ogromną tolerancję. Za to nie mam pieniędzy, żeby utrzymywać takiego darmozjada! A ty jeszcze chcesz, żebym zatrudnił ci najdroższego detektywa w mieście. No chyba że masz zamiar sam za niego zapłacić. – Jaszczanin zaśmiał się głucho, bo wiedział, że takie przypuszczenie można traktować jedynie w kategorii żartu.

– Nie, ale mam coś, na czym może mu zależeć.

– Wiem, że bardzo cenisz swoje ciało, ale poza tym jesteś teraz bardzo brzydki, a on, w przeciwieństwie do ciebie, nie gustuje w chłopcach.

– Za to wydajecie książkę jego matki. A gdyby taki słynny autor jak ja zdecydował się napisać entuzjastyczną rekomendację na okładce, to na pewno sprzedaż by podskoczyła.

– Przecież nawet jej nie czytałeś.

– No i co z tego?! – Gdyby tylko była tak możliwość, Zamoyski wzruszyłby ramionami. Niestety, gipsowy gorset uniemożliwiał mu to skutecznie. – Podeslij mi wydruk, zawsze mogę zerknąć.

– Hmm – zadumał się Jaszczanin. – On chyba rzeczywiście ma hopla na punkcie tej książki matki... Ale wątpię, żeby drugi raz chciał pracować właściwie za to samo. Tę książkę i tak mu już wydamy, chociaż nakład zrobimy skromny i bez promocji poza spotkaniem na targach i jakimś jednym wywiadem w gazecie...

– Przyślij go do mnie. – Zamoyski uśmiechnął się chępliwie. – Zobaczysz, oczaruję go tak, że może nawet nie będę musiał dawać tej rekomendacji.

– Nie ma mowy, nie będę uczestniczył w jakiejś idiotycznej mistyfikacji. Jeśli za miesiąc nie dostanę porządnego zarysu wątku kryminalnego, to zrywamy z tobą umowę.

– Nie zrobicie tego! – Usta Zamoyskiego zadrżały i wygięły się w delikatną podkówkę.

– Kordian, nie szantażuj mnie tymi swoimi płacziwymi minkami. To nie robi na mnie wrażenia.

– A może jak udzielię wywiadu Bartoszowi Fifce o tym, że wydawnictwo porzuca pisarza, kiedy po ciężkim wypadku, spowodowanym próbą uratowania nieszczęsnej kobiety, nie jest w stanie dotrzymać terminów, będziesz bardziej wzruszony? – zapytał Zamoyski, ocierając łzę, która skapnęła na jego policzek.

- Terminów nie dotrzymałeś jeszcze przed wypadkiem.
- Niestety, z wywiadu nie będzie to wynikać. Naprawdę opłaca się wam mieć takie kłopoty? – Hetman Polskiego Kryminału uśmiechnął się słodko.
- Szantażujesz nas?! – zdenerwował się Jaszczanin.
- No co ty, Paweł! – Zamoyski był oburzony tym podejrzeniem. – Znamy się tyle lat, dobrze nam się współpracowało, w życiu nie chciałym tego zmieniać.
- To po co mnie straszysz Fiką? On gdzie teraz pracuje? Od kiedy zdjęli ten jego szoł z Szofłysikiem, tę *Niepotrzebną prawdę*, to w ogóle o nim nie słyszałem.
- Wraca do robienia programów kulturalnych. Wywiad ze mną ma być w jednym z pierwszych. I nie szantażuję cię nim, muszę po prostu szczerze opowiedzieć o swojej aktualnej sytuacji. I pomyśl, jaka to mogłaby być świetna reklama przyszłej książki.
- Kordian, ja wiem, że ty uchodzisz za geniusza autokreacji, ale po cholere mi reklama przyszłej książki, której nie będzie? Wybacz, ale jeśli naprawdę miałeś tuż przed tym wypadkiem jakieś olśnienie i wpadłeś na genialny pomysł, to on niestety zginął już na zawsze.
- Mam nadzieję, że nie. Ale nawet gdyby się temu Przypadkowi nie udało go odnaleźć, to macie jeszcze cztery moje kryminały, więc szybko zróbcie wznowienie, a jak dam wywiad Fifce, to się zrobi hałas wokół mnie i bankowo się wespnę na topkę w Empiku! – Zamoyski się uśmiechnął, a Jaszczanin spojrział na niego z mieszaniną złości i podziwu.

Antoni Gelberg czuł, że zawałił swoją misję, z której właśnie zdawał relację pani Irminie Bamber. Nie uważał wprawdzie, że jest czemukolwiek winny. Wszystko zrobił tak, jak ustalili, ale jednak wiedział, że gospodyni nie będzie z niego zadowolona. A to poważnie zmniejszało szanse na powodzenie planu, na którym zależało mu dużo bardziej.

- Tak ci powiedział? – upewniła się pani Irmina.
- Tak.
- Czyli pewnie się domyślił, że to ja cię wysłałam z tym niby zleceniem dotyczącym kradzieży obrazów. I nadal nie wiemy, dlaczego nie korzysta z mojej pomocy – stwierdziła załamana pani Irmina.
- Tak, nadal nie wiemy – potwierdził pan Antoni, chociaż tak naprawdę domyślał się przyczyny. Nie chciał jednak ranić uczuć bliskiej jego sercu kobiety i mówić jej, że prawdopodobnie została zastąpiona przez mężczyzn o fioletowym odcieniu twarzy. Dlatego nawet nie wspominał o końcu swej misji i spotkaniu Kikuta.
- To jednak nie był dobry pomysł z wysłaniem cię tam.
- Też tak uważam – przytaknęła skwapliwie pan Gelberg, który miał nadzieję, iż ta konstatacja sprawi, że pani Bamber nie będzie chciała go ponownie włączyć w trwające śledztwo. A może nawet sama sobie je wybije z głowy? I może wreszcie będzie mógł zrealizować swój plan... Jego nadzieje jednak okazały się płonne.
- Tak, moje śledztwo nie ma sensu. W końcu to najlepszy detektyw świata, więc jeśli będzie chciał coś ukryć, to po prostu to zrobi i nikt się tego nie domyśli. Tu trzeba działać inaczej, bezwarunkowo! A w zasadzie należy nie działać. Kiedyś wreszcie będzie potrzebował mojej pomocy i przyjdzie tu po nią. A ja wtedy odpłacę mu za to, co zrobił!
- Były już antykwariusz westchnął cicho, bo zapowiadało się, że nieprędko zrealizuje swój plan. Wiedział przecież, że detektyw ma już nowych pomocników i może przez najbliższy rok nie przyjąć po pomoc. A może już nawet nigdy? Dlatego zapytał zrezygnowany:
- Jak konkretnie chcesz mu odpłacić?

- Tego nie wiem. Coś na pewno wspólnie wymyślimy. Pomożesz mi?
- Zanim pan Antoni zdążył zadeklarować swoją pomoc, odezwał się dzwonek do drzwi.
- Może już potrzebuje? - wyraził nadzieję pan Antoni.

- Nie - zaprzeczyła pani Irmina stanowczo, podnosząc się z fotela. - O tej porze zawsze biega.

Poszła do korytarza i wyjrzała przez judasza. Potem zerknęła na zegarek, żeby upewnić się raz jeszcze, która jest godzina, i otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stali sąsiedzi spod trzynastki, czyli mieszkająca tam para gejów. Gabi trzymał w ręku wielki tort, a Roman butelkę wina. Uśmiechali się przyjaźnie, ale pani Irmina nie miała ochoty na odwzajemnienie ich uśmiechów. Wystarczająco napsuli jej krwi swoimi ciągłymi kłótniami o każdej porze dnia i nocy. I choć podstęp Jacka, który obiecał płacić za nich czynsz w zamian za ograniczanie hałasów, spowodował, że ich sąsiedztwo stało się dużo znośniejsze, to pani Bamber nie miała zamiaru ich polubić.

- Słucham panów? - zapytała chłodno, co sąsiadów nieco zbiło z tropu. Popatrzyli na siebie niepewni i stuknęli się parę razy nawzajem, dając sobie znak, że to ten drugi ma zacząć mówić. W końcu Roman ciężko westchnął i zaczął:

- Pomyśleliśmy, że... może w sumie... to znaczy nie najlepiej zaczęliśmy nasze sąsiedztwo.
- Delikatnie powiedziane. - Pani Irmina nie potrafiła darować sobie uszczypliwości.
- Proszę nas zrozumieć. Akurat przechodziliśmy trudny okres w związku.
- A bywały u was lepsze okresy? - Pani Irmina była bezlitosna.

Sąsiadom jednak chyba bardzo zależało na poprawie stosunków, bo przełknęli jej uwagę gładko.

- My zawsze żyliśmy w szczęśliwym związku - oświadczył dumnie Gabi, ale Roman, widząc nieadekwatność tych słów do sytuacji, poprawił partnera:

- To znaczy jesteśmy ze sobą już osiem lat i zapewniam, że bywało dużo lepiej. I mamy nadzieję, że będzie jeszcze lepiej. Dlatego przyszliśmy do pani z wizytą.

Pani Irmina zmierzyla sąsiadów nieprzychylnym spojrzeniem. Nie miała najmniejszej ochoty ich gościć, gdyż jej głowę zaprzętały w tej chwili stosunki z dużo ważniejszym dla niej mieszkańcem czwartego piętra, ale oni byli chyba naprawdę zdeterminowani, żeby ją odwiedzić. Odsunęła się więc i powiedziała:

- Zapraszam, wejdźcie.

Wprowadziła ich do salonu, w którym nadal siedział Antoni Gelberg, a na ścianach wisiły obrazy najbardziej znanych polskich malarzy sprzed stu i więcej lat. Na nie jednak nie zwrócili uwagi, być może biorąc je za kopie, a może raczej ze względu na ich daleko posunięty realizm, który zgodnie uznawali w sztuce wszelakiej za objaw pospolitego drobnomieszczactwa. Dużo bardziej zainteresował ich były antykwariusz, który został przedstawiony przez gospodynię jako przyjaciel i który na dodatek przyglądał im się z wyraźną niechęcią, jakby mu w czymś przeszkadzali.

- O, to my może nie w porę? - zaniepokoił się Gabi, przykładając prawą dłoń do serca. - Nie chcieliśmy przerywać żadnej randki.

- Ja już jestem dorosła i nie chodzę na żadne randki - odpowiedziała chłodno pani Irmina.

- Niech pani da spokój, my też jesteśmy dorośli i w związku, a i tak czasem umawiamy się z kimś innym na randkę. - Gabi poczuł na ramieniu lekki uścisk dłoni Romana, który szybciej zorientował się w sensie wypowiedzi sąsiadki.

- Może stąd wasze kryzysy - zauważyła pani Irmina.

– Ależ nie, taka randka z kimś innym potrafi być bardzo ożywcza dla związku... Au, zgnieciesz mi rękę! – Gabi spojrział z wyrzutem na Romana, ale, widząc wyraz twarzy partnera, zrozumiał, że coś jest nie tak, choć jeszcze nie do końca wiedział co. – No co ty, starsi ludzie też chodzą na randki i mogą, a nawet powinni uprawiać na nich seks. Pamiętasz Franciszka? Przecież on ma prawie osiemdziesiątkę, a...

– Gabi, zamknij się! – warknęła niezbyt elegancko Roman, próbując ratować sytuację, ale było na to za późno.

– Byłabym wdzięczna, gdyby panowie powiedzieli, o co im tak naprawdę chodzi, bo w to, że chcieliście mi podarować tort, trudno mi uwierzyć.

– No tak... w zasadzie... rzeczywiście, chcieliśmy prosić, żeby wpłynęła pani nieco na tego detektywa.

– Nie wiem, czy to możliwe – odpowiedziała z nutką żalu pani Irmina, która utraciła ostatnio wiarę, że może mieć jakiś wpływ na Jacka. Tego jednak nie wiedzieli sąsiedzi, którzy pospieszili z zapewnieniem:

– Ależ naturalnie, że możliwe. Gdyby tylko pani zechciała...

– W pani nasza ostatnia nadzieja – oświadczył patetycznie Gabi i dodał dla większego efektu: – Jeśli nie pani, to za ścianą może dojść do zbrodni!

– Pod trzynastką to nawet nie jest dziwne, to zawsze było przekłete mieszkanie – stwierdziła spokojnie pani Irmina. – A co miałabym zrobić?

– Chodzi o to, żeby zniósł ten zakaz nocnych kłótni. My się naprawdę postaramy, żeby nie były zbyt głośne – zapewnił Gabi. – Ale proszę zrozumieć, że gdy wieczorem o coś się na niego pogniewam, nie mogę czekać do rana, aż na niego nakrzyczę. To nieludzkie! Pogorszyły mi się wyniki badań, cukier mi skoczył, serce mi wariuje przez ten idiotyczny zakaz!

Jack nie od dziś uważał, że ludzi są banalnie przewidywalni. To przekonanie stało się przeciw jego życiowym mottem. Niekiedy jednak potrafili go zaskoczyć jakimś drobiazgiem, a od czasu do czasu robili mu nawet większe niespodzianki. Kordian Zamoyski zdecydowanie nie należał do takich osób. Zanim Przypadek znalazł się w jego szpitalnej sali, znał właściwie każde słowo, które od niego usłyszy.

– Witam najszlachetniejszego detektywa! – Autor kryminałów uniósł się na łóżku, najwyżej jak tylko pozwalał mu na to jego obecny stan. – Jakże się cieszę, że mogę pana poznać.

– Mnie również jest bardzo miło – przytaknął grzecznie Przypadek i pomyślał: „A teraz powie, jaki to dla niego zaszczyt!”

– To dla mnie ogromny zaszczyt, że będę mógł z panem współpracować.

– Dla mnie także – zgodził się pogodnie Jacek i pomyślał: „A teraz pochwali książkę mamy, do której zapewne w ogóle nie zajrzał!”

– Dla mnie tym większy, zwłaszcza że miałem ogromną przyjemność przeczytać książkę pana mamy. – Zamoyski dotknął ręką stosu zadrukowanych kartek, który położył kilka minut temu na szafeczce obok łóżka. – Zachwycająca! Aż żal, że dopiero teraz objawił się jej wielki talent! Zapewne wyzwoliły go pańskie frapujące doświadczenia życiowe.

– Być może miało to pewien wpływ – zgodził się łaskawie Jacek i pomyślał: „Teraz proponuje rekomendację?”

– Bardzo chętnie napiszę entuzjastyczny blurb na okładkę, co na pewno wspomogę sprzedaż tej znakomitej pozycji.

– Na pewno nie zaszkodzi – stwierdził nieco cierpko Jacek i uznał, że chyba ma dość tej zabawy w kotka i myszkę, skoro zna wszystkie następne ruchy myszki.

„Teraz jeszcze przez kwadrans podlizywałby mi się, żeby potem zacząć wyjaśniać, dlaczego miałbym mu za darmo poprowadzić całą sprawę – pomyślał Przypadek. – Szkoda mojego czasu”. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd zakredytowaną kartkę. „Czas przejść do konkretów”.

– Tu ma pan listę dziesięciu krytyków, którzy najbardziej chwalą pańskie kryminały. – Jacek wręczył zaskoczonemu Zamoyskiemu kartkę. – Wiem, że i tak zna pan doskonale ich nazwiska, ale wolałem je wypisać, żeby pan żadnego nie pominął.

– Słucham?! – Autor kryminałów patrzył zdumiony na detektywa. – Nie rozumiem...

– Każdy z nich napisze entuzjastyczną recenzję książki mojej mamy. Jak to się już stanie, ja znajdę pana zagubiony pomysł.

– Ale co ja mam z nimi wspólnego? – Zamoyski wyciągnął w stronę Przypadka kartkę z nazwiskami.

– Z każdym zapewne coś innego, ale mnie to już nie interesuje. Jeśli chce pan, żebym dla pana pracował bez grosza honorarium, taka jest właśnie moja cena. Jeśli nie, to nie mamy o czym rozmawiać.

„A teraz rozważa, co poszło nie tak, że nie oczarował kolejnego maluczkiego, który powinien zachwyć się jego szarmem, pozycją, aparycją, elokwencją oraz wszystkim innym, czym według siebie dysponuje”. Przypadek z rozbawieniem przyglądał się zaskoczonej twarzy Kordiana. „Nie jest jednak aż taki głupi, żeby to do niego w końcu nie dotarło. Będzie na to potrzebował góra minuty”.

– Jak mam to zrobić? – zapytał punktualnie po sześćdziesięciu sekundach pisarz.

– To już pan wie najlepiej. Ja proponuję, żeby zaczął pan od najłatwiejszych, bo ja każdego dnia chcę dostawać jedną recenzję...

– Przecież nikt mi nie napisze na jutro recenzji! Nawet nie zdąży przeczytać książki.

– Mam wrażenie, że to zwykle jest najmniejszy problem. Niejeden raz byłem wręcz pewien, że krytyk nie czytał książki, którą recenzował – oświadczył Przypadek, a kiwnięcie głową przez Zamoyskiego oznaczało, że niestety Jacek nie jest daleki od prawdy.

– No dobrze, powiedzmy, że udałoby mi się namówić dwóch... no, może trzech krytyków...

– Ma być dziesięciu, bo inaczej nici ze znalezienia zaginionego pomysłu.

– Może czterech... Tak, Horwacika przekonam, chociaż on zasadniczo nie gustuje w kryminałach – targował się Zamoyski, ale Jacek był nieubłagany.

– Dziesięciu.

– Nie dam rady! – jęknął pisarz i stuknął palcem w kartkę przy nazwisku numer sześć. – O, widzi pan tego? Pan wie, co ja bym musiał mu zrobić za dobrą recenzję?

– Jak powiedziałem, szczegóły mnie nie interesują. I nawet wolałbym o nich nie wiedzieć – przyznał Jacek, który doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo będzie musiał się Zamoyski poświęcić w celu uzyskania recenzji od krytyka numer sześć.

– O, a ten. – Autor kryminałów stuknął w ostatnie nazwisko z wymienionych na liście. – Kusibab jest kompletnie poza moim zasięgiem, jemu po prostu trzeba zapłacić. I ja nigdy tego nie robię z własnej kieszeni.

– Zatem postara się pan w wydawnictwie, żeby zapłacili. Jesteśmy umówieni?

– Jednak to prawda, co o panu mówią, że jest pan skończonym draniem i łotrem. – W głosie Zamoyskiego nie było nawet odrobiny potępienia, tylko raczej podziw i nutka żalu, że nie trafił na kogoś bardziej łatwowiernego.

– Do usług łaskawego pana. – Przypadek skłonił się dwornie, jak przystało na kogoś, kto odwiedza osobę o wielkim magnackim nazwisku.

– Ale jaką ja mam gwarancję, że pana przenikliwość i jasnowidztwo nie są przereklamowane?

– Panie Kordianie... Jeśli mogę tak do pana mówić. Bo przecież ma pan na imię zupełnie inaczej. Na nazwisko zresztą też. – Przypadek uśmiechnął się jak zwykle przyjaźnie, a pisarz stwierdził, że nie potrzebowałby w tej chwili ani grama gipsu, bo i tak cały zeszytywniał z przerażenia. – Po minie sędzę, że przekonałem pana w dostateczny sposób. Zatem jesteśmy umówieni?

Bogusław Siemak nie był stałym widzem programów kulturalnych, można nawet powiedzieć, że zwykle omijał je szerokim łukiem. Chociaż z wieloma ludźmi kultury był na ty. Niejeden z nich dorabiał podczas organizowanych przez niego eventów i nie odmawiał wypicia potem paru głębszych. Wprawdzie mieli tę niemiłą cechę, że czasem zbyt mocno dopominali się o swoje honoraria i narzekali na jakość hoteli, które dla nich wynajmował, ale ogólnie można było uznać, że są całkiem okej. Nie było to jednak wystarczającym powodem, żeby chcieć ich obserwować w telewizji, jak się realizują artystycznie, gdyż Siemaka bardziej interesowały ich umiejętności ludyczne, trafiające w gust zamawiających eventy.

Ale gdy w rozmowie dwóch sąsiadek usłyszał, że Zamoyski będzie w telewizji opowiadał o tym, co się wydarzyło w ich kamienicy, uznał, że tego programu nie może przegapić. Włączył telewizor i wysciszył go, żeby nie przeszkadzał mu w graniu na tablecie. Dopiero kiedy zobaczył na ekranie postać swojego sąsiada, odłożył zabawkę i podkręcił głoś.

– Możesz nam powiedzieć, jak to się stało? – zapytał zaniepokojony Fifka.

– Ostatnimi czasy miałem pewną blokadę twórczą...

– Trudno mi uwierzyć. Znam cię dobrze, zwykle pomysłami sypiesz jak z rękawa. Nawet lepiej niż Kraszewski.

– To prawda – zgodził się z wrodzoną skromnością Zamoyski. – Ale mnie zależy na pewnej wyjątkowości, a nie na wtórności tego, co piszę. Wolę bowiem być nawet może nie do końca udanym oryginałem niż marną kopią – oświadczył z wyższością.

– Twoje oryginały są zawsze udane – słodził Fifka.

– I takiego właśnie oryginału poszukiwałem niemal od roku. Nie ukrywam, że zawałem przez to kilka terminów w wydawnictwie, ale na szczęście pracuję tam z fantastycznymi ludźmi, którzy rozumieją moje problemy – powiedział Kordian i pomachał ręką do kamery. – Pozdrawiam cię, Pawle.

– A wracając do tego feralnego dnia...

– Poszedłem przewietrzyć nieco głowę. Wracałem i zobaczyłem tę nieszczęśliwą kobietę w oknie z aparatem. Mocno się wychylała, ale nieraz tak robiła, więc do głowy by mi nie przyszło, że wypadnie. Inaczej rzuciłbym się oczywiście na pomoc. Ale nagle strzępy pomysłów, które miałem, ułożyły mi się w niezwykle oryginalną całość.

– Doznałeś olśnienia?

– Otóż to. Chciałem biec, żeby zapisać ten pomysł, bo takie rzeczy bywają niezwykle ulotne. I wtedy niestety ona spadła na moją głowę. Straciłem przytomność i leżę już tutaj dwa tygodnie bez szans na rozpoczęcie prac. Zresztą co miałbym pisać, skoro cały pomysł diabli wzięli! – Zamoyski był mistrzem płakania na zawołanie i tym razem również mu się udało uronić parę łez.

– Współczuję – rzekł do głębi przejęty redaktor Fifka. – Pojawił się jednak cień nadziei.

– Tak, zgłosił się do mnie detektyw Przypadek i zaproponował, że odnajdzie mój pomysł...

– Pewnie jednak nie zrobi tego za darmo – powiedział z potępieniem w głosie Fifka, jak wszyscy ci, którzy sami zarabiają dobre pieniądze, ale żądają od innych, aby pracowali dla nich dla samej idei i przyjemności obcowania z nimi.

– To prawda, zwłaszcza że sporą część będą musiał zapłacić z góry, bez gwarancji sukcesu, ale jestem trochę w sytuacji bez wyjścia...

– Czyli ile będzie to konkretnie kosztować?

– Dżentelmeni nie mówią o pieniądzach. Szczególnie że ja nie robię tego dla pieniędzy. Po prostu czuję, że to się należy moim czytelnikom... Mam już właściwie gotowe wspaniałe tło obyczajowe...

– ...z którego słyną twoje kryminały – dopowiedział usłużnie redaktor.

– To prawda. Ale brakuje mi wątku kryminalnego, który miałby je spiąć.

– A tymczasem zachęcamy do zakupu poprzednich czterech kryminałów, których wznowienia trafią za kilka dni do księgarni. Takie wsparcie z pewnością pomoże naszemu znakomitemu autorowi w uregulowaniu rachunku za usługi słynnego detektywa.

Fifka i Zamoyski zniknęli z ekranu telewizora Siemaka, który wyłączył odbiornik. Nie uruchomił jednak z powrotem tabletu ze swoimi ulubionymi gramy, tylko przez dobrą minutę wpatrywał się w czarny ekran.

„Cholera jasna, po co on ciągnie tego detektywa?! – zastanawiał się. – Zacznie tu chodzić, węszyć i szukać tego jego pomysłu... Zresztą jak on go chce znaleźć?! Przecież to jakiś totalny debilizm. Takich rzeczy nie da się znaleźć. Ten Zamoyski już całkiem musiał ześwirować przez to zderzenie ze Schabowską. Tylko go ten detektyw naciągnie na kasę i tyle. Gorzej, jak się naprawdę zainteresuje wypadkiem z tą wścibską babą.”

Pani Łosiowa od początku była zaniepokojona nową pasją męża. Wprawdzie widziała jej zbawienny wpływ na jego tuszę i nie miała wątpliwości, że od strony fizycznej wyszła mu na zdrowie. Natomiast jej niepokój budziła strona psychiczna. Sama nieraz próbowała skłonić męża do częstszego uprawiania sportu, ale jej starania zwykle kończyły się stwierdzeniem podkomisarza, że skoro zalicza on obowiązkowe testy w policji, to znaczy, że jest w dobrej formie. A gdy zauważała, że to może być efekt tego, że zna się dobrze z przeprowadzającymi sprawdziany, prychał tylko pogardliwie.

Teraz zaś biega regularnie już prawie dwa miesiące i bardzo to sobie chwali! Pani Łosiowa podejrzewała, że musi mieć to jakiś związek z detektywem, i zaczęła się poważnie obawiać, że stał się on dla jej męża swego rodzaju idolem, na dodatek takim, od którego się kompletnie uzależnił.

No chyba że za tym bieganiem kryje się coś jeszcze. Coś, do czego nie chce się żonie przyznać. W sumie po każdym biegu wraca spocony i sapiący. A może on się tak nie męczy w trakcie biegania, tylko u jakiejś takiej, która wyciska z niego ostatnie poty?!

– Jak on chce znaleźć ten pomysł? – powtórzył po raz setny tego dnia podkomisarz, wkładając dres.

– Znowu idziesz biegać? Rano przecież już biegałeś...

– Muszę się dowiedzieć. A to bieganie znakomicie mi pomaga. Na wszystko.

– A nie lepiej byłoby się przebiec do niego i zapytać, jak chce to zrobić?

– Podinspektor Zasada pouczył mnie ostatnio, że zbyt blisko traktuję tę współpracę z Przypadkiem. Że nie mam z nim bezpośrednio prowadzić śledztw, tylko je nadzorować z boku, żeby nie sprawiały kłopotu odpowiednim ludziom. I w razie konieczności chwytac winnych. Kazałem już Smańce ściągnąć wszystkie dokumenty dotyczące tej sprawy...

- To policja teraz prowadzi śledztwo w sprawie zaginionego pomysłu pisarza Zamoyckiego?

- Nie, chodzi o tę Schabowską, co to mu spadła na głowę. Skoro ten pomysł wpadł Zamoyckiemu do głowy w chwili, kiedy na nią spojrzął, to pewnie było tam coś takiego obok niej, co mu go poddało. I pewnie tym tropem będzie szedł Przypadek.

- A może zobaczył, że ona chce się rzucić z okna, i chciał ją uratować? A teraz już nic z tego nie pamięta. Stracił przytomność i zapomniał...

- Po pierwsze, on bardzo jej nie lubił. Zresztą jak większość mieszkańców tej kamienicy, podobno każdemu ona zalaża za skórę. Po drugie, on jest znany z tego, że dba o swój wygląd i pomocy udziela wyłącznie wtedy, gdy jest to jakaś akcja głośna w mediach. Poza tym kobieta spadła na niego w taki sposób, że można wykluczyć, iż chciał ją ratować. Przypuszczam raczej, że za jej plecami mógł zobaczyć mordercę...

- To nie był nieszczęśliwy wypadek?

- Oficjalnie był. Nie znaleźliśmy żadnych śladów, które wskazywałyby co innego. Ale chcę jeszcze raz dokładnie przejrzeć akta tej sprawy, może tam znajdę jakiś trop?

- A może jutro razem pobiegamy? - zaproponowała znienacka pani Łosiowa, a podkomisarz spojrzął na nią, jakby pierwszy raz ją widział.

- Razem? Po co razem?

- Bo nie chce mi się samej biegać. Jutro niedziela, zapowiada się ładna pogoda.

- Ale ty przecież w ogóle nie biegasz? - Łoś podejrzliwie spojrzął na żonę, bo zbyt długo ją znał, by uwierzyć, że ten pomysł przyszedł jej do głowy ot tak sobie, spontanicznie.

- Chciałabym zacząć. Tak jak ty. Uważasz, że to zły pomysł? - zapytała w taki sposób, że jakiegokolwiek potwierdzenie ze strony podkomisarza mogłoby się dla niego nie skończyć dobrze.

- Nie. Całkiem może i niezły, tylko...

- Jakie „tylko”? - Łosiowa jeszcze groźniej się nastroszyła.

- Może na początek pobiegałabyś sama? Żeby sprawdzić, czy ci się to podoba.

- A nie mogę sprawdzić tego przy tobie?

- Możesz, oczywiście. Tylko widzisz, ja już teraz biegam szybko i potrafię pokonywać spore odległości - zaznaczył chętnie podkomisarz. - A ty na razie jeszcze musisz dochodzić do formy. Jak już trochę pobiegasz i dasz radę dotrzymać mi kroku, to możemy spróbować.

- To dla ciebie takie duże poświęcenie, jak czasem na mnie zaczekasz? - warknęła groźnie żona policjanta.

- Nie, skądże. Jeśli ci tak na tym zależy, możemy pobiegać razem - powiedział w końcu zrezygnowany podkomisarz.

- W ogóle mi na tym nie zależy! - fuknęła pani Łosiowa. - Możesz sobie biegać sam aż do utraty tchu.

- To po co to proponowałaś? - zapytał podkomisarz, jakby ożenił się dopiero wczoraj, a nie dwadzieścia kilka lat wcześniej, i wciąż myślał, że zachowania współmałżonki można przetłumaczyć w sposób logiczny.

- I tak tego nie zrozumiesz - oznajmiła pani Łosiowa z wyższością właściwą każdej kobiecie, która nie ma zamiaru tłumaczyć mężczyźnie meandrów uczuć.

Garnitur Błażeja Sakowicza został uszyty przez jednego z najlepszych krawców w Warszawie, dlatego nawet tak skromnej postury użytkownik, jak młody mecenas, wyglądał w nim na przystojnego i dobrze zbudowanego mężczyznę.

Mimo to przyjaciel detektywa spoglądał w lustro z pewną dozą sceptycyzmu.

– Naprawdę już rozwiązałeś tę zagadkę? – zapytał Błażej stojącego obok Jacka.

– Tak. W tym Pseudozamojskim można czytać jak w otwartej księdze.

– I ty przeczytałeś w niej, jaką wymyślił zagadkę?

– W pewnym sensie.

– To jaką? – Sakowicz poprawił muchę, która nagle przestała mu się podobać.

– Błażej, za pół godziny się zenisz! Nie masz ciekawszych tematów?

– Nie możesz mi chociaż powiedzieć, jak odkryłeś, że on się nie nazywa, jak nazywa?

– To akurat byłoby chyba proste dla każdego. On właściwie każdą rzecz ma oznaczoną swoimi obecnymi inicjałami K.Z.

– Nawet w szpitalu?

– Leży w prywatnej klinice, a jego pokój jest wypełniony jego rzeczami, łącznie z własną kołderką. I tylko jedna poduszka i rękawiczki miały wyhaftowane S.P. Ale pewnie to, co kryje się pod tymi inicjałami, brzmiało niezbyt dumnie, dlatego tak na oko paręnaście lat temu zmienił imię i nazwisko.

– Ale że mu pozwolili? Historyczne nazwiska są pod ochroną.

– No cóż, pan Pseudozamojski może wiele dzięki różnym układom. Ale niestety one nie pozwalają mu dostać dobrej intrygi kryminalnej...

– Czekaj, czekaj... On chce ją dostać od ciebie?

– Właśnie. Jak przyznał, wpadł na ten pomysł tuż przed upadkiem na niego tej Schabowskiej. Nie zapomniał o nim, ale dzięki temu wzbogacił go o nowy element, którym była amnezja spowodowana przez kontakt ze spadającą sąsiadką. To znaczy już wcześniej wpadł na koncept, że będzie twierdził, iż zgubił pomysł na kryminał, a ja mu go odnajdę...

– Ale jeśli ludzie mają uwierzyć, że naprawdę znalazłeś zaginiony pomysł, to nie możesz mu po prostu podrzucić jakiejś swojej starej sprawy, bo wszystkie zostały dobrze opisane przez gazety i ludzie je znają.

– To fakt, o którym pan Pseudozamojski nie pomyślał. W końcu nie jest mistrzem logiki, tylko automarketingu. Ale tu przysłała nam z pomocą ta Schabowska. Pseudozamojski nie wierzy, żeby to był wypadek, a po tym, co mi opowiedział, uważam, że to możliwe, iż ktoś jej pomógł wypaść z okna. A ponieważ ten wątek kryminalny ma być doczepiony do książki, w której i tak opisuje w zawaolowany sposób swoich sąsiadów, to świetnie się składa.

– I dasz radę rozwiązać tę sprawę bez pani Irminy i bez podkomisarza Łosia?

– A dlaczego miałbym rozwiązywać bez Łosia?

– Wspominałeś ostatnio, że spodziewasz się, iż każą mi ograniczyć kontakty z tobą.

– Jakoś sobie z panem podkomisarzem poradzimy. A ty się już nie zajmuj moimi śledztwami, tylko skup się na dzisiejszym dniu.

– Tak się chciałem tylko odstresować.

– Wydawało mi się, że to raczej Ania stresuje się tym ślubem.

– Do dzisiaj tak było. Ale teraz to ci powiem, że... – Wprawdzie byli sami, ale Błażej ze względów, których sam nie do końca rozumiał, postanowił ściszyć głos. – W zasadzie tyle osób teraz żyje bez ślubu. I jakoś sobie radzą...

– Sakowiczom to się nigdy nie przydarzyło.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Poza tym wiesz, zawsze starałem się być nowoczesny, w odróżnieniu od mojego staroświeckiego ojca. Po co mi ten cały ślub? I to teraz, kiedy jestem w najbardziej atrakcyjnym wieku? Przecież babki za mną szaleją. Wczoraj byłem na przykład na spotkaniu u klientki i po chwili czułem się właściwie nagi, tak mnie

rozbięła wzrokiem. – Błażej nakręcał się coraz bardziej, dlatego Jacek postanowił to przerwać radykalnie:

– Masz rację, trzeba z tego ślubu zrezygnować, dzwoń do Anki i powiedz, że to nieaktualne. – Przypadek wręczył zaskoczonemu przyjacielowi telefon.

– Ale... myślałem raczej, że będziesz mnie zachęcał do ślubu – powiedział wyraźnie rozczarowany mecenas.

– Prawdę powiedziałem, wolę, żeby go nie było – wyznał detektyw i tym razem mówił zupełnie serio.

– Dlaczego? Tak bardzo nie lubisz Anki? Ja wiem, możesz mieć do niej pretensje, że wybrała mnie, a nie ciebie, ale chyba...

– Nie chodzi o Ankę, ale o Marzenę. Sam wiesz, jak bardzo mnie ostatnio unikała. A nawet unikała mnie bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić. A dzisiaj będę musiał w końcu z nią porozmawiać.

– Czyli to jednak twoje?

– Co moje?

– No, dziecko Marzeny. Jak Anka mi powiedziała, że ona jest w ciąży, to od razu pomyślałem, że to twoje... – Błażej chciał dodać coś jeszcze, ale zadzwonił jego telefon. Jeden rzut oka na jego wyświetlacz sprawił, że Sakowicz junior zesztyniał. – Tak, żabko? – odezwał się drżącym głosem. – Ależ skąd, nie rozmyślałem się, skąd ci to przyszło do głowy?! No przecież mamy jeszcze prawie pół godziny, nie obawiaj się, dotrzemy na czas. Nie, Jacek nie będzie dzisiaj biegł, przyjedzie ze mną – zapewnił młody mecenas, ale na wszelki wypadek spojrzął na przyjaciela, który kiwnął potakująco głową.

Warszawscy zbieracze złomu, przeszukujący śmietniki, ciągnący za sobą ręczne wózki lub też wchodzący w posiadanie różnych metalowych części otaczającej nas rzeczywistości w legalny lub niezbyt legalny sposób, są w powszechnej opinii bezdomni. Twierdzenie jest oparte na solidnych podstawach, rzec by można, że nawet jest regułą, ale jak to często bywa, od reguły zdarzają się wyjątki.

Jednym z nich był Wenant Chłodek zasiedlający kamienicę, w której mieszkał również Kordian Zamoyski. Zajmował mieszkanie na parterze, co było dla niego nadzwyczaj korzystną okolicznością, ponieważ winda była bardzo wiekowa i często się psuła. Z kolei stan, w jakim najczęściej znajdował się Wenant Chłodek, nie sprzyjał chodzeniu po schodach, gdyż zbyt łatwo mógł ulec wypadkowi. Niestety bowiem regułą dużo powszechniejszą niż bezdomność jest wśród warszawskich zbieraczy złomu skłonność do nadużywania napojów wysokowych.

Śłodką tajemnicą pana Wenantego pozostanie, jak przy tym trybie życia zdołał jakoś utrzymać mieszkanie, nie zadłużając go zanadto, a nawet od czasu do czasu je sprzątając. Te porządki nie były wprawdzie zbyt częste i zawsze odbywały się w poszukiwaniu zapasów na czarną godzinę, ukrytych przeczornie w lepszych czasach, ale jednak w drodze od drzwi do stołu nikt nie musiał się przebijać przez tony śmieci. Zbieracz złomu rzadko trzymał swój towar w domu, choć czasem mu się to zdarzało, dlatego sąsiedzi oskarżali go regularnie o to, że to on jest przyczyną pojawiającej się co jakiś czas w kamienicy plagi prusaków.

Wenant Chłodek stanowczo zaprzeczał tym insynuacjom, będąc nawet gotowym udostępnić swoje mieszkanie na inspekcję. Nie znajdował jednak chętnych. Nie dziwiło go to specjalnie, gdyż nawet on miał świadomość, że pachnie tam niepięknie. W używaniu wody był nadzwyczaj oszczędny, a żaden odkurzacz nie zagrzezał u niego zbyt długo miejsca, bo każdy z nich był wyposażony w sporą ilość metalowych części, które można było

korzystnie spieniężyć w najbliższym skupie złomu. Dlatego inni lokatorzy pozostawali przy swoich oskarżeniach, konsekwentnie odmawiając osobistej inspekcji u pana Wenantego.

Tego typu oporów nie mieli mniej lub bardziej długotrwali współnicy Chłodka, którzy chętnie odwiedzali jego mieszkanie, szczególnie w chłodniejszych i bardziej deszczowych porach, opróżniając razem z gospodarzem butelki trunków o niewygórowanych cenach. Na przykład tacy jak Saganek, posiadacz orlego nosa i jedynie niewielkiej ilości włosów na obrzeżach łysej czaszki. Tym razem jednak, choć miał ze sobą ich ulubiony Kwiat Pustyni, czyli szczytowe osiągnięcie winiarzy z doliny środkowej Wisły, zaznaczył wyraźnie na dzień dobry, że jego spożycie może nastąpić dopiero po wypełnieniu misji, z którą tu przybył.

– Jak to jest poważna misja, to może byśmy chociaż otworzyli butelkę? – zagaił Chłodek, patrząc na zielonkawę szklę Kwiatu Pustyni.

– Nie, nie, ja po alkoholu za bardzo w dygresje popadam.

– No dobra, to mów, z czym przychodzisz – zgodził się niechętnie gospodarz.

– Chciałem się dowiedzieć czegoś o wypadku Schabowskiej.

– A co ty do niej miałeś?

– Pracuję dla detektywa Przypadka – oświadczył dumnie Saganek.

– Czekaj, a to czasem nie ten, co to do pudła usadził Makbetkę? – Tak miała na imię króloua serc bezdomnych z połowy Warszawy. Jednym z nich było zresztą serce Chłodka.

– Należało się babie – oświadczył twardo Saganek. – Ilu ona chłopów do zguby doprowadziła!

– Fakt – przyznał gospodarz. – Ale trudno teraz znaleźć taką, co to przytuli takich jak my.

– Daj już jej spokój, powiedz coś o tej Schabowskiej.

– Na sąsiadów nie bardzo mi wypada donosić – powiedział wymijająco Chłodek, patrząc łakomie na Kwiat Pustyni. – Nawet na tych martwych. – Saganek zrozumiał, że nie ma wyjścia.

– Dobra, wypij literatkę, ale mnie nie polewaj. – Gospodarz ochotczo spełnił prośbę gościa i oblizał się z zadowoleniem, mówiąc:

– Schabowska, powiadasz? Tak, pamiętam ten dzień. Przeleciała tuż za moim oknem. W zasadzie pecha miała straszego, bo w sumie z trzeciego piętra tylko leciała i jeszcze na tego pisarza spadała, a i tak sobie kark skręciła. Widać taka była wola boska. Krzyk się straszny podniósł, bo ktoś też wyjrzał na dziedziniec i wrzasnął, że ona spadła, sąsiedzi się zaraz zlecieli. Ale ja tylko wyjrzałem przez okno i niedobrze mi się zrobiło. Zresztą ludzie też specjalnie nie rozpaczali, bo to straszna baba była. Aż mi się nie chce o niej gadać.

– Wenus, nie kombinuj. Jak taka straszna, to możesz coś o niej powiedzieć bez sumiennych wyrzutów.

– No, w zasadzie mogę. Tu u nas to jej prawie nikt nie lubił poza taką jedną babeczką. Kamila Ryczek jej jest. Nie wiem, dlaczego ona jej zawsze broniła, chociaż sama miła, że do rany przyłóż... Ma kawalerkę na czwartym piętrze, samotna, taka trochę szara myszka. Zdaje się, że przy okazji katecheta, znaczy niedotykałska. Może dlatego samotna? W każdym razie lubiła tę wstrętą babę i nawet czasem u niej bywała.

– A co takiego robiła ta Schabowska?

– Jak komu mogła, to dokuczała. I stale donosy na policję i do spółdzielni słała. Tu nade mną mieszka taki fajny gość, Boguś Siemak się nazywa. Młody, bez zobowiązań, jakieś imprezy w całej Polsce robi, to kasy ma sporo i co raz jaką nową laseczkę sobie przygrucha. Ale naprawdę porządny facet, jak się go poprosi, żeby piątaką do winka dorzucił, to nie odmówi. Tylko nie chce mu się za daleko parkować, więc jakoś sobie trochę na lewo załatwił,

że może zaraz koło bramy odstawiać swoją hondę. To mu regularnie gwoździem po lakierze jeździła. A jaka sprytna, nigdy jej nie mógł przyłapać, kamerę montować i nic.

– To skąd wiadomo, że to ona?

– A kto inny? Wszędzie donosiła, że to jakaś łapówka albo przekręt, ochrzaniała go, a jak się trochę głośniejsz jakąś koleżanką po dziesiątej wieczorem zachowywał, to od razu myk za telefon i na policję. Oni już nawet nie przyjeżdżali, tylko do niego dzwonili, że ma ściszyć sprzęt. A w zasadzie co zrobiła ta Schabowska, że się nią Przypadek interesuje?

– Tak detalicznie to nie wiem – przyznał Saganek. – Ale podobnież jakiś pomysł na książkę ukradła temu pisarzowi, co u was mieszka.

– Zamoyskiemu? Elegancki gość i sami ładni chłopcy go odwiedzali. Poza takim jednym, co to go nawet wpuszczać nie chciał. A jak kiedyś go zobaczył pod swoimi drzwiami, to uciekł do mnie. Przechowałem go ze dwie godziny, bo dopiero tamten się spod jego drzwi ruszył. Całe mieszkanie musiałem wietrzyć, żeby mi nie zemdłał, bo on powonienie ma delikutaśne...

– A tamten co, zakochany, że tak długo siedział pod drzwiami?

– W gardle mi zaschło. – Saganek tylko dał znak, żeby sobie Chłodek nalał kolejną literatkę Kwiatu Pustyni. – Wprost przeciwnie, tamten podobno nie cierpiał Zamoyskiego – kontynuował gospodarz, gdy przepłukał gardło. – Mówił, że to jakiś jego wydawca przyszedł się upomnieć o książkę... – Chłodek urwał i się zamyslił. – Słuchaj, ale skoro ona mu ten pomysł na książkę ukradła, to może w tych swoich teczkach schowała?

– W jakich teczkach?

– To jeszcze ci nie mówiłem? Ona na każdego tu jakąś teczkę miała. Serio, sama się chwaliła, że jak jakiś sąsiad coś przeskrobie, to do teczki od razu dorzuci i to jeszcze z fotką, bo się parę lat temu zdjęcia jakimś dobrym aparatem nauczyła robić.

– Ale po co te tecki?

– Mówiła, że jak się ktoś będzie źle prowadził, to ona to ujawni. Ja też tam miałem u niej teczkę, ale się tylko z tego śmiałem, bo i tak wszyscy wiedzą, jaki jestem, i się nie mam przed kim wstydzić. – Roześmiał się gardłowo. – Na szczęście chyba je gdzieś wywiozła z mieszkania, bo się o nie policja nie pytała. No dobra, Saganek, koniec z tym śledztwem. Pijemy.

– Poczekaj, powiedz jeszcze, czy ktoś mógł jej bardzo nie lubić?

– Może i mógł, ale jakie to ma znaczenie? Przecież baba sama wyleciała z okna, bo podobno akurat Boguś Siemak znów źle zaparkował i chciała jego autu pstryknąć fotkę – burknął niechętnie.

– Jak źle? To nie na tym swoim miejscu?

– No na tym, ale on tak lubił jeszcze z metr do przodu podjechać, bo tylko wtedy mógł tę swoją bryczkę widzieć przez okno. No to co, Saganek, pijemy?

– Jak sobie przypomnisz, Wenuś, kto jej jeszcze mógł szczególnie nie lubić, to może mój szef ci zafunduje parę Kwiatów Pustyni.

Chłodek przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu uznał, że to nie będzie kablowanie na sąsiadów, skoro i tak nie są podejrzani o nic złego.

– Takie małżeństwo z jej piętra, Kurpielowie. Nie wiem, co ona wymyśliła, ale podobnież się przez nią pokłócili na śmierć i życie i się mają rozwieść.

W czasie ślubu Przypadek starał się nie patrzeć na mecenas Kolską i miał wrażenie, że ona tego też nie robi. W samochodzie, którym jechali razem z parą młodą na wesele, nie odzywali

się do siebie, tylko przysłuchiwali kłótni wywołanej przez Anię, która wypominała Błażejowi, że przejęczył się w tekście przysięgi małżeńskiej, w związku z tym w ogóle nie wiadomo, czy są małżeństwem i czy ona jest już Sakowicz, czy jeszcze Sobania.

Na sali weselnej Jacek i Marzena siedzieli przedzieleni młodożęncami. W końcu jednak przyszła chwila, w której świadek musiał zatańczyć ze świadkową. Mecenas Kolska, cała sztywna, zadbała, żeby detektyw nie przytulił jej zbyt mocno.

Przez dwie minuty tańczyli w milczeniu, aż Jacek w końcu zapytał:

– Który to tydzień? Dziesiąty, jedenasty?

– Tak kiepsko u ciebie z matematyką? Nie pamiętasz nawet, kiedy się spotkaliśmy u ciebie? To może zajrzyj do skrzynki mailowej, to był dzień, w którym dowiedziałeś się od Malwiny, że znalazła Basię.

– Marzena, ja wiem, że to nie moje dziecko. – Gdyby nie trzymał mocno jej prawej dłoni, wylądowałaby ona w tej chwili na jego policzku.

– Jasne, tak najłatwiej, zrobić dziecko, a potem się wymigać! – syknęła.

– Daj spokój, wiem, że w tej chwili wołałabyś, żebym to był ja, ale to on jest ojcem dziecka i powinnaś z nim pogadać.

– Nie ma już o czym rozmawiać – odpowiedziała chłodno i z nadzieją spojrzała na orkiestrę, jakby chciała zobaczyć, że już przestają grać.

– Marzena, zbyt dobrze cię znam, żeby w to uwierzyć.

– Tobie się jak zwykle wydaje, że znasz wszystkich i prześwietlasz ich na wylot.

– Po prostu pamiętam twoją zdziwioną twarz, kiedy poszłaś ze znajomą na jej pierwsze USG. Od tej chwili wiesz, że to nie jest zlepek komórek, tylko mały, bezbronny człowiek.

– Bezbronny?! – prychnęła wściekła. – Popsuje mi całe życie!

– Uczyni je piękniejszym...

– Powiedział mądryła, który nawet nie myśli o tym, żeby założyć rodzinę.

– Skąd to wiesz? – zapytał Jacek, a Marzena błyskawicznie odpowiedziała:

– Bo cię znam!

– To prawda, jako moja była udawana narzeczona wiesz o mnie sporo. Szkoda tylko, że nie wiesz, jak bardzo bym chciał mieć już żonę i czekać na dziecko. I jak bardzo tego zazdroścę Błażejowi, choć nigdy bym nie chciał być z jego Anią.

Orkiestra przestała grać i miała zamiar zrobić sobie przerwę. Jacek pocałował Marzenę w dłoń, dziękując jej za taniec. Ona jednak, choć jeszcze chwilę wcześniej najchętniej by mu się wyrwała, stała teraz wpatrzona w niego ze zdumieniem i nie zrobiła najmniejszego ruchu. Przez te wszystkie lata znajomości i udawanego narzeczeństwa nauczyła się jednej rzeczy niedostępnej dla innych. Zawsze wiedziała, kiedy Jacek żartuje, a kiedy mówi serio, choć skrywa się wciąż za maską ironii.

– Czemu ona się tak na niego gapi? – zapytała Ania, nachylając się do Błażeja.

– Bo ja wiem? Może właśnie wyznał jej miłość? – Sakowicz nie traktował swoich słów poważnie, za to jego żona jak najbardziej.

– Pewnie, wcześniej zrobił bachora, a teraz gada o miłości! – Była dziennikarka pogardliwie wyduła usta.

Błażej najchętniej by zaprzeczył, ale chwilowo wołał nie polemizować, zadowolony z faktu, że to nie on jest już głównym podejrzanym o ojcostwo dziecka Marzeny. Powiedział więc tylko:

– Pójdę zapytać rodziców, jak się bawią.

Mówiąc o rodzicach, miał na myśli jedynie swego tatę, bo co do tego, że mama bawi się świetnie, nie mógł mieć cienia wątpliwości. Jak również nie powinien wątpić w to, że jego

ojciec bawi się raczej umiarkowanie dobrze i brak kwaśnej miny jest spowodowany tylko tym, że małżonka ścisła go od czasu do czasu ostrzegawczo za kolano.

– Jest wspaniale – uprzedziła pytanie syna pani Halina Sakowicz.

– A jak tobie się podoba, tato?

– No... tak ogólnie... – Pan Jędrzej poczuł wyjątkowo mocny uścisk na swoim kolanie, dlatego z trudem powstrzymując ból, dokończył: – ...całkiem miło.

– Mało tańczycie.

– Wiesz, jaki tata jest chętny do tańca.

– O przepraszam, tańczę bardzo chętnie, tylko... – Pan Jędrzej rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu wymówki. – Ta orkiestra jakby za głośno gra!

– Nie wydaje mi się – zaprzeczył Błażej.

– No cóż, nie odziedzyczyłeś po mnie słuchu, bo wtedy byś wiedział, że również fałszują.

– Pan Jędrzej dzielnie zniósł kolejny uścisk kolana. – Poza tym parkiet straszliwie śliski, akustyka słaba i w ogóle strasznie dużo tutaj gości. – Sakowicz senior wyrzucił jednym tchem wszystkie swoje wątpliwości, bo wiedział, że dłuższego uścisku jego kolano nie wytrzyma.

– To prawda, jest dużo gości, ale chcieliśmy mieć prawdziwe, duże wesele...

– Po co wyrzucać pieniądze... – powiedział pan Jędrzej, szykując się na ból największy z możliwych. Ku swemu zdumieniu nie poczuł nic. Za to złowił spojrzenie żony, które niemal przyparowało go o zawał.

– Na szczęście płacimy sami. W tym też różnię się od ciebie, bo pewnie za twoje wesele płacił dziadek.

– Ależ skąd, sami zapłaciliśmy! Co prawda było dużo mniej osób, bo uznaliśmy, że nie warto tracić pieniędzy.

– Było dokładnie tyle samo osób – wkroczyła w końcu w spór pani Halina, uznając, że żadne dyskretne sygnały nie dadzą tu pożądanego rezultatu. – Co do sztuki, sto czterdzieści...

– Musisz się mylić, duszko.

– Nie ma takiej możliwości. Za to jest całkiem możliwe, że jeśli nie przestaniecie się kłócić nawet w takim miejscu, to wkrótce może być na weselu tylko sto trzydzieści dziewięć osób. – Spojrzała znacząco na swoich mężczyzn.

– Masz rację, mamo. Muszę wracać do Ani. Gdybyś chciał kontynuować rozmowę, tato, to wpadnij do mojej nowej kancelarii – rzucił od niechcienia, podnosząc się.

– Zmieniacie siedzibę?

– Tak. Na dużo większą i bardziej prestiżową. I byłbym wdzięczny, gdyby twoja kancelaria zmieniła nazwę na stosowniejszą i niesugerującą, że pracuje tam więcej niż jeden Sakowicz.

Paulina Kurpiel uważnie przejrzała wszystkie kieszenie spodni, potem obejrzała koszulę, a następnie sprawdziła również obie marynarki. Znalazła tylko jakiś skasowany bilet komunikacji miejskiej w Poznaniu, paragon z kiosku informujący o zakupie prasy oraz bilet do Muzeum Powstania Wielkopolskiego. Ten ostatni zainteresował ją szczególnie i długo mu się przyglądała. Nieco zbyt długo, gdyż nagle usłyszała:

– A ty jak zwykle przeszukujesz moje kieszenie? – Z łazienki wyszedł Patryk Kurpiel, wycierając mokre włosy ręcznikiem.

– Muszę nastawić pranie i wyjmowałam wszystko z kieszeni – skłamała bez zająknięcia pani Paulina.

– A od kiedy pierzesz moje marynarki? Zawsze je oddajemy do pralni.
– Do marynarek w ogóle nie zaglądałam.
– Aha, a ten bilet wypadł niechcący z górnej kieszeni?! – zaatakował Kurpiel, ale jego żona nie miała zamiaru się już bronić.
– Po co go tam wkładałeś?! To miała być jakaś zmyłka? Kieszenie masz czyściutkie jak nigdy, pewnie specjalnie posprzątałeś przed powrotem do domu. Ale ja się nie dam oszukać! Wiem, że na pewno pojechałeś tam z nią...
– Paulina, jeśli masz mnie tak cały czas podejrzewać, to lepiej od razu weźmy ten rozwód... – Kurpiel zaczął się szybko ubierać.
– O, nie będzie tak łatwo! Wiem, że chciałybyś tak za porozumieniem stron. Nic z tego! Rozwód musi być z twojej winy, żebyś nie dostał ani grosza!
– To ty jesteś winna. Myślisz, że nie wiem, że masz kochanka?
– A co, miałam stać bezczynnie i się przyglądać, jak tylko ty robisz sobie dobrze na boku?!
– Kurpielowa odwróciła się do okna. Zobaczyła Siemaka, który znów zaparkował swój samochód o metr dalej, niż powinien, i właśnie wysiadał z niego z jakąś młodą, roześmianą dziewczyną. Pomyślała nawet, że dzisiaj już nie będzie komu dzwonić na policję, żeby uciszyć niesfornych sąsiadów. Chyba że ona sama to zrobi. – No co tak nic nie mówisz?
– Nie robię sobie dobrze na boku! Ta wredna Schabowska nagadała ci głupot, a ty cały czas w nie wierzysz?!
– Może i była wredna, ale zawsze wiedziała wszystko najlepiej.
– I co? Pokazała ci jakiś dowód?!
Kurpielowa odwróciła się od okna, zza którego było słychać perlisty śmiech nowej przyjaciółki Bogusia Siemaka, i wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę męża.
– Jakbyś jej nie wypchnął przez okno, to pewnie by to zrobiła!
– Ty już kompletnie zwariowałaś!
Kurpiel dopinał guziki koszuli i ruszył do drzwi, ale jego żona nie miała zamiaru odpuszczać.
– Tak? To ciekawe, gdzie zniknęły jej teczki?
– A skąd ja mam to wiedzieć? Przecież mnie nawet wtedy nie było w kamienicy. Już przedzej ty ją mogłaś wypchnąć, byłaś wtedy w domu.
– Nie opowiadaj bzdur!
– Pewnie, ty byś wolała, żebym zamiast opowiadać bzdury, kupował ci biżuterię jak ten twój kochanek.
– Biżuterię kupuję sobie sama, bo mnie na to stać. Już od dawna zarabiam lepiej od ciebie...
– Nie mam zamiaru dłużej z tobą rozmawiać!
Kurpiel wyszedł energicznie do przedpokoju i zapominając, że ma na nogach domowe klapki, a nie buty, gwałtownie otworzył drzwi. Nawet zbyt gwałtownie.
– Au! – wrzasnęła Kamila Ryczek.
Kurpiel wyjrzał na korytarz, na którym leżała sąsiadka trzymająca się jedną ręką za policzek, a w drugiej ściskająca niebieski klips.
– Bardzo przepraszam – powiedział zmieszany Kurpiel. – Nie pomyślałem, że ktoś może stać tak blisko drzwi...
– Klips mi wypadł. – Szara myszka pokazała trzymaną w rękę ozdobę. – I schyliłam się... To moja wina...
– Może przyłożę pani coś zimnego? – zaproponował Kurpiel, a Ryczek pewnie by chętnie na to przystała, gdyby zza pleców sąsiada nie wyjrzała wściekła i podejrzliwa postać jego

żony.

– Nie, dziękuję, i tak już idę do domu. – Ryczek, nadal dzierżąc w jednej ręce klips, a drugą trzymając się za policzek, ruszyła do góry. Kurpiel odprowadzał ją zaniepokojonym wzrokiem, jakby się obawiał, że sąsiadka nagle zemdleje i stoczy się po schodach. Gdy już jednak kobieta znajdowała się piętro wyżej, odwrócił się i spojrzął na żonę, której wzrok pozbawiony był złości sprzed kilku chwil.

– Myślisz, że podstuchiwała? – zapytała Kurpielowa.

– Sam nie wiem... Po co by to miała robić?

– Tylko ona lubiła Schabowską. I czasem u niej przesiadywała. A z kim przestajesz, takim się stajesz...

Jaszczanin szedł do szpitala na spotkanie ze swoim podopiecznym bardzo zadowolony. Zamoyski najwyraźniej rozumiał już, jaki popełnił błąd, chcąc skorzystać z usług słynnego detektywa, i w tej chwili marzył tylko o tym, żeby się tej niechcianej pomocy pozbyć. Świadczyła o tym choćby jego wypowiedź w wywiadzie telewizyjnym, a także fakt, że zadzwonił do niego z samego rana i jęczącym głosem poprosił go o przyjście, gdyż potrzebuje wsparcia.

Gdy tylko Jaszczanin wszedł do sali, zobaczył, jak bardzo Zamoyski go potrzebuje. Najwyraźniej wrócił ze spacerku z balkonikiem i teraz dość niezdarne próbował usiąść na łóżku, co groziło wywrotką na podłogę. Pracownik Polskich Książek go podtrzymał, ale sadzając pisarza na łóżku, nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– No i widzisz, po co ci to było?

– Przecież specjalnie nie wlałem pod tego wrednego babsztyla...

– O jakim ty wrednym babsztylu mówisz?

– A tobie o co chodziło?

– Oglądałem ten program Fikfi. Mówiłem, że cię ten detektywina wyroluje i wycycka.

Nie wiem, kto ci da kasę, żebyś za niego zapłacił...

– Widziałeś, jak skoczyły resztki nakładu w empikowej topce? Gdy dodrukujecie wznowienie...

– To dostaniesz dwadzieścia, no, powiedzmy, trzydzieści tysięcy. Co ledwo pokryje zaliczki, które wzięteś na nową książkę. A jeśli jej nie napiszesz, to i tak zbankrutujesz.

– Wiesz, Paweł, ty mnie nigdy nie doceniałeś – powiedział Zamoyski, kładąc się na łóżku z wyraźną ulgą. – A ja ciebie chyba przeceniałem.

– O co ci chodzi?

– Nie wiesz, że ja się już z nim właściwie rozliczyłem?

– Z czego?

– Książka jego matki będzie miała entuzjastyczne recenzje. Już nawet trzy się ukazały.

A dzisiaj czwarta będzie.

– Nie wiedziałem, nie interesuję się tym *Detektywem w meloniku* – przyznał szczerze Jaszczanin. – I ty mu te recenzje załatwiłeś?

– Tak. Po programie Fikfi nie miałem z tym problemu. Wszyscy bardzo mi współczują, a jeszcze gdy zadzwoniłem i powiedziałem, że mnie Przypadek szantażuje, poszło jak z płatka. Od razu się zgodzili. Nawet Horwacik. Wszyscy z listy, którą mi podsunął. – Pisarz podał Jaszczaninowi kartkę, którą otrzymał od detektywa. Wydawca przeleciał ją szybko wzrokiem.

– I Kusibab też nie protestował?

– No właśnie, jedynie z nim mam problem. On pracuje tylko za gotówkę.

– Mnie tego nie musisz mówić. Wykorzystuje, że ma ten program w Ekstra TV. Pozostali to tylko jakiś barter albo napiszą dobrą recenzję, komu trzeba, ale ten złamas... – Jaszczanin urwał, bo zauważył, że Zamoyski przygląda mu się już od pewnego czasu z kpiącym uśmiechem. Zrozumiał błyskawicznie, o co chodzi. – Nie ma mowy, kosztujesz nas już zbyt dużo. I nie próbuj mnie znów szantażować tym, że będziesz opowiadał, jak okrutne wydawnictwo zostawia cię w potrzebie. Wznawiamy twoje książki, nikt w te bajki nie uwierzy...

– Wznawiacie, bo wam się to opłaca. A Kusibab nie policzy wam więcej jak tysiąc. Jak to w hurcie.

– Wybacz, Kordian, ale naprawdę w wydawnictwie postanowiono zakręcić kurek z kasą dla ciebie. Zresztą co ci tak zależy na tym Przypadku? Zrobiłeś już szum wokół siebie i nie musisz spłacać mu długu. Przecież tylko o to ci chodziło.

– On musi znaleźć mój zagubiony pomysł.

– Przestań powtarzać te bzdury o zagubionym pomysłe! Uważam, że to świetny pomysł marketingowy, ale nic więcej. Przecież ten detektyw nie wejdzie do twojej głowy.

– Wprost przeciwnie. Czy wiesz, że od razu wiedział, że nie nazywam się Kordian Zamoyski? A ja zmieniłem nazwisko dziesięć lat temu, gdy nikt o mnie nie słyszał. Nie rozdziawiają tak buzi, widzisz, nawet ty o tym nie wiedziałeś. To jasnovidz. I obiecał, że znajdzie mój pomysł. Zresztą być może nawiążę z nim dłuższą współpracę, bo nie opuszcza mnie wrażenie, że zgubiłem jeszcze parę innych pomysłów.

Jaszczanin spojrział na swego podopiecznego pewien, że tym razem na pewno z niego żartuje. Pisarz wyglądał wprawdzie na rozbawionego, ale swoje postanowienie traktował chyba serio.

– No to powodzenia, ale mnie do tego nie mieszaj.

– Chętnie bym nie mieszał, ale niestety nie znam nikogo innego. Dlatego poprosiłem cię, żebyś do mnie wpadł.

– Kordian, powiedziałem ci...

– Paweł, ja bardzo lubię twoją żonę...

– A co to ma do rzeczy?

– I lubię, gdy ładnie wygląda. A w tych kolczykach z bursztynu, które kupiłeś podczas targów książki w Krakowie, to by jej było naprawdę bardzo do twarzy. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ich nie nosi.

– Nie spodobały jej się – odpowiedział chłodno Jaszczanin.

– Naprawdę? Były śliczne, sam ci je pomagałem wybierać. Będę ją musiał o to spytać przy najbliższym spotkaniu...

Podkomisarz Łoś zaraz po umyciu zębów natknął się na chłodne spojrzenie żony, która nadal chyba podejrzewała, że bieganie służy mężowi do jakichś niecnych, pozasportowych celów. Zdążył się już jednak do tego przyzwyczaić, dlatego jak co rano włożył dres i wyruszył w drogę do pracy. Cieszył się z rosnącej kondycji, dlatego z pewnym niezadowoleniem usłyszał za plecami zbliżające się do niego kroki szybsze od jego własnych.

W pierwszej chwili chciał zacisnąć zęby i ruszyć jeszcze prędzej, ale uznał, że to może tylko jakiś sprinter spieszący się do autobusu, więc nie ma co się z nim ścigać. Dopiero gdy kroki się z nim zrównały i nie wyprzedzały go, zerknął w bok, a zaraz potem usłyszał:

– Dzień dobry, panie podkomisarzu.

– Co pan tu robi? – Zdziwiony policjant zatrzymał się i truchtał w miejscu.

– Biegam – odpowiedział z rozbrajającą szczerością detektyw.

– Nigdy tu pana wcześniej nie widziałem.

– Pomyślałem, że dzisiaj zmienię nieco swoją trasę i będę panu towarzyszył w drodze do pracy. Ale niech się pan nie obawia, nie odprowadzę pana aż pod samą komendę, żeby nikt nas nie zobaczył razem.

– Ja się tego nie obawiam. Mogę biegać, z kim chcę.

– Zatem biegniemy? – zapytał Jacek, a podkomisarz łoś kiwnął tylko twierdząco głową.

Pierwszych kilkaset metrów poszło obu jak z płatką. Policjant z zadowoleniem zauważył, że nie ma zadyszki i że spokojnie dotrzymuje kroku Jackowi. To zapewne skłoniło podkomisarza do lekkiego podkręcenia tempa, czego pożałował już po dalszych kilkuset metrach.

– Może chwilę odsapniemy? – zaproponował Jacek.

– Mogę biec dalej! – wysapał natychmiast podkomisarz.

– To ja zrobię kilka skłonów i pana dogonię.

Detektyw zatrzymał się, stawiając policjanta przed poważnym dylematem: biec dalej czy zaczekać? Wprawdzie łośowi brakowało oddechu, ale chęć udowodnienia, że może wytrzymać więcej niż Przypadek, była kusząca. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek, który podpowiadał mu, że po kolejnych stu metrach bez odpoczynku wymagałby reanimacji.

– Skoro mamy pobiec razem, to poczekam na pana – oświadczył z wyższością łoś, starając się powstrzymać sapanie.

– Bardzo panu dziękuję. I jak pan odnajduje bieganie?

– Całkiem przyjemna rzecz. – Nikt, kto zobaczyłby kropelki potu na czole podkomisarza, nie uwierzyłby w jego słowa.

– Tylko należy dostosować tempo do aktualnej formy.

Podkomisarz łoś wystarczająco dobrze poznał już ironicznodobrotliwopobłaźliwy wyraz twarzy Przypadka, żeby nie mieć wątpliwości, że za tymi słowami czai się nuta kpiny.

– Skrzyżował pan ze mną swoją trasę, żeby mi udzielać dobrych rad?!

– Nie. Żeby pogadać o naszych śledztwach.

– O naszych śledztwach? My nigdy nie prowadziliśmy razem śledztw i teraz też tego nie robimy! Zapomniał pan już?!

– To prawda. Pan prowadzi swoje śledztwo, a ja swoje i tylko niechący się one zająbiają. Proszę nie zaprzeczać, też na pewno nie wierzy pan w nieszczęśliwy wypadek Schabowskiej.

– Mogę nie wierzyć – przyznał podkomisarz – ale nie znalazłem żadnych dowodów ani nawet poszlak, że tak nie było.

– Ale podejrzewa pan, że Zamoyski mógł coś zobaczyć i to był ten pomysł, którego ja dla niego szukam?

– Być może tak. Lecz jeśli pan myśli, że pomogę panu zarobić tę fortunę za jego odnalezienie, to nie mam najmniejszego zamiaru!

– A miałem nadzieję, że już pan przestał wierzyć w medialne fakty.

– W pana działalność charytatywną też nie uwierzę.

Jacek sięgnął ręką do kieszeni spodenek i wyjął stamtąd złożoną na czworo zadrutowaną kartkę. Podał ją łośowi.

– Co to jest?

– To już piąta entuzjastyczna recenzja książki mojej mamy.

– Przecież ona się ukazuje dopiero za trzy tygodnie...

– Jest już dostępna w przedsprzedaży, a pan Zamoyski to mistrz autopromocji, który ma świetny kontakt z większością krytyków. Za rozwiązanie tej zagadki dostanę dziesięć takich

recenzji. Fakt, są cenne, bo w innym wypadku trzeba by za nie zapłacić lub przez parę lat utrzymywać kontakty z odpowiednimi ludźmi. Trudno by mi było się do tego zmusić, zresztą nie mam czasu.

– No tak, pan strasznie kocha swoją matkę. – Podkomisarz Łoś chyba pierwszy raz od poznania detektywa spojrzął na niego nie jak na irytującego i przysparzającego mu kłopotów cynicznego gracza, ale jak na człowieka niepozabawionego ludzkich uczuć. Szybko się jednak zreflektował. – To jednak nie jest powód, żeby panu pomagać.

– Za to ja chętnie pomogę panu, podsuwając pewien trop.

– Proszę nie liczyć na żaden rewanż.

– Mnie wystarczy, że pan wznowi śledztwo.

– Powiedzmy, że na to mogę przystać. – Łoś z radością odkrył, że zadyszka już minęła, i zaczął oddychać swobodnie.

– Słucham.

– Zakładam, że brak sympatii do Schabowskiej pozostałych lokatorów kamienicy był znany policji. Ale zapewne o teczkach, w których gromadziła różne materiały na sąsiadów, nie wiedzieli panowie?

– Może wiedzieliśmy, może nie... – odpowiedział enigmatycznie Łoś.

– Gdybyście o nich wiedzieli, to śledztwo nie poszłoby w kierunku nieszczyśliwego wypadku, ale raczej zabójstwa. Co innego nie lubić się z sąsiadami, a co innego gromadzić na nich kompromitujące materiały. Szczególnie że tych teczek nie ma w domu...

– A skąd pan się o nich dowiedział?

– Ustalił to jeden z moich współpracowników. Ale nie uważa pan, że to ciekawe, iż żaden z sąsiadów się o nich nie zająknął, choć pewnie wszyscy doskonale o nich wiedzieli?

Bogumił Siemak patrzył z rozpaczą na swoją nowiutką hondę, stojącą jak zwykle na specjalnym miejscu parkingowym, chociaż tak naprawdę metr dalej. Nikomu to już teraz specjalnie nie przeszkadzało, nawet jeśli niełatwo się było przecisnąć przez bramę do kamienicy. Specjalista od eventów właściwie ze wszystkimi dobrze żył i był przez nich lubiany. Z każdym w zasadzie był na ty. Oczywiście z wyjątkiem świętej pamięci Schabowskiej. A tak mu się przynajmniej do teraz wydawało.

Dziś jednak wzdłuż całej długości samochodu widać było rysę na lakierze. Siemak przez chwilę się zastanawiał, czy czasem nie wykazał się nieostrożnością podczas wczorajszej jazdy, ale po bliższym przyjrzeniu się ranie na jego aucie odrzucił tę myśl. Ten ból jego samochodowi zadała bez wątpienia czyjaś mściwa dłoń.

Tylko czyja? Przecież myślał, że od śmierci Schabowskiej jego auto jest bezpieczne. Co więc za zwyrodnialec mógł je okaleczyć?!

– Dzieńdoberek, panie Bogusiu. – Obok zrozpaczonego Siemaka zjawił się Chłodek. – Poratuje pan piątakiem? To tylko mała pożyczka, oddam jutro, słowo honoru!

– Panie Wenanty, nie teraz...

– A co się stało?

Siemak pokazał gestem ręki na auto.

– O rany, ale pana urządziła...

– Wie pan, kto to? – zapytał z nadzieją specjalista od eventów.

– No jak to kto? Nieboszeczka Schabowska!

– Chyba pan nie wierzy w duchy? – Siemak uśmiechnął się niepewnie.

– Wierzę, nie wierzę, ale one na pewno są.

– I co, Schabowska była tu wczoraj o północy specjalnie po to, żeby mi porysować auto?
– Ja nie mówię, że osobiście, zwłaszcza że jako duch miałyby problem z materią stałą – odezwał się głosem fachowca Chłodek. – Ale mogła się w kogoś wcielić i wybrać tę osobę do spełnienia swojej misji.

– Na przykład w kogo? – zapytał z zainteresowaniem Siemak.

– Na przykład w kogoś sobie bliskiego... Chociaż z tym to mogła mieć problem, bo ona przecież wdowa była bez rodziny... Gdzie pan idzie, panie Boguś?

– Idę kogoś odwiedzić.

– A ten piąteczek?

Siemak sięgnął do portfela, wyjął stamtąd pięcioletówkę i rzucił ją przez podwórko w kierunku pana Wenantego. Nie widział już, że Chłodek wprawdzie zobaczył datek, ale miał problem z jego uchwyceniem, więc po chwili zaczął gonić po asfalcie toczącą się monetę. W tym czasie spec od eventów przeskakiwał po parę stopni naraz i znalazł się na czwartym piętrze, gdy Kamila Ryczek wychodziła z mieszkania.

– To ty zrobiłaś!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie wiem, czy to ta martwa baba ci kazała, czy to ty sama, ale wiem, że to na pewno ty!

– Nie mów źle o zmarłych. – Ryczek się przeżegnała. – Nigdy jej nie rozumiałeś...

– A ty pewnie myślałaś, że ciebie lubi? Ty też byłaś w tych jej teczkach...

– Skąd to wiesz?

– Nieważne. – Siemak trochę się speszył, bo poczuł, że powiedział za dużo. – Ona naprawdę sporo o tobie wiedziała.

– Oczywiście. – Kamila wzruszyła ramionami. – Lubiłam z nią rozmawiać i opowiadać jej o sobie.

– I o tym, w kim się kochasz, też jej powiedziałaś?

– Nic takiego jej nie mówiłam!

– Ale ona to wiedziała.

Ryczek spojrzała trochę przestraszona na Siemaka. Lubiła go, bo lubiła wszystkich w kamienicy. No, prawie wszystkich, bo tej jednej osoby nie potrafiła polubić. Teraz jednak czuła, że przestała lubić kogoś następnego.

– To ty ją zabiłaś!

– O nie, nie zrobisz mnie w to.

– Sam się w to wrobiłaś. Jeśli mówisz prawdę i rzeczywiście widziałeś moją teczkę.

– Sama mi ją pokazała. Lubiła się chwalić tą swoją wiedzą. I kiedyś mi oświadczyła, że ta Ryczek wcale nie jest taka święta, jaką zgrywa.

– Pani Schabowska nic by takiego o mnie nie powiedziała! Szczególnie tobie!

– Tak ci się tylko zdaje. Wiedziała, że kręcisz z Kurpielem!

– Oszalałaś! To ty się spotykasz z Kurpielową. Tak, na pewno razem ją zabiliście, a potem ukradliście jej teczkę!

– Przystań tak wrzeszczeć, bo...

– Panie Bogusiu, podrzuci pan jeszcze jednego piąteczka? – zapytał stojący piętro niżej Chłodek.

– Panie Wenanty, przecież panu dałem – odpowiedział Siemak, nie spuszczać wzroku z twarzy Kamili.

– No tak, ale nie dogoniłem go. – Zbieracz złomu załkał żałośnie. – Wpadł do kanalizacji, a pić mi się tak cholernie chce, że już dłużej nie dam rady.

Felicja Przypadek długo się zastanawiała, zanim zdecydowała się odwiedzić kancelarię byłego męża. W celu jej wizyty nie było nic złego, chciała po prostu zaprosić Fryderyka na swoje spotkanie autorskie na targach książki i mogła to zrobić nawet przez telefon. Wołała jednak uczynić to osobiście – i to z kilku powodów.

Jednym z najważniejszych był ten, którego najbardziej się wstydziła: chciała zobaczyć minę męża, gdy dowiaduje się o tym, że jej powieść wydaje największe wydawnictwo książkowe w kraju i w dodatku organizuje spotkanie na tak prestiżowej imprezie. Zawsze bowiem wyczuwała, że Fryderyk z dużym pobłażaniem traktuje jej ambicje literackie i uważa je raczej za niegroźną fanaberię żony zamożnego mecenasa. Każdą jej porażkę zwykł traktować jak oczywistość, a pocieszenia z jego strony były raczej rutynowe, niż miały poprawić jej humor. Dlatego teraz miała ochotę na małą satysfakcję.

I spokojnie, choć z pewnymi wyrzutami sumienia, poszłaby do byłego męża, gdyby nie fakt, że bała się tam spotkać jego nieślubną córkę. Już wcześniej, kiedy nie wiedziała, kim jest ta dziewczyna, przechodziły ją na jej widok dziwne dreszcze niepokoju. Teraz, gdy Fryderyk niemal oficjalnie potwierdził wobec wszystkich, że jest jej ojcem, pani Felicja czuła, że spotkanie z przyrodnią siostrą Jacka może być dla niej nad wyraz przykre. Zawsze bowiem mocno udzielały jej się emocje otoczenia. A niechęć, którą czuła od nieślubnej córki mecenasa, była wyjątkowo silna.

W końcu postanowiła zadzwonić i wy badać delikatnie u sekretarki, kiedy byłoby najlepiej przyjść, aby nie zetknąć się z Agnieszką. Gdy usłyszała, że może przychodzić w dowolnym momencie, była tyleż zadowolona, co zdziwiona. Nie wiedząc jednak, jak długo ten stan potrwa, postanowiła od razu skorzystać z okazji i poprosiła panią Lidię o umówienie z jej pryncypałem na dzisiejsze popołudnie.

Po wejściu do kancelarii zauważyła, że pojawiło się tam dodatkowe biurko, którego dotąd nie było. Sekretarka, widząc jej pytający wzrok, powiedziała półszepem:

– Na razie jej nie ma. I nie wiadomo, kiedy się może pojawić.

Jeszcze bardziej zaintrygowana pani Felicja weszła do gabinetu i z trudem ugryzła się w język, bo już miała zapytać: „Gdzie twoja córka?”. Zamiast tego powiedziała jednak:

– Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać. Nie zajmę ci wiele czasu.

– Przecież wiesz, że chętnie się zgodzę, abyś zajmowała mi wiele czasu. – Pan Fryderyk pocałował żonę w dłoń i usadził na fotelu przed sobą. Pani Felicja pomyślała ze smutkiem, że od czasu ich rozstania jej były mąż jest dla niej jeszcze chyba miłszy niż wtedy, gdy starał się o jej rękę. A może tak miły, jak dla tych kobiet, z którymi spotykał się w trakcie ich małżeństwa? – Poproszę panią Lidię, żeby zrobiła ci herbaty z miętą, tak jak lubisz.

– Ty też ją pijesz? Nigdy tego nie robiłeś.

– I nadal nie robię. Ale trzymam na specjalne okazje.

Pani Felicja wyczuła perfumy, które zawsze kupowała mężowi, bo uwielbiała ich zapach. Pomyślała naprawdę rozbawiona, że mimo kategorycznej odmowy z jej strony w nim wciąż tli się jakaś isierka nadziei na powrót do tego, co było.

– To miłe, ale ja naprawdę tylko na chwilę. Zaraz mam wywiad – rzuciła od niechcenia i lekko się przy tym zaczerwieniła. Na krótki wywiad w gazecie była umówiona przez wydawnictwo dopiero na następny dzień, ale usprawiedliwiła się sama przed sobą, że naprawdę nie chciała siedzieć u męża dłużej niż kwadrans.

– Wywiad, powiadasz. – Pan Fryderyk się uśmiechnął. Wyczuł chyba, po co przysłała jego była żona, i odrobinę go to bawiło. – Rozumiem, że to w związku z *Detektywem*

w meloniku?

– Ach, już wiesz, że wydają mi to Polskie Książki? – zapytała lekko rozczarowana.

– Tak, coś mi się obilo o uszy. Gratuluję!

Pani Felicja stwierdziła, że te gratulacje przypominają dawne rutynowe pocieszenia.

– Chciałabym zaprosić cię na spotkanie autorskie, które będę miała na targach książki.

– Oczywiście, chętnie przyjdę. Naprawdę się cieszę, że ktoś docenił twój talent.

Pani Felicja uważnie patrzyła na męża. Ta wizyta bardzo ją rozczarowywała. Fryderyk ani nie był zaskoczony, ani nawet nie wydawał się w żaden sposób przejmować jej sukcesem. Jakby wiedział o nim coś, czego nie wiedziała ona. A może...

– Fryderyku, powiedz szczerze, uważasz, że wydali mnie tylko dzięki Jackowi?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale tak to brzmiało.

– Powiedzmy, że obilo mi się o uszy, iż pomógł ci swoją pracą. Zdaje się, że zaoferował im swoje usługi w zamian za wydanie twojej książki.

– Mnie powiedział, że tylko przyspieszyło to wydanie tej książki.

– No cóż, twój syn bardzo cię kocha.

„No tak, czego ja się spodziewałam? – pomyślała pani Felicja. – Że nagle mnie doceni? Boże, jaka ja byłam głupia! On jest tylko zły i boi się, że mogę odnieść sukces. A wtedy przynigdy nie przyjdzie mi już do głowy, że jest mi do czegoś potrzebny. On wciąż myśli, że kiedyś po prostu zabraknie mi pieniędzy, a wówczas wrócę z podkulonym ogonem!”

– Masz rację, mam kochającego syna – przyznała, podnosząc się. – Chociaż wolałabym, żeby nie pomagał mi wydawać tej książki.

– To akurat nic złego. I powinnaś się raczej cieszyć, że ktoś ci pomaga załatwić pewne sprawy...

– Ale się nie cieszę. Za to bardzo bym się ucieszyła, gdybyś przyszedł na moje spotkanie.

– Bardzo się postaram – zapewnił pan Fryderyk.

„No cóż – pomyślała pani Felicja – będzie na nim, tylko jeśli dostanę zdecydowanie więcej kiepskich niż dobrych recenzji. Wtedy poczuje się pewnie. Nie ma sensu mówić mu, że moja książka już teraz wspina się na szczyty list bestsellerów. Trudno, chyba jednak niepotrzebnie tu przychodziłam.”

Jacek nie zwykł nigdy rezygnować ze swoich biegowych treningów, dbając o ich niezwykłą regularność. Tylko naprawdę poważna choroba lub nagłe załamanie pogody skłaniały go do rezygnacji z zaliczenia codziennej trasy prowadzącej po alejkach Pól Mokotowskich. Oprócz tego biegał często na spotkania ze znajomymi, z klientami i podejrzanymi, gdyż bardzo nie lubił korzystać ze środków komunikacji innych niż własne nogi i robił to tylko w razie konieczności. Gdy jednak ktoś chciał mu przerwać codzienny trening, mógł liczyć zwykle tylko na kilka złośliwości lub ewentualnie w miarę grzeczne: „Proszę wpaść później” albo „Zdzwonimy się”.

Teraz jednak spotkał pod klatką schodową kamienicy przy ulicy Koneckiej 40 Marzenę. Już samo jej pojawienie się, nawet bez zapowiedzi, mogło skłonić do rezygnacji z biegania. W końcu przez kilka lat udawali przed jego rodzicami parę narzeczonych i choć nie byli nimi naprawdę, to Jacek traktował mecenas Kolską zawsze w sposób wyjątkowy. Dlatego bez względu na sytuację wystarczyłoby jedno jej słowo, by zmienił swoje plany. W tej chwili jednak nie musiała mówić nic. Wystarczyła sama jej mina, żeby Jacek zaproponował:

– Chodź pogadać.

Bez słowa weszli na czwarte piętro, do mieszkania detektywa. Przypadek zaparzył pani mecenas melisę, gdyż w jej stanie nic więcej nie mógł jej dać na uspokojenie. A widać było, że Marzena ma zszarpane nerwy. Jacek jej nie ponaglał, chociaż zdawał sobie sprawę, że przysłała się tu wygadać, a może nawet mu naukładać. Zapewne zresztą dlatego nie spieszyło mu się do rozpoczęcia rozmowy.

– Rozmawiałam z Fabriziem – zaczęła w końcu Marzena. – Oczywiście wiesz, co mi powiedziała? – W tym pytaniu słychać było złość pomieszana z irytacją na wszechwiedzę detektywa, który przecież uważał, że ludzie są banalnie przewidywalni.

Jednocześnie brzmiała w nim ulga, że kobieta sama nie musi opowiadać o reakcji Włocha.

– Wiem. – Jacek pokiwał głową. – Najpierw go zatkało, ale zaraz potem był zachwycony, oświadczył się od razu. Planuje już wasz ślub i święcie wierzy, że to będzie syn... Tak w największym skrócie.

– Właśnie tak – przyznała Marzena.

– Czy już mogę ci pogratulować, czy jeszcze chcesz poudawać, jak bardzo cię to wkurza? – zapytał Jacek, a przez jego twarz przemknął cień ironicznodobrotliwopobłaźliwego wyrazu, za który nienawidzili go zarówno wrogowie, jak i ci przyjaźniej do niego nastawieni. Przypadek zdawał sobie z tego sprawę i szybko zrozumiał, że teraz musi nad tym zapanować, więc usiłował przybrać poważny wyraz twarzy. Nie wyszło mu to chyba najlepiej, gdyż Marzena spojrzała na niego wściekła.

– Ciebie to bawi?! Ja właśnie podjęłam decyzję, która być może zaważy na całym moim życiu...

– Na pewno zaważy. Ale czasem trzeba podejmować takie decyzje. To się nazywa dorosłość.

– Powiedział ten, który nigdy takiej decyzji nie podjął i nie ma zamiaru być dorosłym.

– Jesteś tego pewna? – Tym razem Jacek nie starał się powstrzymywać ironicznodobrotliwopobłaźliwego wyrazu twarzy.

– Jest coś, o czym nie wiem?

– Jest coś, o czym nikt nie wie. To znaczy nikt, kogo znasz.

– Nawet Błazej?

– Nawet.

– Twoja mama?

– Ona też nie. Wie o tym kilka osób, o których nie masz pojęcia, a i tak każda z nich zna tylko małą część. – Przypadek najwyraźniej bawił się świetnie odkrywaniem swojej największej tajemnicy.

– No to słucham, co to jest. I nie mów mi, że nie powiesz, bo gdybyś chciał zachować to w tajemnicy, tobyś się w ogóle nie przyznawał, że ją masz!

– Powiem ci, ale najpierw pragnę ci pogratulować...

– Wiesz, gdzie sobie możesz usadzić te gratulacje? – zapytała retorycznie mecenas Kolska.

– Na początek muszę pojechać z nim do Moskwy, bo tam go przenoszą. A po paru latach pewnie do Włoch. Do Polski będę wpadać najwyżej na wakacje. Nie znam się na prawie międzynarodowym, będę musiała albo się przebranzowić, albo nie wiem co. Nie mam zamiaru siedzieć w domu i niańczyć mu kolejnych bambini!

– Spokojnie, będzie mogła robić, co zechcesz.

– Oszalałeś?! Przecież to Włoch! Może gdyby nie miał pieniędzy, zgodziłby się łaskawie, żebym pracowała, a tak na pewno zamknie mnie w domu.

– Mogłaś nie przyjmować jego oświadczyn.

– Mogłam mu nic nie mówić! A teraz już wszystko stracone, nie mam drogi odwrotu! Zadowolony jesteś?!

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. – Jacek się uśmiechnął. – Zawsze marzyłem, żeby dobrze wydać swoją narzeczoną za męża... Ej, Marzena, nie wygłupiaj się, wiesz, do kogo należała ta szklana kula?

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczyła mecenas Kolska, trzymając w ręku magiczny przedmiot i namierzając cel po drugiej stronie biurka.

– To prezent od pani Irminy. Przecież ją lubisz?

– Za to ciebie nienawidzę! – Wzięła zamach, ale nie rzucała.

– Obiecuję ci, że z Fabriziem wszystko dobrze się ułoży. Daję słowo.

– Wybacz, ale nie uwierzę, że w tym szklanym czymś zobaczyłeś moją przyszłość, a nawet ty nie potrafisz jej przewidzieć aż tak dokładnie.

– Jestem – odpowiedział z niezmaconą pewnością siebie detektyw.

– Co ty kombinujesz? – Mecenas Kolska spojrzała podejrzliwie na byłego udawanego narzeczonego.

– Nic – odpowiedział spokojnie Jacek, ale nie trzeba było być detektywem, żeby wyczytać z jego twarzy coś przeciwnego.

– Cokolwiek masz zamiar zrobić, stanowczo ci tego zabraniam! Masz się do niego nie zbliżać na odległość mniejszą niż sto metrów!

– Ależ ja mu chcę tylko pogratulować...

Strona, którą trzymała w dłoni Paulina Kurpiel, wyglądała niemal jak profesjonalne akta policyjne. Było na nich zdjęcie jej męża i opis wszystkich jego grzechów, o których wiedziała Schabowska. Nie było ich może dużo, ale najważniejszy był ten główny. W rubryce *Kochanka/kochanek* stało jak byk napisane: *Kamila Ryczek*.

„Rozczarował mnie – pomyślała pani Paulina. – Takie szare coś, zwykła katechetka, co się nawet porządnie nie potrafi umalować. I co, tylko dlatego, że dziesięć lat ode mnie młodszą? Przecież ona nawet ciała nie ma, sucha, koścista flądra!”

Kurpielowa ze złością rzuciła kartkę na podłogę. Potem ją podniosła i znów zaczęła czytać pozostałe rubryki: *Prawdopodobne miejsca schadzek: u niej*.

– No pewnie, że u niej! Zero ryzyka, samotna stara panna po trzydziestce! – rzuciła ze złością, jakby zapominając, że swoje znajome będące jej własnymi rówieśniczkami nazywa łagodnie singielkami.

Początek romansu: lato ubiegłego roku – głosiła kolejna rubryka.

„Tak czułam. Zrobił się wtedy taki zadowolony, wyluzowany. Zupełnie jak nie on?”

Częstotliwość schadzek: umiarkowana – zanotowała w kolejnej rubryce Schabowska.

„Co to znaczy umiarkowana?! – zezłościła się w duchu pani Paulina. – Nie mogła napisać: *co tydzień* albo *dwa razy w miesiącu*?! A, nieważne, niech tylko wróci, to ja mu dam... Właściwie już chyba powinien być. No chyba że są u niej... Ale czyli na tych wyjazdach mnie nie zdradzał? Też pewnie zdradzał, tylko tam już Schabowska nie mogła tego wyśledzić. To drań! Idę do niej!”

Kurpielowa włożyła bluzkę i miała zamiar wyjść, ale gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła idącego ulicą męża. Był uśmiechnięty, radosny. Zadowolony z życia. Może dlatego, że obok niego szła Kamila Ryczek.

– No tak, wystarczy tylko na nich spojrzeć i wszystko jasne – mruknęła Kurpielowa. – Szczególnie po niej to widać. Taka szcziebociąca i wpatrzona w niego. Że też ja tego wcześniej

nie zauważyłam! Idiotka ze mnie. Ja im pokażę! Pewnie teraz idą do niej. Nakryję ich na gorącym uczynku, pewnie się nie spodziewa, że jestem już w domu.

Paulina Kurpiel stanęła pod drzwiami, słuchając, kiedy para kochanków minie je i pójdzie piętro wyżej. Po chwili doszedł jej uszu radosny szczebiot Kamili Ryczek. Chciała zobaczyć ich przez wizjer, ale ten nie obejmował w żaden sposób schodów, a jedynie korytarz na piętrze. Dlatego mogła tylko nasłuchiwać zbliżających się kroków męża i sąsiadki. Gdy byli już blisko, nie wytrzymała jednak i zamiast czekać, otworzyła drzwi gwałtownie i wypadła na korytarz. Jej widok zaskoczył Kurpiela i Ryczek, którzy zatrzymali się dwa stopnie przed drugim piętrem.

– Stało się coś? – zapytał Kurpiel.

Kurpielowa najchętniej rzuciłaby mu w twarz wszystkie swoje oskarżenia, łącznie z faktem przytłapania go na gorącym uczynku. Tyle że ten uczynek w tej chwili nie był tak gorący, ponieważ miała przed sobą parę stojącą na schodach. Na dodatek, choć było widać na ich twarzach zaskoczenie, to jednak nie było na nich śladu zmieszania. Skłęta się więc tylko w duchu za brak cierpliwości i rzuciła zaczepnie:

– Idziesz do domu czy gdzie indziej?

– Oczywiście, że do domu – odpowiedział zdziwiony Kurpiel. – Do widzenia, pani Kamilo.

– Do widzenia panu – odpowiedziała z nutką żalu Ryczek, co od razu świetnie wyczuła Kurpielowa. Gdy tylko zamknęła drzwi do mieszkania, syknęła w stronę męża:

– Nie udawaj, że jesteście na pan, pani.

– O co ci chodzi?

– Wiem, że to twoja kochanka!

– Paulina, ty już kompletnie oszalałaś. – Pan Patryk pokręcił głową z niedowierzaniem. – Okej, podejrzewaj mnie, ale nie o romans z tą Ryczek. Znasz mnie chyba chociaż na tyle, aby wiedzieć, że nie jest w moim typie...

– Zawsze z nią tak miło rozmawiałaś!

– Bo ja staram się być miłą dla ludzi. W przeciwieństwie do ciebie.

– Ale dla niej to już byłeś szczególnie miły, co? – Kurpielowa podsunęła mu pod nos stronie z jego teczki.

– Co to jest? – zapytał mężczyzna, przebiegając wzrokiem rubryki.

– Dobrze wiesz. Schabowska o was wiedziała, pewnie dlatego, że jej sama głupia Ryczek wypaplała.

– Ty zabiłaś Schabowską?

– Co ty opowiadasz?!

– Masz jej teczki. Czyli to ty ją zabiłaś.

– Mam tylko tę kartkę! – zaprzeczyła gwałtownie Kurpielowa, której wcześniej nie przyszło do głowy, że gdy przyzna się, jakie jest jej źródło wiedzy, może to przysporzyć jej kłopotów.

– Skąd?

– Znalazłam w przedpokoju, gdy wróciłam z pracy. Ktoś pewnie ją wcisnął pod drzwiami.

– I ja mam w to uwierzyć?

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Ważne, że mam dowód!

– Masz zamiar użyć go w sądzie?

– Jeśli będę musiała.

– Świetnie, zrób to. – Kurpiel uśmiechnął się kpiąco. – Ale jutro na przesłuchaniu na policji powiem o tej kartce i będziesz miała kłopoty. A ja bez problemu dostanę rozwód z winy morderczyni. Możemy nawet razem pójść z tą kartką, w sumie mamy wezwanie zaraz po sobie.

– Nie zrobisz mi tego, ty świni! Rozumiem rozwód, to się zdarza. Ale żeby wkopać własną żonę w kryminal?!

– Nie zostawiasz mi wyboru. No chyba że oddasz mi tę kartkę i zapomnisz, co na niej było.

Kurpielowa spojrzała na męża niechętnie. W najczarniejszych przewidywaniach nie przypuszczała, że z łowcy stanie się zwierzyną, którą na dodatek można załatwić jednym strzałem.

– Co chcesz zrobić z tą kartką?

– To, co należy robić ze wszystkimi głupimi donosami i anonimami. Zniszczę ją.

Fabrizio Cavanelli miał za sobą okres bardzo intensywny emocjonalnie. Już wydawało mu się przecież, że rozpocznie kolejny uroczy etap w życiu singla, korzystając z urody moskwianek, a tu nagle okazało się, że zostanie ojcem. Ponieważ był wychowany w pewien sposób, wiedział, że bez chwili zastanowienia musi się oświadczyć przyszłej matce swojego dziecka. Uczynił to tym chętniej, że Marzena Kolska była niezwykle piękną kobietą i czuł, że całe ich potomstwo, które planował w sporej liczbie, będzie cudowną mieszanką urody ich obojga.

Pewnym kłopotem była tylko jej narodowość, gdyż rodzina oczekiwała, że wybranka jego serca będzie stuprocentową Włoszką, ale Fabrizio tak potrafił nastawić matkę, przekonując ją, że będzie zachwycona posłuszną synową, że aprobatą ojca była w tej sytuacji formalnością. Cavanelli zresztą był przekonany, że nie okłamuje rodzicielki, bo Marzena, choć ma charakterek, wpasowana w jego wspaniałą włoską rodzinę szybko zrozumie swą rolę.

Zaniepokoiło go dopiero oświadczenie pięknej pani mecenas, która powiedziała mu przedwczoraj, że niedługo odwiedzi go jej były udawany narzeczony. Ale nie powinien się absolutnie przejmować jego wizytą i niech się nie martwi tym, co usłyszeli od detektywa. W ogóle to nawet niech w to nie wierzy, bo nie warto!

Im bardziej jego przyszła żona go uspokajała, tym bardziej Włoch się bał. Ten Przypadek w zasadzie niepokoił go od samego początku. Dlatego gdy zobaczył go na parkingu pod biurowcem, gdzie mieściła się siedziba firmy Super Tobacco, której oddziałowi na Europę Wschodnią przesewała, poczuł się jeszcze gorzej. Niby mógł zawołać ochronę, bo detektywa w ogóle tu nie powinno być, a nawet nie miał prawa się tu znaleźć, ale uznał, że to działanie bezsensowne. Przecież i tak ten upierdliwy gość na pewno znalazłby sposób, żeby z nim porozmawiać. No i mógłby pomyśleć, że Fabrizio się go boi, a to nie byłoby dobre. Na drżących nogach Cavanelli ruszył więc w stronę uśmiechającego się szeroko Przypadka.

– Cześć, Fabrizio!

– Cześć! – Włoch podał niepewnie dłoń detektywowi, jakby się bał, że ten zaraz jakimś chwytem judo przewróci go na ziemię. – Marzena uprzedzała mnie, że pewnie przyjdziesz. Ale mam nie wierzyć ani jednemu słowu, które powiesz! – wyznał z rozbijającą szczerością.

– Szkoda, bo będę mówił samą prawdę.

– A co dokładnie będziesz mówił?

– Przede wszystkim chciałem ci pogratulować. Marzena to fantastyczna kobieta, więc wierzę, że będziecie szczęśliwi. Jeśli się postarasz. – W głosie Jacka było coś złowieszczonego,

co na tyle dodatkowo przeraziło wystraszonego Fabrizia, że automatycznie zapewnił:

– Oczywiście, że się postaram! – Ledwie wypowiedział te słowa, uznał, że poddał się zbyt łatwo, więc odsuwając się pół kroku od Jacka, zaczepnie zapytał: – A co cię to właściwie obchodzi?

– Bo gdyby nie ja, to nawet byś nie wiedział, że masz dziecko. Włoska zdziwiona mina to coś cudnego, piękniejsza jest chyba tylko francuska z tym takim uroczym rykiem. Ja wiem, tobie się wydaje, że to wszystko zawdzięczasz tylko sobie. Może trochę swojej włości, może trochę męskości. Ale na Marzenę to działa umiarkowanie. Co nie znaczy, że cię nie kocha. Kocha cię bardzo, ale mimo tych twoich włoskich wad...

– Robisz się bezczelny!

– Zawsze taki byłem, możesz spytać, kogo chcesz. I mam w nosie, że ktoś tak o mnie myśli. Ale nie chciałbym bardzo żałować swojej decyzji o tym, żeby przekonać Marzenę do bycia z tobą. Dlatego tu przyszedłem. Abyś mi obiecał, że zawsze będziesz dla niej dobry i nigdy jej nie skrzywdzisz.

– To mógłbym obiecać jej ojcu, a nie tobie!

– Ona od dawna nie ma ojca, dlatego ja tu jestem. Chociaż dla ciebie pewnie byłoby lepiej, żeby to był ojciec, miły, starszy pan zachwycony włoskim zięciem. Niemający pojęcia o tym, czym naprawdę zajmuje się rodzina przyszłego męża jego córki...

Dopóki Fabrizio myślał, że Jacek przyszedł tu porozmawiać wyłącznie prywatnie, odczuwał lekki niepokój i nawet gdy ruszył do ataku, nie czuł się pewnie. Nie mógł przecież ot tak przyznać się detektywowi, że jego rodzina ma powiązania z ludźmi, dla których zabicie kogoś stanowi czasem jedynie problem czysto techniczny i nie wywołuje żadnych wyrzutów sumienia ani moralnych rozterek. Skoro jednak Przypadek przyznał się do tej wiedzy sam, Cavanelli poczuł się znacznie pewniej.

– Jeśli naprawdę wiesz to, co ci się wydaje, że wiesz, powinieneś zdawać sobie sprawę, że grozenie mi czy wymuszanie jakichś durnych obietnic jest cokolwiek głupie – wycedził chłodno, pewnie nawet bardziej podświadomie niż świadomie wchodząc w manierę Marlona Brando z *Ojca chrzestnego*.

– Fabrizio, mój drogi. – Jacek z radością pomyślał, że sam dostał okazję pokazania odrobiny swoich aktorskich zdolności. Rozważał nawet kiedyś, żeby zdawać do szkoły aktorskiej, ale ostatecznie porzucił ten pomysł. Pozostała w nim jednak chęć do efektownych, by nie rzec efekciarskich występów publicznych. A teraz nadarzała się rzadka okazja, by sprawdzić się w repertuarze mafijnym. Dlatego jego głos stał się chropawy, a dolna szczęka wysunęła się jak u słynnego aktora. Dodatkowo sprawę ułatwił mu fakt, że rozmawiali po angielsku. – Wiesz, kim jestem? Myślisz, że jakimś tam detektywem. W sumie nie dziwię się, pewnie jednym uchem słuchałeś, co Marzena mówiła o mnie. Rozumiem cię. Ale pomyśl choćby o sprawie, którą sam mi kiedyś zleciłeś. I przypomnij sobie jej rozwiązanie. – Jacek zrobił pół kroku w stronę Włocha, a ten odruchowo się wzdygnął, bo w głosie detektywa brzmiała jakaś nuta szaleństwa, której się można było naprawdę przestraszyć. – Dlatego lojalnie cię uprzedzam, że jeśli Marzena któregoś dnia poczuje się nieszczęśliwa, to zadzwoni do mnie. I wiesz, co ja wtedy zrobię? Sprawię, że ty i cała twoja rodzina pójdziecie siedzieć. Nie pytaj mnie, jak tego dokonam, bo w tej chwili nie mam pojęcia jak. Ale zrobię to na pewno. Możesz mi wierzyć, że będę miał kompletnie w nosie konsekwencje. Nie cofnę się przed niczym. I możesz mi wierzyć, że potrafię to zrobić. Przypomnij sobie, co zrobiłem z Klempuchem, o tej sprawie in pewno słyszałeś. Najpotężniejszy facet w Polsce i musiał podkulić ogon i schować się w swojej norce na drugim końcu świata. No to już rozumiesz, że dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych –

Mina Cavanellego mówiła sama za siebie. – Zrobię więc coś takiego i będę w tym konsekwentny, dopóki z całej twojej rodziny na wolności nie zostanie tylko Marzena i wasze dziecko. Tak, Fabrizio, ciebie też wsadzę, obiecuję ci to. I to bez względu na to, czy sam będę żywy, czy martwy. Będę cię w stanie dorwać nawet zza grobu. Uwierz mi, potrafię to zrobić bez trudu. I nie pójdziesz do pudła na rok, czy dwa. Będziesz w nim gnął do końca życia. Zapamiętaj to sobie. To co, umowa stoi? Obiecujesz, że jej nie skrzywdzisz? – Przypadek wyciągnął rękę w stronę bladego jak pergamin Włocha.

– Obiecuję. – Cavanelli podał mu swoją dłoń, a Jacek przyklepał ją lewą dłonią i powiedział zadowolony już własnym głosem:

– Nawet nie masz pojęcia, jak się cholernie cieszę, że będziecie razem! Jesteś jednym z nielicznych facetów, z którymi może być naprawdę szczęśliwa. Tylko musisz się postarać. Ale widzę, że na pewno to zrobisz.

Podkomisarz Łoś wiedział od początku, że będzie żałował tego, iż znowu zgodził się na kolejny pomysł Przypadka. Chociaż rozmawiając z detektywem, niczego mu nie obiecywał i mówił, że po prostu przyjrzy się sprawie, ale jeśli chciał cokolwiek z nią zrobić, nie miał wyjścia i musiał wezwać na przesłuchanie wszystkich mieszkańców tej kamienicy w liczbie dwudziestu siedmiu. Wprawdzie ograniczył swoje zainteresowania do czterech osób, które zasugerował mu detektyw, lecz na wszelki wypadek musiał porozmawiać z pozostałymi. Po pierwsze, nie mógł być pewny, czy Przypadek się nie myli, a po drugie, wezwania tylko tych konkretnych osób sprawiłyby, że mogłyby się spłoszyć i stać bardziej ostrożne w zeznaniach.

Dwudniowy maraton zeznań zakończył niejaki Wenanty Chłodek, który przyszedł w stanie wskazującym na spożycie i już za samo to podkomisarz Łoś miał ochotę go zamknąć. Dodatkowo jeszcze mrugał przez cały czas znacząco do policjanta, dając mu tym samym do zrozumienia, że grają w jednej drużynie, bo on współpracował w tej sprawie od początku z detektywem Przypadkiem. Twierdził również, że przypomniało mu się coś ważnego, ale po drodze tutaj kompletnie o tym zapomniał. Gdyby jednak komisarz był tak łaskaw i zakupił jakieś nie najdroższe wino, czuł, że jego pamięć by się odblokowała. Był bardzo zawiedziony faktem, że policjant go wyprosił i nie chciał słuchać kontynuowania zeznań nawet za tak niewygórowaną cenę jak dorzucenie dwuzłotówki do choćby piwka.

– No i co myślicie o tych zeznaniach, Smańko? – zapytał w końcu Łoś, który postanowił lekko rozciągnąć się przed biegiem. Nie liczył wprawdzie, że uzyska od starszego aspiranta jakąś ciekawą informację, ale rozgrzać się przed przebieżką do domu musiał i tak, a czas trzeba było czymś zająć.

– Wszyscy kręcą – stwierdził Smańko.

– To akurat wiem – prychnął Łoś. – Kłamią jak najęci. Niektórzy w ogóle udają, że nie wiedzieli o teczkach, a inni mówią, że myśleli, iż to nieistotne i dlatego wcześniej o tym nie wspomnieli. Ale co myślicie o tych konkretnych, co to, wiecie, Przypadek też ich podejrzewa?

– Najbogatszą kartotekę to ma u nas ten Siemak.

– Ma ją, bo się go ta baba czepiała. Sam mam taką sąsiadkę, Budzik się nazywa, co to wszystkich lustruje i dzwoni ze skargami, gdzie się tylko da, a gdybym nie był w policji, toby na mnie najczęściej donosiła. Ale poza tym to porządny facet i w zasadzie jako jedyny przyznał się uczciwie, że nie wspomniał o tych teczkach, bo wiedział, że tam pełno materiałów na niego jest i byłby pierwszym podejrzanym.

– No tak, ale wszyscy mówią, że go mijali na schodach, jak lecieli na podwórko, żeby zobaczyć, co ze Schabowską.

– Ale wydawało im się, że idzie raczej do góry. Czyli jej nie zabił, bo inaczej leciałby z innymi na dół.

– No tylko po co szedł do góry?

– Nie wiem, Smańko – zdenerwował się Łoś. – Ważne, że to nie on. No chyba że macie jakieś dowody na niego?

– No nie, ale uważam, że to dziwne...

– Macie rację, to dziwne – zgodził się łaskawie podkomisarz, który nie miał już ochoty dyskutować o Siemaku. – Ale w kontekście tej sprawy tylko dziwne, a nie podejrzone...

– Może szkoda, że go przesłuchaliśmy na początku, a nie jak Kurpielów i Ryczek dzisiaj.

– Wiem, prosiłem, żeby ich wezwali na drugi dzień wszystkich, ale on wczoraj wieczorem miał wyjeżdżać z Warszawy i wrócić dopiero jutro. Jak będzie potrzeba, to go jeszcze raz przesłuchamy. A co sądzicie o Kurpielach?

– Przypadek powiedział panu, że się rozwodzą. A dzisiaj tacy więcej zgodni byli.

– To prawda. Jego uprządkie niby nie było w Warszawie, ale trzeba sprawdzić, o której on z tego Krakowa wrócił. Szczególnie że pan Siemak wspominał, że coś mu się oboło o uszy, że Kurpiel z tą Ryczek kręci.

– Czyli wspólnie to zaplanowali?

– Kto wie? A może to sama Ryczek? Mnie się ona wydaje najbardziej podejrzana. Taka cicha woda, szara myszka, co to ją wszyscy niby lubią. A ja tak sobie myślę, że ona współpracowała z tą Schabowską.

– To Kurpielowa mówi, że współpracowała.

– Siemak też o tym wspominał.

– Ale to taka w sumie sympatyczna osoba. Katechetka. To prawie jak zakonnica.

– Zakonnice nie spiąją z obcymi mężczyznami. Ja wiem, Siemak mógł się mylić, ale zauważyliście, jak Kurpielowa zareagowała, gdy wspomnieliśmy o Ryczek?

– To prawda, na moment się zdenerwowała – przyznał starszy aspirant.

– A Ryczek się zaczerwieniła, gdy ją spyaliśmy o Kurpiela. Fakt, nie przyznała się, ale w tej sytuacji trudno, żeby się przyznawała. Poza tym to ona miała najlepszy dostęp do denatki, tamta ją mogła wpuścić do domu. I sama przyznała, że wiedziała, gdzie leżą teczki.

– Ale one właściwie nie były ukryte – zauważył starszy aspirant. – Każdy, kto wszedł, mógł je od razu znaleźć.

– Za to ona nie musiała nawet szukać – stwierdził Łoś, który uznał rozgrzewkę i rozmowę za zakończone. Dlatego ruszył do drzwi. Otworzył je i zobaczył uśmiechniętą minę Wenantego Chłodka, który z dumą oświadczył:

– Przypomniałem sobie! Mówiłem, że wystarczy parę łyków dla odświeżenia pamięci...

– Jesteście jeszcze bardziej nietrzeźwi niż na przesłuchaniu?! – zirytował się podkomisarz.

– Ależ skąd! Tylko jedno piwko – zapewnił pan Wenanty, sięgając w zanadrze swojej marynarki i wyjmując stamtąd kilka nadpalonych karteek. – Znalazłem dzisiaj rano w śmietniku niedaleko nas. To chyba z tych teczek Schabowskiej.

Wszyscy uczestnicy dramatu stali rozstawieni wokół łóżka Kordiana Zamoyskiego w klinice. Sala nie była duża, dlatego gdy znaleźli się tu jednocześnie Łoś, Smańko, państwo Kurpielowie, Kamila Ryczek, Boguś Siemak oraz Paweł Jaszczanin, zaproszony przez pisarza,

by zobaczył, jak detektyw odnajduje jego zaginiony pomysł, to mimo uchylonych okien było w niej duszno. Nie brak tlenu jednak powodował w niej coraz cięższą atmosferę, lecz napięcie, jak zwykle dozowane przez Przypadka, który właśnie kończył lekturę dziesiątej entuzjastycznej recenzji *Detektywa w meloniku*.

– Po co tu właściwie jesteśmy? – zapytał w końcu Kurpiel, a Jacek odłożył przeczytaną gazetę.

– Będą państwo świadkami, jak udaje mi się znaleźć zaginiony pomysł pana Zamoyskiego na książkę... – Spojrzał w stronę pisarza, a ten odruchowo kiwnął głową, choć nie bardzo wiedział, o co tak naprawdę chodzi detektywowi.

– Co my mamy z tym wspólnego?! – zdenerwował się Siemak.

– Bardzo wiele. Bo to państwo są tym pomysłem. – Przypadek spojrział na Zamoyskiego, który w tej chwili rozumiał jeszcze mniej niż kilka sekund temu. Detektyw uprzedził go wcześniej, że ma się po prostu postarać niczemu nie dziwić, a cały spektakl jest konieczny, aby świat mógł uwierzyć, że rzeczywiście odnalazł jego zaginiony pomysł.

– My?! Jakim prawem?! – oburzył się Kurpiel.

– Pisarskim. Autorzy bardzo często czerpią ze swojego otoczenia, zmieniają jakieś nazwisko, dodadzą cechę charakteru i od razu wychodzi im wszystko bardziej autentycznie.

– Ale ja się nie zgadzam! – oburzył się Siemak.

– Ja też! – wtórował mu Kurpiel.

– A ja bardzo chętnie – uśmiechnęła się Ryczek.

– Ja w zasadzie też – dodała z odrobiną namysłu Kurpielowa.

– Obawiam się, że i tak nie mają państwo wiele do powiedzenia – stwierdził Jacek. – Przechodząc zaś do sedna. Pan Zamoyski, jak każdy autor, ma bardzo wyczulone ucho na wszystkie ploteczki i słowa wypowiedane przez innych, gdyż mogą mu one pomóc w pracy. Dlatego zdawał sobie sprawę z relacji panujących w kamienicy nie gorzej niż denatka Schabowska. I kiedy tak spojrział w górę, gdy wystawała z okna, pomyślał zapewne, że może za nią stać życzliwa osoba, która pomoże jej wypaść. Błąskawicznie ułożyła mu się w głowie intryga, której niestety nie zdążył przenieść do swojego laptopa, bo wścibska sąsiadka spadła mu na głowę. Dlatego ja, dzięki dedukcji oraz drobnej pomocy mojej kuli pomogę mu wszystko poskładać na nowo.

– Czy naprawdę musimy uczestniczyć w tym cyrku?! – Zdenerwowany Siemak spojrział na podkomisarza Łosia.

– Ten cyrk to tylko wstęp do znalezienia zabójcy pani Schabowskiej – oświadczył twardo podkomisarz Łoś, który jak zwykle nie był zachwycony metodami Przypadka w odkrywaniu prawdy, ale również jak zwykle specjalnie nie miał wyjścia. Dlatego robiąc dobrą minę do złej gry, dodał groźnie w stronę Siemaka: – Pan też będzie miał się z czego tłumaczyć.

Po słowach policjanta w pokoju zapadła grobowa cisza. Jacek pomyślał zadowolony, że tworzą z podkomisarzem coraz bardziej zgraną parę i aż żał, że ich duet nie może trwać wiecznie. Smańko popatrzył na przełożonego z niekłamany uznaniem. Oświadczenie podkomisarza zrobiło jednak szczególne wrażenie na Siemaku i małżeństwie Kurpielów, którzy wyglądali na lekko przestraszonych. Za to Ryczek spoglądała na Łosia z wyraźnym zainteresowaniem, a na twarzy Zamoyskiego widać było wypieki zaciekawienia, jak dalej potoczy się przedstawienie. Tylko twarz Jaszczanina była jedną wielką zagadką, jakby zastanawiał się on w tej chwili, czy odkrycie detektywa pozwoli na pewno na powstanie niezwykłego kryminału.

– Skoro już wiemy, o co chodzi, czas przystąpić do wyjaśnień. – Jacek się uśmiechnął. – Nie da się ukryć, że pierwszy kamyczek, który spowodował lawinę i wyrzucił panią

Schabowską z okna kamienicy, potrąciła pani, pani Kamilo.

Podkomisarz Łoś miał wrażenie, że usłyszał kilka oddechów ulgi, ale w tym momencie bardziej interesowało go, aby posłać starszemu aspirantowi tryumfalne spojrzenie z gatunku „a nie mówiłem?”

– Ja?! Co pan mówi, na pewno pan się myli – zaprzeczała stanowczo Ryczek. – Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią pani Emilii!

– Niestety ma pani. Choć tak naprawdę można za to winić również pana Kurpiela, który pewnie powiedział pani kilka komplementów z dużo...

– Czyli to jednak ona jest twoją kochanką?! – oburzyła się Kurpielowa. – Naprawdę mnie rozczarowałeś!

– Nie mam z nią nic wspólnego! – Kurpiel wskazał na Kamilę Ryczek, która stała cała czerwona ze wstydu. – Chciałem być dla niej po prostu miły.

– Akurat!

– Pani mąż mówi prawdę. Pani Kamila za dużo sobie zaczęła wyobrażać. I podzieliła się tym z panią Schabowską...

– To nie tak – zaprzeczyła Ryczek. – Ja jej nie powiedziałam, że jesteśmy kochankami... Tylko że mi się wydaje, iż pan Kurpiel nie jest szczęśliwy... I że chyba ktoś inny podoba mu się bardziej niż żona... A ona sobie dopowiedziała, że ma kochankę...

– Ale zapewne pani nie zaprzeczyła? – spytał Jacek, a Kamila wbiła wzrok w podłogę.

– Wtedy bym musiała powiedzieć, że to chodzi o mnie, a ja... – Spojrzała na Kurpiela takim wzrokiem, że ten się do niej nawet uśmiechnął, co nie uszło uwadze jego żony, która syknęła:

– Akurat wam uwierzę...

– No i właśnie ten brak wiary był kolejnym kamyczkiem, sporo już większym, który wyrzucił panią Schabowską za okno... – Przypadek znowu się uśmiechnął, a Smańko z zaciekawieniem spojrzął na Łosia. Podkomisarz jednak patrzył akurat zupełnie gdzie indziej. – Im bowiem sami mamy większą ochotę na zdradę, tym chętniej wierzymy w niewierność partnera. I dlatego gdy Schabowska zasugerowała pani, że mąż ma kochankę, była pani pewna, że ona nie kłamie.

– Jeśli nawet, to co z tego?! – zaprotestowała pani Paulina.

– Tylko to, że poczuła się pani rozgrzeszona i uznała, że ma prawo do tego samego. I z tego prawa skorzystała. – Jacek kątem oka zauważył, że jego słowa wywołały największe wrażenie na kimś, na kogo nikt w tej chwili poza nim nie zwracał uwagi.

– Czyli miałaś kochanka? Wiedziałem! Rozwód będzie z twojej winy! – zawołał tryumfalnie Kurpiel.

– I to był kolejny kamyczek do tej lawiny – rzekł Przypadek, smutno kiwając głową. – Kamienica huczała od plotek o rozwodzie, dlatego pani Kamila zapewne czerpała z tego nadzieję na swoją przyszłość i wciąż nie wyprowadzała pani Schabowskiej z błędu.

– No dobra, ale ja nie mam z tym nic wspólnego – odezwał się Siemak. – Nie dawałem żadnych nadziei pani Kamilce ani w ogóle nikomu innemu.

– No chyba że pan był kochankiem pani Kurpiel – wyrwał się nieco przed szereg podkomisarz Łoś, który niemal od początku chciał grać w tym przedstawieniu jedną z głównych ról.

– Pan żartuje?! – Siemak miał jeszcze ochotę dorzucić coś na temat wieku sąsiadki z góry, ale uznał, że to nikogo nie przekona. Pani Kurpiel była bowiem kobietą dość atrakcyjną, więc fakt, że dla niego była za stara o jakieś dwadzieścia lat, mógł zostać uznany za zbyt słaby

dowód w oczach podkomisarza. – Ja mam co tydzień inną dziewczynę! Może pan sprawdzić u swoich kolegów, bo gdy mnie odwiedzają, to każdą spisują – zakończył dumnie.

Łoś szukał wzrokiem ratunku u Jacka, ale po jego minie poznał, że ruszył fałszywym tropem. Dlatego musiał uderzyć z innej strony.

– Ale jej kartoteki się pan bał. Najpierw ją pan ukradł, a potem spalił!

– Czyli to ty podrzuciłeś mojej żonie tę kartkę z teczki?! – Kurpiel wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę specja od eventów.

– Niczego nie podrzucałem! – oburzył się Siemak. – Skoro ją miała, to znaczy, że to ona ukradła. A wy nie macie dowodów!

– Wystarczy, że porównamy pańskie odciski z tymi na resztkach nadpalonych akt znalezionych w śmietniku obok państwa domu. A to już niezły dowód na to, że był pan w jej mieszkaniu wtedy, kiedy nie powinien.

– Ja jej nie zabiłem!

– Ale też dołożył pan swój kamyczek. – Przypadek uznał, że czas w końcu przyjść podkomisarzowi z pomocą. – A konkretniej pański samochód. To była rzecz, która najbardziej na świecie irytowała panią Schabowską i nigdy nie przepuściłaby okazji, aby pstryknąć jego fotkę. Zakładam, że tego dnia się wychylała, żeby jak najszybciej zrobić zdjęcie zle zaparkowanego auta, jak zwykle wystającego o metr za daleko. Bardzo się spieszyła, bo ktoś jej powiedział, że pan na pewno zaraz odjedzie. A potem, kiedy usłyszał pan krzyk, że wypadła przez okno, jako jedyny z mieszkańców szedł pan do góry, gdy wszyscy zbiegali na dół.

– Ale to chyba najlepszy dowód, że jej nie zabiłem – powiedział Siemak.

– No właśnie, kto jest mordercą?! – Zamoyski, początkowo zaintrygowany opowieścią, zaczął się już lekko nudzić. – Ja muszę mieć mordercę do kryminału...

– I ma go pan na wyciągnięcie ręki.

Pisarz w pierwszej chwili pomyślał, że detektyw żartuje. Owszem, spodziewał się, że morderca znajduje się na jego szpitalnej sali, ale w zasięgu jego ręki był tylko Jaszczanin. I nie tylko Zamoyski zwrócił na to uwagę, gdyż spojrzenia innych też skierowały się w stronę pracownika Polskich Książek. Ten stał z nieporuszoną miną, jakby podejrzenia detektywa nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

– Jeśli za taki materiał na kryminał zapłaciłeś tymi recenzjami – odezwał się w końcu do swojego podopiecznego – to chyba przepłaciłeś...

– W sumie to nie taki zły pomysł – uznał Hetman Polskiego Kryminału. – Nie mówię, że zabiłeś, ale to mogłoby być ciekawe...

– Musiałoby jeszcze być logiczne. Już dawno ci mówiłem, że niektóre twoje rozwiązania wyglądają jak królik wyciągnięty przez magika z kapelusza.

– O, nieprawda! – oburzył się Zamoyski i wydał polecenie detektywowi: – Proszę natychmiast udowodnić mu to morderstwo, żeby mnie nie obrażał!

– Służę uprzejmie. – Przypadek się uklonił. – Zapewne pamięta pan, panie Kordianie, że niegdyś jedną z wizyt pana Jaszczanina, starającego się wymusić szybsze tempo pracy nad nową książką, przesiedział pan u sąsiada, którego nazwisko tu pominiemy. Spędził pan u niego ponad dwie godziny, co strasznie pana zirytowało.

– Rzeczywiście – potwierdził Zamoyski. – Czyli on wtedy bzykał moją sąsiadkę?

– I sądząc po wystroju pańskiej szpitalnej sali, robił to przez cały ten czas. Ma pan tu mnóstwo swoich rzeczy, które ktoś musiał panu regularnie z domu przynosić...

– No tak. I to jej kupiłeś te kolczyki z bursztynu, co to niby miały być dla żony?

– A mówiłaś, że sama kupujesz sobie biżuterię – prychnął pogardliwie Kurpiel.

- To ci teraz żonka da popalić – stwierdził nie bez satysfakcji Zamoyski.

- Naprawdę wierzysz w te brednie? – bronił się wydawca. – Nic dziwnego, że te twoje książki są takie odrealnione...

- O wypraszam sobie! – obruszył się Hetman Polskiego Kryminału. – Teraz sobie przypominam, że widziałem cię za Schabowską! Nawet o tobie pomyślałem...

- Ale potem straciłeś pamięć!

- Niestety, panie Jaszczanin, inni jej nie stracili. Zakładam, że musiał pan się mijać zarówno z panem Siemakiem, jak i z kilkoma innymi osobami na schodach...

- I co z tego? W tej kamienicy mieszka mój klient...

- Ale ten klient chwilę wcześniej wyszedł ze swojego mieszkania, żeby uniknąć spotkania z panem, i nie widział pana na schodach – powiedział kpiąco łoś szykujący się już do założenia kajdanek.

- Bo pan był wtedy u pani Kurpielowej, z której okna świetnie widać źle zaparkowaną hondę pana Siemaka – dokończył za policjanta detektyw. – Zapewne gdy tylko zobaczył pan, że Zamoyski wychodzi, pobiegł pan do Schabowskiej, twierdząc, że może zrobić wspaniałe zdjęcie auta sąsiada z pierwszego piętra. To pewnie była cena za jej milczenie? Pan jej wystawi sąsiada, a ona nie doniesie na pana żonie?

Jaszczanin rozglądał się bezradnie po sali, próbując w niej znaleźć choćby jednego sojusznika. Lecz nawet pani Kurpiel gapła się teraz w okno i nie zwracała na niego uwagi.

- No powiedz coś wreszcie! Przecież ciebie też szantażowała!

- Nie mam nic wspólnego z jej zabójstwem – oświadczyła Paulina Kurpiel.

- Pewnie, „nie mam”! A kto mnie wtedy, gdy czekałem na Kordiana, właściwie zgwałcił?! To wszystko przez ciebie! Sama mi pokazałaś, że samochód Siemaka stoi źle zaparkowany. I wiedziałaś, że do niej poszedłem i co zrobiłem.

- Powiedziałaś, że musisz iść do Zamoyskiego. Nigdy bym nie przypuszczała...

- Pewnie pani przypuszczała, ale trudno to będzie udowodnić – przerwał jej Przypadek, a Kurpielowa uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jednak jej uśmiech zamarł na ustach po kolejnych słowach detektywa: – Za to rozwód będzie na pewno z pani winy.

ROZDZIAŁ III

CesarSKI blef

Jacek obserwował przez szybę tarasu widokowego, jak wielki boeing LOT-u podchodzi powoli do lądowania, dotyka wysuniętym podwoziem płyty lotniska, a następnie kołuje w kierunku budynku. Więcej już detektyw nie widział, bo musiał przejść do hali przylotów, żeby odebrać Malwinę z Basią. Idąc tam, miał wrażenie, że jego nogi czasem są z waty, a czasem z ołowiu. Brało się to nie tylko ze stresu, ale z faktu, że właśnie przebiegł swój pierwszy maraton.

Do tej pory w trakcie treningu pokonywał maksymalnie około piętnastu kilometrów. W żadnym biegu na jakimkolwiek dystansie nigdy formalnie nie pobiegł, tylko wszystkim powtarzał, że szykuje się do startu w maratonie. A dziś rano, za pomocą nawigacji, wyznaczył trasę między swoim domem a lotniskiem w ten sposób, żeby wynosiła ona nieco ponad czterdzieści dwa kilometry. Nie miał pojęcia, jak znieśie tak długi dystans, ale dał sobie na to cztery godziny. Biegł spokojnie, nie spiesząc się i starając się w miarę możliwości nie myśleć o czekającym go spotkaniu. Przybiegł pół godziny przed czasem i poszedł na taras widokowy. Ludzie początkowo przyglądali mu się ze zdziwieniem, gdy wykonywał różne ćwiczenia. Ale po chwili jego strój do biegu nie robił już na nikim wrażenia. W końcu był dwudziesty pierwszy maja, bardzo ciepło, ludzie mieli prawo chodzić ubrani, jak chcą. Wprawdzie Jacek wyglądał początkowo na kompletnie wykończonego, ale z każdą minutą i każdym łykiem kupionego w lotniskowym sklepie izotoniku jego oddech się uspokajał.

W hali przylotów czekał dłuższą chwilę, wpatrując się w drzwi, z których mieli wyjść pasażerowie lotu z Azji. Wreszcie je zobaczył. Najpierw Malwinę, a potem idącą tuż obok niej Basię. Nic się nie zmieniła przez tych dziesięć lat. Może to wysokogórskie powietrze ją tak świetnie zakonserwowało?

Wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy odprowadzał ją na lotnisko. Ta sama kurtka ze zdjęcia, które stało przez wiele lat w jego kuchni. Tylko uśmiech Basi był dużo bardziej błady. Taki trochę bez życia. Jakby nie miała siły się uśmiechać. A jej wzrok, niby skierowany w stronę Jacka, lecz niewidzący go. Stała obok Malwiny załatwiającej wszelkie formalności. Potem posłusznie ruszyła za nią jak cień.

Przypadkowi przeleciało przed oczami ostatnich dziesięć lat. Od chwili kiedy na tym samym lotnisku dostał od niej ostatniego buziaka i usłyszał:

– Do zobaczenia za miesiąc.

Był na nią wściekły, że wyjeżdża. Uważał, że to szaleństwo i kompletna głupota. Tak, mimo zaledwie dwudziestu jeden lat była świetnym taternikiem, a nawet miała już na koncie dwa alpejskie czterotysięczniki. Tyle że teraz wylatywała w Himalaje! Nie, nie

miała się od razu wspinać na najwyższe szczyty. Miała pomagać ekipie i zobaczyć, jak jej organizm zachowuje się na sześciu, góra siedmiu tysiącach metrów.

Z jednego z takich trekkingów już nie wróciła i wszelki ślad po niej zaginął. Jacek, jak wszyscy jej bliscy, na początku wierzył w jej powrót. Potem z każdym rokiem coraz bardziej tracił nadzieję. Aż w końcu sam musiał przyznać, że nie wie, co myśleć o tym, co dzieje się z Basią. Rozsądek podpowiadał zdecydowanie, że już na zawsze została w górach. Ale nadzieja nie dawała się do końca temu rozsądkowi zagłuszyć.

Basia, zanim zaginęła, zdążyła Przepadkowi wysłać fotografię, która stała na półce Jackowej kuchni przez blisko dziesięć lat. Detektyw lubił z nią rozmawiać, zwierzać się z problemów i radzić się w trudnych sytuacjach. I naprawdę miał często wrażenie, że to nie zdjęcie mu odpowiada, ale ktoś ukryty głęboko pod nim.

Potem jednak spotkał eksmodelkę Małgosię Urbanek, która najpierw została jego klientką, a potem... Sam nie wiedział, kim była potem. Może stałaby się kimś więcej, gdyby na półce w kuchni Jacka wciąż nie tkwiła fotografia Basi? Może dlatego był na nią zły i zmienił ją na zdjęcie Małgosi? Teraz to i tak nie miało znaczenia, bo musiał pożegnać się z eksmodelką co najmniej do chwili, w której sam umrze...

Malwina zauważyła Jacka, który stał pośrodku hali przylotów w stroju do biegania. Nawet ją to trochę rozbawiło. Ruszyła w jego stronę i zatrzymała się naprzeciwko detektywa. Spojrzała na niego, ale on patrzył obok niej. Stali tak bez słowa prawie minutę, aż w końcu Malwina się odezwała:

– No to jesteśmy...

Niespełna cztery tygodnie przed tym, zanim Malwina z Basią wylądowały na Okęciu, Anna Jeziorska, Cesarzowa Polskiego Kryminału, wyjrzała zza niewielkiego przepierzenia oddzielającego salkę od wyjścia na zaplecze księgarni. Spojrzała z góry na swoich poddanych, kłębiących się wokół podestu, na którym miała rozmawiać z prowadzącym jej spotkanie autorskie Bartoszem Fifką. Z tyłu podpierały ściany blogerki książkowe, których nie cierpiała, gdyż czasem miały odwagę wyrazić własną opinię, ignorując urzędowe zachwyty nad jej kolejną genialną książką. Przed nimi siedzieli ludzie lubiący jej pisanie i ciekawi, co ma do powiedzenia, jednak nie wiedząc czemu sceptycznie podchodzący do jej boskiego majestatu władczyni. A pierwsze rzędy jak zwykle okupowali najwierniejsi wyznawcy, gotowi zawsze klaskać po każdym słowie, które i tak znali na pamięć, ponieważ często wędrowali za swoją Cesarzową ze spotkania na spotkanie. Tymi pogardzała najbardziej.

Anna Jeziorska jeszcze raz ogarnęła salkę władczym spojrzeniem. A potem zrobiła minę małej, skrzywdzonej dziewczynki, która tylko niechcący znalazła się w tym miejscu i wyszła na podest, przywitana burzą oklasków przez najwierniejszych wyznawców. Oni zawsze byli gotowi na standing ovation i tak zrobili też teraz. Reszta przybyłych na spotkanie wstawiała zwykle potulnie, przynajmniej spośród tych siedzących z przodu.

Tym razem jednak w pierwszym rzędzie był ktoś, kto demonstracyjnie nie miał zamiaru ruszyć się z krzesła i patrzył w stronę Cesarzowej wyzywająco. Jeziorska na jego widok drgnęła nerwowo i jakby zawahała się, czy powinna wchodzić na podest, na którym czekał prowadzący jej spotkanie autorskie Bartosz Fifka. Zwłaszcza że zobaczyła jeszcze kogoś. Ten z kolei stał z tyłu i podpierał ścianę, patrząc na nią z zaciśniętymi ustami.

– Zapraszam, Aniu, zapraszam – pogonił Cesarzową Fifka. – Nie każ na siebie czekać...

– Oczywiście. – Jeziorska wskoczyła na podium i usiadła obok dziennikarza, potrząsając swoimi kruczoczarnymi, regularnie farbowanymi, włosami.

– Przedstawić państwu naszego gościa naturalnie nie muszę – powiedział Fifka, a przez salę przeszedł pomruk zrozumienia. – Dodam więc tylko, że bardzo się cieszę, iż mogę przywitać również siedzącą w pierwszym rzędzie Teresę Ebis, którą wszyscy kojarzymy jako Carycę Polskiego Kryminału, i stojącego nieco dalej Pawła Mocka, słynnego Sułtana Polskiego Kryminału. To najlepszy dowód na to, że nie ma między naszymi słynnymi pisarzami, których książki są coraz bardziej znane na całym świecie, żadnych animozji i stanowią oni wciąż jedną wspólną, wspierającą się rodzinę... – Urwał, bo zauważył, że użył niemodnego słowa do opisywania relacji międzyludzkich, dlatego się poprawił: – O pardon, oczywiście miałem na myśli wspólną, wspierającą się grupę przyjaciół, w co do niedawna pewne osoby wątpiły... – Fifka spojrzał na Carycę i Sułtana, a ich miny sprawiły, że ochota na sławienie pisarskiej przyjaźni szybko dziennikarzowi minęła. – Ale nie po to się tu spotkaliśmy, żeby o tym mówić. Porozmawiajmy, Aniu, o twojej najnowszej książce, która niemal cudem dotarła na nasze spotkanie. Pierwsze egzemplarze przyjechały z drukarni ledwie pięć minut temu i teraz leżą na tym stoliczku przed nami. Jest to fantastyczny kryminał *CesarSKI blef*...

– To może zaznaczę na początku, że to nie jest tylko kryminał, lecz coś znacznie więcej...

– Ależ oczywiście, jak wszystkie twoje kryminały...

– Wolę je nazywać książkami. – Jeziorska uśmiechnęła się uroczo, acz stanowczo.

– Tak, tak, twoje książki to wspólna literatura, gdzie wątek kryminalny służy jedynie pokazaniu dużo ważniejszych spraw – potaknął ponownie Fifka, który całą swoją dziennikarską karierę zbudował na zgadzaniu się ze wszystkimi swoimi rozmówcami, co przysparzało mu wielu przyjaciół.

– Szkoda tylko, że tym razem nie miałeś ochoty, by sama napisać tę swoją literaturę! – prychnęła Caryca Polskiego Kryminału, wstając z krzeselka. – Tylko ukradłaś książkę mnie!

Po oświadczeniu Teresy M. Ebis na sali zapadła na moment grobowa cisza i słychać było nawet odgłos skanerów w kas księgarski znajdujących się dwa piętra niżej. Najszybciej mowę odzyskała Jeziorska.

– To po to tu przyszała?! Ta twoja nowa książka to nawet nie jest żaden kryminał!

– Bo w końcu postanowiłam się nie ukrywać za parawanem zagadek i napisać mocną powieść!

– Mocna to może ona jest w twardej okładce, gdy cię ktoś nią zdzieli po głowie.

Wyglądało na to, że zaraz może dojść do rękoczynów. Fotograf zaczął nawet pstrykać zdjęcia, choć nie był pewien, czy taki materiał puści mu jakakolwiek gazeta i czy rzecz nie zostanie, tak jak inne kłótnie w eleganckim towarzystwie, zamieciona pod dywan. Fifka chciał zażegnać konflikt, ale nie było to łatwe, bo każda z pań uspokoiłaby się dopiero, gdyby przyznał jej rację, a w tej sytuacji nie mógł przytakiwać obydwu naraz. Kątem oka zobaczył tylko, że zbliża się do nich Sułtan Polskiego Kryminału, więc miał nadzieję, że może on pomoże mu uspokoić wrzeszczące wciąż na siebie autorki.

I rzeczywiście, Paweł Mocek, chwyciwszy wcześniej ze stolika egzemplarz *CesarSKiego blefu*, wkroczył pomiędzy kłócące się kobiety, próbując je rozdzielić. Obie spojrzały na niego wściekłe, a Caryca syknęła nawet:

– Czego tu chcesz?!

On jednak nie zwrócił na nią uwagi, tylko wyciągając przed siebie egzemplarz książki, oświadczył:

– To ja napisałem *CesarSKI blef*!

Szczęśliwy związek to rzecz niełatwa do zdefiniowania. Przecież zupełnie różne rzeczy sprawiają, że człowiek jest szczęśliwy. Jeden się cieszy tym, że ma trójkę rozbrykanych dzieci i zawsze ma się kim zająć, a inny ceni sobie ciszę i święty spokój. Ktoś oczekuje od partnera, żeby był dla niego rywalem, bo wtedy nieustannie, nie tylko w pracy, może uczestniczyć w wyścigu szczurów. Inny zaś chce mieć w domu wsparcie i odpoczynek od harówki w firmie. W cenie bywają wspólne zainteresowania, lecz niektórzy uważają, że to dobrze, gdy są różne, bo to pozwala trochę побыć bez siebie, dzięki czemu łatwiej utrzymać szczęście w związku.

Mimo tych rozmaitych definicji szczęśliwego związku jedno było pewne: w tym momencie związek Romana i Gabrysi szczęśliwy nie był. Ba, już od dość dawna nie sposób go było uznać za takowy, co zdecydowanie najlepiej było widoczne wieczorami, szczególnie po godzinie dziewiętnastej. Wtedy najmniejsza rzecz, która nie podobała się u partnera, powodowała nerwowe drżenie kącika ust. Zwrócić mu uwagi nie było można, bo to mogło rozkręcić spiralę kłótni, której nie mogliby powstrzymać.

Co gorsza, pracowali głównie razem w domu, bo obaj byli wolnymi strzelcami niezatrudnionymi nigdzie na stałe. Owszem, w trakcie dnia mogli się sprzezać, ale to zakłócało wykonywanie im zleceń, które notorycznie zawalali. To jeszcze bardziej ich frustrowało. Próbowali ustalić, że kłócić się będą tylko od ósmej do dziesiątej rano, a potem zajmą się pracą. Ale to ich dodatkowo ograniczało. Na dodatek gdy się budzili po wielu godzinach przymusowego odwyku od sprzeczki, byli tak psychicznie wykończeni, że nie mieli sił na żadne awantury. A gdy jakoś już tych sił nabierali, dochodziło południe i musieli pracować, by nie tracić czasu na jałowe spory.

Wyjściem nie było też wychodzenie wieczorem do znajomych, bo przy obcych prawie nigdy się nie kłócili, aby nie burzyć wizerunku szczęśliwego związku, w którym żyli, jak wszystkie znane im pary nieheteronormatywne. Nie mając jednak wyboru, kilka razy się na takich wyjściach mocno posprzecali, co sprawiło, że zaczęto mówić, iż coś się psuje między Romanem i Gabrysią. Oni sami też to zauważali...

– Dłużej tego nie wytrzymam – stęknął Gabrysia niezbyt głośno. Było już późno i właściwie nie powinien zaczynać tej rozmowy. Ale po jego twarzy, wymęczonej przez brak kłótni, widać było krańcową desperację.

– Gabrysia, nie teraz – jęknął Roman. – Muszę zrobić projekt tego opakowania nowych chipsów na jutro. W dzień nie dałem rady, może teraz mi się chociaż uda.

– Sam nie wiem, jak mogłeś wziąć to zlecenie. Chipsy są niezdrowe i...

– Powiedział ten, który napisał tekst do reklamy jakichś idiotycznych żelków składających się chyba wyłącznie z konserwantów!

– Z samych tłumaczeń nie wyżyję!

– Ja zarabiam, nie musisz brać byle gówna!

Nieregulaminowa kłótnia zdawała się rozkręcać, co powodowało, że jak zwykle postanowił się w nią wmieszać pies pary. Robił to tak jak zawsze, czyli szczekając. Nie wyrażał przy tym poparcia dla żadnej ze stron, a raczej niezadowolenie z prowadzenia przez nich sporu.

– Co?! Znowu mi wypominasz, że mnie utrzymujesz?!

– Niczego ci nie wypominam, tylko stwierdzam fakty!

– I przez te fakty ja muszę pisać idiotyczne reklamy żelków!

Dało się słyszeć głośne stukanie w ścianę. To był znak, którym pani Irmiona przypominała im o ich obowiązkach. Umilkli w jednej chwili, choć ich usta aż rwały się do dalszego prowadzenia dyskusji w podwyższonej temperaturze. Uciszył też pies, ale on jeden wyglądał

w tej sytuacji na zadowolonego. Absolutna cisza trwała kilkanaście minut. Ale z każdą chwilą tężała i była dla obydwu większym hałasem niż najgorsza kłótnia.

– Ja już nie dam rady – stęknął ponownie Gabrysia.

– Proszę, daj spokój. Mnie też nie jest łatwo. Nie zaczynaj znowu.

– Może zapłacimy ten czynsz sami? To nie jest wiele, siedemset złotych...

– Przecież wiesz, że czynsz może nie wystarczyć. Jeśli się będziemy kłócić, oni zaczną wzywać policję i uprzykrzą nam życie, jak tylko będą mogli. W tej kamienicy nikt nie ceni ludzi żyjących w szczęśliwym związku. Będziemy się musieli stąd wyprowadzić! A gdzie indziej czynsz plus opłata za wynajem to będzie nie mniej niż dwa tysiące. Tu byśmy płacili tylko tak mało, bo to mieszkanie tego bogacza, co musiał uciekać.

– Naprawdę wierzysz w to, że ten Klempuch pozwolił nam tu na początku mieszkać bez opłat, żebyśmy uprzykrzyli życie temu detektywowi?

– Wszystko na to wskazuje. Jak sobie pomyślę, że ten drań Fifka nas w to wkopał! – podniósł głos.

– Ciii... – uciszył go Gabrysia i choć Roman najchętniej by na niego nakrzyczał, zacisnął usta w grymasie bezsilności.

– Nie dam rady zrobić tego opakowania! – Zamknął laptopa.

– Wyprowadźmy się stąd. Nie dość, że on jest wredny, to jeszcze ten babsztyl spod czternastki. A na niższych piętrach też same homofoby.

– I dlatego musimy wytrzymać i pokazać im, w jak bardzo szczęśliwym związku żyjemy. Chodź do parku, ciepły wieczór, trzeba trochę odreagować.

– A jak ludzie znów będą wzywać policję przez nasze krzyki?

– To włączymy w zegarku stoper na pięć minut.

– Ja tak nie potrafię na zawołanie zacząć i przestać się kłócić – jęknął Gabrysia.

– A widzisz jakieś inne wyjście?

Gabrysia przez chwilę zastanawiał się, czy jest jakieś inne wyjście. Właściwie wiedział, że go nie ma, ale nie chciał się od razu przyznawać do porażki. A potem tylko poszedł po smycz dla psa i wyszli na spacer do parku, żeby tam się trochę pokłócić, by ocalić swój szczęśliwy związek.

Jacek wpatrywał się w maila, którego otrzymał przed godziną od Malwiny. Jego treść była krótka, wręcz lakoniczna: *Przylatuję z Basią za niecałe dwa tygodnie, 21 maja. Odbierzesz nas z lotniska?* Odpowiedź właściwie mogła być tylko jedna, a mimo to Przypadek siedział przed komputerem i czytał wiadomość po raz kolejny, nie mając zamiaru odpisywać. Kiedy w końcu uniósł prawą dłoń nad klawiaturę, usłyszał dzwonek domofonu. Był natarczywy, podenerwowany, jakby ktoś, zanim jeszcze dotknął przycisku przed wejściem do kamienicy, już się niecierpliwił, dlaczego nikt mu nie otwiera.

Detektyw poszedł do przedpokojku, podniósł słuchawkę i nacisnął otwieranie. Nie pytał, kto jest na dole, gdyż i tak doskonale to wiedział. Uchylił też drzwi, żeby ten, kto zaraz wbiegnie do niego na czwarte piętro, mógł wejść do mieszkania bez konieczności używania kolejnego dzwonka. Później ruszył do kuchni, gdzie wyjął dwie szklanki. Sięgnął do lodówki, nalał do nich swój ulubiony napój jabłkowomietowy. Gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi, wziął tylko obie szklanki w dłoń i stanął w oczekiwaniu na gościa.

Marzena najchętniej wytrąciłaby mu picie z ręki, choćby po to, aby udowodnić, że wcale nie okazał się taki przewidujący jak zwykle, gdyż ona absolutnie tego picia nie potrzebuje! Albo po to, aby od razu ukazać mu swoją wściekłość! Był tylko mały problem, bo na dworze

panował dziś wyjątkowy jak na początek maja nieznośny skwar, a ona biegła tu na złamanie karku i gdyby nie kilka łyków czegoś chłodnego, nie miałyby jak na Przypadka nakrzyczeć. Dlatego mimo wszystko wzięła szklankę i wypijała duszkiem jej zawartość, łypiąc ze złością to na gospodarza, to na fotografię modelki Małgosi Urbanek stojącą na kuchennej półce. Dopiero potem krzyknęła:

– Byłeś u niego?!

– Czytałaś już *CesarSKI blef*?

– Co?! – zapytała kompletnie zdezorientowana, bo spodziewała się albo kłamliwych zaprzeczeń, albo bezczelnego przyznania się, ale nie pytania o to, czy czytała książkę Jeziorskiej.

– Pytam, czy czytałaś najnowszą książkę Cesarzowej Polskiego Kryminału. Lubisz takie rzeczy przypominające kryminał. Te jej poprzednie też czytałaś...

– No i co z tego?

– Prowadzę sprawę o plagiat. Pewnie o tym słyszałaś...

– Trudno, żeby nie słyszała, trąbią o tym od dwóch tygodni wszystkie gazety!

– No właśnie, zbliżają się targi, sto tysięcy nakładu wydrukowane i wydawnictwo ma kłopot. A mnie się, szczerze mówiąc, nie chce tego czytać. Pewnie jakiś ideologiczny bełkot doprawiony morderstwem.

– To nie czytaj – warknęła Marzena. Gusty czytelnice czy szerzej: dotyczące sztuki zawsze ich dzieliły i kiedy ona poszukiwała czegoś nowego, on pozostawał konserwatywnie wierny sprawdzonym wzorcom. – Przecież nikt ci nie każe prowadzić tej sprawy.

– Muszę, żeby książka mamy dobrze się sprzedała...

– A co to ma do rzeczy? Przecież wydaje ją duże wydawnictwo, pierwsze recenzje są świetne.

– Ale wydrukowali jej tylko trzy tysiące. Mówią, że muszą ostrożnie zaczynać, bo to jednak debiutantka, a poza tym hurtownie nie zamówiły i takie tam pitu, pitu...

– No ale gdy książka się będzie dobrze sprzedawać, to najwyżej dodrukują...

– A ty jak zwykle uroczo naiwna. – Jacek się uśmiechnął. – Książki najlepiej się sprzedają w ciągu miesiąca, dwóch po premierze. Jeśli wtedy nie będzie ich w księgarniach, to się nie sprzedadzą, a ewentualny dodruk będzie maksymalnie w wysokości początkowego nakładu. Dlatego wzięciem tej sprawy zmusiłem ich do tego, żeby wydrukowali sto tysięcy egzemplarzy.

– Nieźle. – Marzena pokiwała głową z mieszaniną uznania i niedowierzenia. – To naprawdę jest dobra książka, ale nie sądzę, żeby się aż tak dobrze sprzedała.

– Dużo gorsze gnioty sprzedają się w świetnych nakładach, jeśli tylko mają odpowiednią dystrybucję i promocję. *A Detektyw w meloniku* to jest bardzo dobry kryminał. Nic nie ryzykują, po prostu gdy mają wydrukowane sto tysięcy, muszą się dużo bardziej postarać niż przy trzech... To co, czytałaś już *CesarSKI blef*?

– Tak.

– I jak, różni się od poprzednich? To znaczy kryminał zaczyna się najwcześniej na dwusetnej stronie i właściwie go nie widać? – spytał kpiąco.

– Bo ta książka to coś więcej niż kryminał!

– Ale jest taka sama jak poprzednie? Czy widać jakieś różnice stylistyczne? Albo na przykład jakieś podobieństwa do stylu Ebisa czy Mocka? Bo ich książki też czytałaś?

– Nie jestem krytykiem literackim...

– Nie musisz. Jak oceniasz to jako czytelnik...

– Nie zauważyłam wyraźnych różnic – zastrzegła się Marzena. – Może najbliższej miejscami do stylu Mocka. Ale nie wykluczam, że to dlatego tak mi się wydaje, że jego lubię najbardziej. Ale potem pomyślałam, że to może siła sugestii. A ty myślisz, że ona naprawdę ukradła tu tę książkę?

– Nie wiem. Dopiero jutro się z nią spotykam. – Jacek odebrał od Marzeny szklanekę, aby dolać jej kolejną porcję soku. – To o czym chciałaś porozmawiać?

Mecenas Kolska spojrzął na niego w pierwszej chwili półprzytomnie, bo tak zajęł ją rozmową, że zapomniała, z czym przyszła. Dopiero słowa detektywa jej o tym przypomniały i Marzena nasrożyła się, jakby dopiero co wpadła do mieszkania Jacka.

– Byłeś u niego?!

– Tak ci powiedział? – zapytał z niewinną miną detektyw.

– Nie chciał się przyznać. Ale ja i tak wiem swoje!

– To po co pytasz, skoro nie potrzebujesz mojej odpowiedzi, żeby na mnie nakrzyczeć?

– Wyraźnie zabroniłam ci się wtrącać w nasze sprawy. Tak czy nie?

– Tak.

– To dlaczego to robisz?!

– Nic już nie robię. – Jacek nie miał ochoty na tłumaczenia. – Wybacz, ale mam teraz głowę zajętą własnymi sprawami. Muszę zakończyć śledztwo, zanim Malwina wróci z Basią...

– To nie mógłbyś się zajmować wyłącznie swoimi sprawami?! Fabrizio jest ostatnio taki nerwowy, jakbyś zagroził mu egzekucją!

– Minie mu to. Obiecuję.

– No tak, bo ludzie są... – Nie dokończyła, tylko pokręciła głową. – Obiecuję ci, że jeśli jeszcze raz się dowiem, że wtrąciłeś się w moje sprawy, to już nigdy w życiu się do ciebie nie odezwę!

– Niedługo i tak właściwie przestaniemy się do siebie odzywać. – W głosie Jacka nie było cienia kpiny, tylko jakiś nostalgiczny smutek. To podziało go uspokajająco na Marzenę.

– Jacek, ja wiem, że ty się mną przejmujesz, ale naprawdę nie możesz... – Urwała i zmieniła temat. – Czasem się przecież zobaczymy. Są telefony, Internet...

– Przez telefon w zasadzie nigdy nie rozmawialiśmy dłużej jak minutę. Maili do siebie nie piszemy. Nie chcę się łudzić, bo wiem, że będziesz już miała swoje życie, którego naprawdę nie chcę ci komplikować swoją obecnością. Pewnie czasem będziemy mieli kontakt. Ale oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że coraz rzadszy. Takie życie.

– Czyli na pewno nie będziesz się więcej wtrącać? – Marzena nie chciała się rozkleić, choć i ona czuła, że pewien etap jej życia kończy się bezpowrotnie.

– Tylko wtedy, gdy mnie poprosisz.

– Na pewno nigdy cię nie poproszę! – zaprotestowała gwałtownie, choć już po chwili wiedziała, że sama nie może być tego pewna. Nie wypadało jej się jednak wycofywać tak nagle ze swojej obietnicy. A poza tym zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli kiedykolwiek poprosi Jacka o pomoc, otrzyma ją.

– Skoro tak, to na pewno się nie wtrączę – zapewnił Jacek ze swoim ulubionym wyrazem twarzy.

– Postraszyłeś go? – zapytała łagodnie Marzena i poprosiła: – Przyznaj się.

– Trochę postraszyłem – potwierdził skromnie Jacek.

Pani mecenas nachyliła się w jego stronę, pocałowała go w policzek i powiedziała:

– Dzięki.

Pani Lidia ze smutkiem patrzyła na krzesło i biurko, które stały puste od kilku tygodni. Miała nadzieję, że takie już pozostaną do chwili, aż ostatecznie stąd znikną albo zostaną zajęte przez kogoś miłego i sympatycznego. A nie przez tę zarozumiałą dziewczuchę! Sama myśl o tym przyprowadzała ją o dreszcze. Lecz chyba nie będzie miała wyjścia. A może raczej powinna zmienić pracę?

Do kancelarii wszedł Fryderyk Przypadek, elegancki jak zwykle. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, lecz ona nie potrafiła dziś odwzajemnić jego uśmiechu, co nie uszło uwadze mecenasa.

– Czy coś się stało, pani Lidio?

– Nie, panie mecenasie. Tylko pani Storczyk czeka na pana w gabinecie.

Fryderyk Przypadek uśmiechnął się pod nosem. Więc jednak się złamała. Musiał przyznać, że powoli tracił już na to nadzieję i sam miał ochotę jakoś odzwać się do córki, by nawiązać z nią kontakt. Był zdziwiony tą myślą, bo gdy Jacek lekceważył jego nakłanianie do wzięcia się za siebie w celu objęcia po nim kancelarii, nigdy nie miał zamiaru ustępować krnąbrnemu potomkowi. A tu... Może jednak Agnieszka bardziej była jego córką, niż Jacek był jego synem? I to mimo tego, że jej nie wychowywał, a przy nim starał się jak mógł, choć nie na wiele się zdało.

Na razie jednak, aby jego plan w pełni wypalił, musi się opanować. Zrobił więc obojętną minę i powiedział tylko do pani Lidii:

– Dopóki nie zostaną sam w gabinecie, proszę mnie z nikim nie łączyć.

Sekretarka kiwnęła posłusznie głową. Pan Fryderyk wszedł do gabinetu i od razu poczuł się jeszcze pewniej. Storczyk siedziała grzecznie na krześle dla petentów. Nie było w jej postawie właściwie nic z jeszcze niedawnej buńczuczności. Jedynie gdzieś na dnie jej oczu stary mecenas zobaczył zarzewie niezgody. Uznał jednak, że to niegroźne, że tak ma każdy buntownik i że nie jest to oznaka nadchodzącego wybuchu, tylko niedogaste resztki po dawnym pożarze młodej głowy.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Nie dziwię się – burknęła Storczyk. – Udało ci się, więc możesz się i cieszyć.

– Czy mi się udało, to się dopiero okaże – rzekł łagodnie pan Fryderyk. – I nie bój się, nie będą ci urządał żadnego poskromienia złościcy. To bezsensowne i niecelowe. Co nie oznacza, że jednak pewnej zmiany nie będę od ciebie oczekiwał. Ale nie potrzebuję kogoś, z kim będę walczył, lecz kogoś, z kim będę współpracował. Dlatego nie będę wydawał ci poleceń ani rozkazów, ale postaram się w miarę możliwości traktować cię po partnersku. Czy takie warunki ci odpowiadają?

– Myślę, że tak – powiedziała bez entuzjazmu. – Ale ja też mam jeden warunek.

– Słucham?

– Nigdy więcej nie nazywaj mnie „córeczką”. Ani przy obcych, ani gdy jesteśmy sami. Przynajmniej nie w taki sposób jak ostatnio. Staraj się w ogóle mówić jak najmniej o naszym pokrewieństwie. Nie chcę, żebyś to ukrywał. Tylko po prostu się z tym nie afiszuj.

– Bądź spokojna, nie mam zamiaru. Wprawdzie nie ja jeden mam nieślubne dziecko, ale to nie jest powód do chwalenia się. Choć przyznam, że mam nadzieję, iż będę mógł być z ciebie dumny. – Pan Fryderyk powiedział to tak ciepło, że coś w środku zakłuło ją boleśnie. Na tyle, że z trudem powstrzymała łzy. Lecz czy były to łzy radości, czy złości, autor tę wiedzę zachowa na razie dla siebie. W każdym razie Storczyk odparła spokojnie:

– Postaram się. W końcu leży to w naszym wspólnym interesie.

– Dobrze, zatem mamy do omówienia dwie kwestie. Jedną mniej ważną, drugą istotną...

– Zaczynij od tej mało ważnej...

– Otóż zawsze starałem się szanować swoich aplikantów oraz pracowników. Owszem, dawałem im sporo pracy i bardzo dużo wymagałem, ale zawsze ich szanowałem i lubiłem. Pani Lidia jest przerażona wizją współpracy z tobą, a tak się z pewnych względów składa, że bardzo odpowiada mi jako sekretarka.

– Dobrze, postaram się, żeby się mnie nie bała. Ale polubić ją będzie mi trudno.

– Tego nie wymagam. Jednak gdy usłyszysz, że chciałyby odejść, to będzie znak, że ponoszę porażkę...

– A ta ważna sprawa?

– Wiem, że szczególnie dla kobiety to bardzo delikatna kwestia, ale trudno, to naprawdę ważne. – Pan Fryderyk wydawał się naprawdę zakłopotany, a Agnieszka czuła, co chce powiedzieć, dlatego ze złości zacisnęła zęby. – Jednak w tym stroju jesteś absolutnie nieakceptowalna. Zresztą nie byłbym w stanie pochwalić żadnego z twoich strojów, które do tej pory widziałem... Czy jesteś wcześniakiem? – zapytał zniecierpliwiony mecenas.

– Nie. I owszem, dobrze liczysz. Za dwa tygodnie mam urodziny.

– Świetnie się składa. W najbliższą sobotę wybierzemy się na duże zakupy...

– Okej. Ale wyjątkowo będę mówiła do ciebie „tato”, dobrze? Nie chciałyby, żeby ktoś pomyślał, że jakiś starszy pan robi mi takie prezenty.

– Uwierz mi, że ja też.

– A jakim budżetem dysponuję? – Uśmiechnęła się bezczelnie. Była przy tym pewna, że ojciec, znany powszechnie ze swego sknerstwa, wymieni jakąś skromną kwotę i będzie się domagał, żeby sama zrobiła zakupy za dwa razy więcej, sobie pozostawiając wyłącznie rolę doradcy.

– Dziesięć tysięcy – oświadczył pan Fryderyk i z przyjemnością obserwował zaskoczenie na twarzy Agnieszki. – Jeśli go nieznacznie przekroczymy, nie będzie to kłopotem. W końcu to mój pierwszy prezent na twoje urodziny, muszę trochę odrobić zaległości.

Cesarzowa Polskiego Kryminału w trakcie rozmowy z Jackiem nawet na chwilę nie potrafiła spokojnie usiąść. Cały czas chodziła po salonie, gestykułując zaciekle i w swojej ekspresji przypominała detektywowi Hankę Bielicką. Na dodatek gdy widział ją z profilu, dostrzegał jej szpiczasty nos i wystającą brodę, dlatego skojarzyła mu się z księżycem i pomyślał, że na starość będzie bardziej przypominała z boku Babę Jagę. Teraz musiał jednak przyznać, że jest wysoką, szczupłą i atrakcyjną brunetką o błękitnych oczach ukrytych za długimi firankami rzęs i przenikliwym spojrzeniem. Palce zakończone miała tipsami aktualnie w kolorze kobaltowym.

– Kompletnie nie wiem, co tej wariatce wpadło do głowy, aby twierdzić, że to ona napisała *Cesarski blef!*

– W jej wersji to się nazywa *Zagrywka carycy*.

– Jak zwał, tak zwał... Niby jak miałabym jej go ukraść?!

– Przecież pani wie, że oskarża ona pani syna Wojtka o włamanie się do jej komputera i kradzież pliku z książką. Przekazała zresztą policji plik, który po przeskanowaniu okazał się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach zgodny z tym, co pani napisała. Brakuje tylko w sumie nieistotnego wątku kryminalnego – stwierdził ironicznie detektyw, ale Cesarzowa tego nie zauważyła, za to spojrzała na niego z uznaniem.

– Widzę, że ma pan kontakty w policji. – Przypadek zbył jej uwagę milczeniem, dlatego kontynuowała. – W sumie nietrudno, żeby się zgadzał. Wystarczyło, że kupiła od razu moją

książkę, przepisała ją błyskawicznie, tu i ówdzie zmieniała parę rzeczy... Żaden problem!

– Nie mogła jej od razu kupić, oglądałem przekaz z pani spotkania autorskiego, gdzie pan Fifka twierdzi, że właśnie dotarli tam pierwsze egzemplarze z drukarni. Nie mogła to również zrobić z ebooka, bo te zwyczajowo Polskie Książki prezentują dwa tygodnie po papierowej premierze. Na dodatek plik został zmieniony po raz ostatni osiem miesięcy temu, zanim złożyła pani książkę do wydawnictwa... Nie mógł go więc przekazać nikt z Polskich Książek.

– Czyli co, pan też uważa, że niby ja jej go ukradłam? – Cesarzowa zrobiła swoją ulubioną minę skrzywdzonej dziewczynki.

Przypadek pomyślał, że do niej zdecydowanie lepiej pasowałaby burza blond włosów i nie potrafił się wzruszyć.

– Błagam, tylko bez sztuczek. – Jacek ziewnął znudzony. – Tym może pani karmić kolorową prasę i naiwnych dziennikarzy, którzy w większości są pani dawnymi kolegami z pracy w gazecie, kiedy była pani dziennikarką śledczą. – Detektyw się uśmiechnął, a Cesarzowa zmierzyła go tyleż władczym, co oburzonym spojrzeniem.

– Obawiam się, że wydawnictwo popełniło błąd, zatrudniając pana do tej sprawy. Jeśli pan nie wierzy w moją niewinność, proszę iść do tych, którzy wydają książki Ebisowej.

– Gdyby wydawnictwo wierzyło w pani niewinność, to raczej zapłaciłoby za dobrych prawników, a nie decydowało się na mnie. Skoro tak jednak nie jest, to widać, że z pewnych względów mają do pani ograniczone zaufanie. Dlaczego? – zapytał Przypadek z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– Nie mam pojęcia.

– Czyli jednak wie pani, że w wydawnictwie nie do końca pani wierzą?

– Nic takiego nie powiedziałam. Proszę mnie nie łąpać za słówka, tylko zająć się rozwiązywaniem sprawy. Ja już chyba nic więcej nie mogę pomóc. Skoro ma pan wtyczki w policji, to sam pan wie, że plik z *Cesarzkim blefem* złożyłam kilka miesięcy wcześniej niż ona swoją *Zagrywkę carycy*...

– Wiem. Ale ciekawe, skąd pani to wie?

– Powiedzmy, że też mam z dawnych lat kontakty w policji – odpowiedziała po chwili namysłu Cesarzowa Polskiego Kryminału, która zdążyła się już aż nadto dobrze zorientować, że przy rozmowie z detektywem trzeba bardzo uważać na to, co się mówi. – Jak sam pan wspominał, byłam dziennikarką śledczą.

– A zatem wie pani zapewne, w jaki sposób oskarża panią także pan Mocek.

– Wiem. Ale on po prostu mści się za to, że z nim zerwałam ponad rok temu. Miał łatwy dostęp do mojego komputera przez kilkanaście miesięcy...

– Pani do jego również. I prosiłem, niech pani nie robi już tych skrzywdzonych miniek, bo właściwie wszyscy w środowisku wiedzą, że nie należy się do pani odwracać plecami, by nie znaleźć tam wbitego noża.

Jacek uśmiechnął się, gdyż zobaczył po chwili, jak twarz Jeziorskiej zmienia się na całkiem normalną. Jakby postanowiła zrezygnować z grania i udawania biednej, skrzywdzonej istotki. Jej rysy nieco się wyostrzyły, spadła z nich maska niewinności. Jednak wcale nie stała się zła ani okrutna. Teraz była po prostu zwyczajna.

– Zamoyski to panu powiedział? Nie lubię tego... – Resztką instynktu samozachowawczego uchroniła ją przed brutalnym określeniem orientacji erotycznej Hetmana Polskiego Kryminału. – Właśnie jemu chętnie bym wbiła nóż w plecy. Ale do mnie się akurat nie odwróci – dodała zgrzyliwie. – Daję panu słowo, że nie ukradłam tej książki.

Jeśli mi pan nie wierzy, to trudno. Mogę panu powiedzieć, jak wpadłam na jej pomysł i jak nad nim pracowałam, ale nie wiem, czy to pomoże panu w śledztwie.

– Dlaczego nie? W sumie to miło posłuchać o inspiracji pisarzy. Prawie jak na spotkaniu autorskim.

– No więc to było tak... – Cesarzowa zaczęła snuć swoją opowieść, a Jacek nie przerywał jej żadnym pytaniem, tylko pomyślał, że opowiadanie tej historii idzie jej nadzwyczaj sprawnie. W końcu jednak była przeciw pisarką, a na dodatek musiała się przygotować na wiele spotkań autorskich, na których musiałaby opowiadać o swoim dziele. Z drugiej jednak strony jej opowieść była tak spójna i logiczna jak żadna jej książka. Choć chyba równie rozwlekła jak większość z nich.

Pani Helena Sakowicz nie miała do tej pory wielu okazji do spotkań ze swoją synową. Z jednej strony sama do tego specjalnie nie dążyła, a z drugiej kontakt był nieco utrudniony przez grymasy Jędrzeja. Miała ich powoli powyżej uszu i trochę żałowała, że na początku konfliktu z synem nie przyjęła bardziej zdecydowanej postawy. Czuła jednak, że temperatura wzajemnej niechęci jej dwóch mężczyzn jest tak duża, że dla dobra sprawy należy im pozwoleń na tę rozłąkę.

Ostatnio zresztą przejęła inicjatywę i powoli zdążyła do ostatecznego celu. Potrzebowała do niego jedynie sprzyjających okoliczności i sojuszniczki. Dlatego bardzo się ucieszyła, gdy Ania do niej zadzwoniła i zapytała łamiącym się głosem, czy może przyjść. Kiedy jednak zobaczyła synową, jej radość szybko minęła, bo stan, w jakim znajdowała się ekshibitorka, sprawiał, że pani Helena nie mogła raczej liczyć na jej pomoc.

– On mnie zostawi! – załkała Ania zaraz po powitaniu. – Na pewno zostawi...

– Uspokój się, moja droga. To absolutnie niemożliwe.

– Jak to niemożliwe?! Teraz wszyscy zostawiają wszystkich. Wśród moich znajomych nie ostało się ani jedno małżeństwo! Rozwodzą się po paru latach. A jak nie, to i tak zaczynają żyć osobno. Ani jednego szczęśliwego związku. Z wyjątkiem pary znajomych gejów. Ale oni nie są małżeństwem. Te nigdy się dobrze nie kończą.

– Nie bierz tego do siebie, ale obracałaś się do tej pory w... – Pani Helena szukała odpowiedniego słowa, aby nie urazić synowej. – Powiedzmy, że obracałaś się do tej pory w dość specyficznym środowisku.

– Jakim specyficznym? – Ania nie zrozumiała zarzutu.

– No wiesz, dziennikarze, aktorzy, pracownicy wielkich korporacji i ci, jak im tam, celebryci. – Pogarda w słowach pani Heleny mieszała się z pewnym zabawnym zdziwieniem wobec tego, jacy ludzie uważają się w dzisiejszych czasach za elitę.

– No, to prawda. – Dziennikarka w błogosławionym stanie spoczynku uznała chyba, że teściowa mówi z należnym szacunkiem o jej znajomych z niedawnego życia. – Fantastyczni ludzie! – westchnęła z żalem. – Prawie ich teraz nie widuję...

– I im dłużej będzie trwał ten stan, tym lepiej dla twojego samopoczucia.

– Żartuje pani? – Ania nie przeszła ze swoją teściową ani na ty, ani na „mamo”, bo chyba żadna z nich nie potrafiła sobie tego, przynajmniej na razie, wyobrazić. – Przecież ja za nimi tęsknię!

– Oni za tobą chyba jakby mniej.

– No fakt – przyznała smutno Ania. – Chciałam, by o mnie napisali, że jestem w ciąży, że spodziewam się dziecka ze znanym mecenasem. O, i chciałam nawet namówić, by zrobili

parę zdjęć z wesela. Gdybym ich o to poprosiła rok temu, to by mi może nawet zapłacili za wyłączość. A teraz nikt się nie zainteresował.

– I bardzo dobrze! – Pani Helena sprowadziła swoją synową na ziemię. – To są prywatne sprawy, które nie powinny interesować nikogo poza rodziną – oświadczyła stanowczo, a Ania spozrzała na nią niechętnie.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek...

– Mam nadzieję, że nawet w dwudziestym czwartym będą tacy, którzy będą tak uważać. A ty się powinnaś raczej cieszyć, że Sakowiczowie wciąż mentalnie tkwią w wieku dziewiętnastym, bo dzięki temu nie musisz się obawiać nawet myśli o rozwodzie ze strony Błażeja. Tak jak jego ojciec i każdy jego przodek, jest fizycznie i psychicznie niezdolny do tego.

– Akurat, niezdolny. Nie zna pani własnego syna – powiedziała Ania z wyrzutem. – On się wciąż ogląda za innymi. Nawet nie wiem, czy to dziecko tej jego współniczki, Marzeny, na pewno jest tego Włocha, za którego ona wychodzi...

W pierwszym momencie pani Helena chciała udzielić Ani reprimendy w obronie własnego syna, którego ktoś śmiało posądzić o tak niecne rzeczy. Ale powoli zaczęła do niej docierać istota przekazanej informacji, o której wcześniej nie miała pojęcia. Poczwała, że być może nadarza się odpowiednia okazja, żeby pewne sprawy wróciły na właściwe tory. A także na to, aby jej synowa dostąpiła szczególnej wiedzy jej samej przekazanej przez świętej pamięci teściową.

– Poczekaj chwilę. Ta Kolska wychodzi za mąż za tego... Cavanellego?

– Tak. I Błażej się tym strasznie martwi. Bardziej przejmuję się tym, że ona odchodzi, niż moim stanem. I oczywiście tym, że nie rozbuduje od razu swojej kancelarii, tak by była większa od kancelarii ojca. A o mnie w ogóle nie pomyśli. Nic a nic! Ja już dla niego właściwie nie istnieję!

– Uspokój się, Aniu, i posłuchaj mnie. – Pani Helena chwyciła synową za dłoń, a ta zdziwiła się, bo był to pierwszy tak serdeczny i bezpośredni gest ze strony teściowej w ich kontaktach. – Pojawia się okazja, żebyś mogła być spokojna.

– Co pani ma na myśli?

– Nauczę cię, jak zarządzać Sakowiczami.

– Jakoś sobie daję radę z Błażejem.

– Doprawdy? – zdziwiła się uprzejmie pani Helena. – A jeszcze przed chwilą mówiłaś, że o tobie w ogóle nie myśli i dla niego nie istniejesz. Ja wiem, że pewnie gdy krzykniesz, to on się nie śmie sprzeciwić. Ale to nie daje ci spokoju dłużej niż na chwilę. A widzisz, tu trzeba dać mu pewne złudzenie swobody, żebyś nawet nie musiała podnosić głosu, a on będzie odgadywał twoje myśli.

– Jak to zrobić? – spytała wyraźnie zaciekawiona.

– Powiedziałam, nauczę cię. A na końcu zrobimy test, który przywróci cały świat Sakowiczów do równowagi.

Podkomisarz Łoś doskonale wiedział, że jeśli w sprawie prowadzonej przez Przypadka nawet pozornie nie występują znane osoby, to i tak w końcu pewnie zahaczy ona o kogoś bardzo ważnego z koneksjami. Tym razem jednak dotyczyła ona wprost najgłośniejszych ostatnio nazwisk, dlatego liczba kłopotów, jakie mogły spotkać dzielnego podkomisarza ze strony przełożonych, była wprost do tego rozgłosu proporcjonalna. Policjant mógł być pewien, że jeśli rozstrzygnięcie sprawy pójdzie nie po myśli którejś ze stron, od razu zaczną się naciski

w stylu „wiecie, rozumiecie, tak nie może być, że taka znana persona może się okazać winna”. A tu na dodatek było pewne, że winne okażą się dwie bardzo znane osoby.

Chyba jednak lata doświadczeń uodporniły podkomisarza na te przeciwności losu, bo gdy dowiedział się, jakie śledztwo detektywa przyjdzie mu tym razem nadzorować, nawet za bardzo się nie zdenerwował. Dzięki biegowej pasji mógł się z nim widywać niepostrzeżenie i nawet chwilowo udawać, że nic ich nie łączy, a sprawę prowadzi osobno, konsultując się wyłącznie z siedzącym akurat naprzeciwko starszym aspirantem.

– No dobrze, Smańko, ustalmy podstawowe fakty, zanim pojawi się tu pani Teresa M. Ebis...

– Caryca?

– A co jesteście tacy podekscytowani? Czytaliście jakieś jej książki? – zapytał z pewnym obrzydzeniem Łoś. Nie miał, broń Boże, nic przeciwko czytaniu, ale z kryminałów uznawał tylko te z milicyjnym rodowodem z ewentualną domieszką jeszcze starszej klasyki.

– Jedna wpadła mi kiedyś przypadkiem w ręce – odpowiedział wymijająco Smańko, nie dodając, że potem już całkiem specjalnie sięgnął po dwie inne pozycje tej autorki. Nie zachwycały go one wprawdzie, ale jednak sława Carycy Polskiego Kryminału robiła na nim wrażenie.

– A to świetnie. Przeczytacie wszystkie trzy wersje tej książki, to znaczy *Cesarski blef*, *Zagrywkę carycy* i *Podstęp sułtana*, i powiecie, czy coś wam się nie rzuciło w oczy. Ale to za kilka dni...

– Pan podkomisarz żartuje? Nie dam rady!

– Nie dacie rady przeczytać trzech kryminałów w kilka dni? – zdziwił się Łoś, który zwykle połykał milicyjne klasyki w jeden wieczór.

– To pan nie wie, że one mają prawie po tysiąc stron drobnym drukiem?

– Razem?

– Każdy z osobna – zapewnił Smańko, a jego przełożony przyjrzał mu się uważnie, jakby chcąc się upewnić, czy starszy aspirant z niego nie żartuje. Tysiąc stron? Czteryście to i tak bardzo dużo. Jak można na takiej liczbie kartek rozwijać intrygę kryminalną?!

– Aha. No tak, to może wam zająć więcej czasu – powiedział niechętnie i machnął zrezygnowany ręką. – Zresztą to bez znaczenia, program do plagiatów je zbadał i wyszło na to, że jedna od drugiej różni się najwyżej dziesięcioma procentami tekstu, a reszta zgadza się co do przecinka. Ebis mówi, że Jeziorska ukradła jej książkę. Tak samo mówi Mocek. To wiemy na pewno.

– No właśnie, ale przecież nie mogła okraść obojga naraz – wyraził wątpliwość Smańko.

– Macie rację – przyznał Łoś, kiwając głową. – I zarazem jej nie macie.

– Jak to?

– Co najmniej dwie osoby z tego grona kłamią, prawda Smańko?

– No tak.

– Zatem najwyżej jedna z nich mówi prawdę. Choć w zasadzie wszyscy mogą kłamać.

– Naprawdę? – zapytał skołowany nieco Smańko.

– No tak. Ta Caryca mogła ukraść dawno temu plik z książką, żeby oskarżyć teraz Cesarzową. One się podobno bardzo ostatnio nie lubiły. Czytałem, że ta Ebis uważa, iż to ona powinna być Cesarzową, bo to brzmi lepiej niż Caryca. Z kolei ta Cesarzowa mogła ukraść książkę temu niby Sułtanowi i dlatego go rzuciła, żeby się nie zorientował, co chce wydać.

– Czyli, że Ebis mogła ukraść książkę, która już wcześniej została ukradzioną?

– Nie da się wykluczyć.

– Ale to by znaczyło, że to ten Mocek mówi prawdę.

- Właśnie.

- Wcześniej pan mówił, że wszyscy mogą kłamać.

- A czy ja mówiłem, że jednocześnie? Naraz mogą kłamać dwie osoby, a jedna powinna mówić prawdę. Chociaż nie... - Łosiovi coś przyszło do głowy.

- Czyli dlaczego pan mówił, że mam rację i zarazem jej nie mam? - zapytał skołowany starszy aspirant.

- Pomyślcie, Smańko, że mogło być jeszcze tak. Dwa lata temu Mocek mieszka z Ebis. Wpadają wspólnie na jakiś pomysł i zaczynają pisać coś razem, takie duety się teraz podobno zdarzają...

- No faktycznie.

- Być może mają już prawie gotową książkę, ale wtedy Jeziorska odbija Mocka Ebis. Zarówno Caryca, jak i Sułtan nie bardzo mają co z książką zrobić, bo przecież się rozstali i nie wydadzą nic wspólnie. Wtedy Jeziorska kradnie książkę Sułtanowi, ale nie ma pojęcia, że to dzieło wspólne jego i Carycy. Ebis oskarża potem o kradzież Jeziorską, bo nie chce przyznać, że nie napisała książki samodzielnie. Dlatego to samo robi Mocek, zwolniony z lojalności przez współautorkę. Czyli jednak mogą kłamać wszyscy troje naraz! - stwierdził tryumfalnie podkomisarz.

- To brzmi logicznie. - Smańko spojrzął na Łosia z wyrazem uznania, bo dawno nie słyszał z ust przełożonego tak sprytnego rozwiązania zawikłanej zagadki. W pierwszej chwili przyszło mu też do głowy, że podkomisarz mógł ją zasłyszeć od detektywa. Ale namysł, z jakim wygłaszał swoją tezę zwierzchnik, właściwie to wykluczał. Czyżby tak dobrze robili mu te biegi?

- Wiem, Smańko, że brzmi to logicznie. Tylko nie mam pojęcia, jak to udowodnić. Bo przecież mogło być zupełnie inaczej. Książkę napisał Mocek i najpierw ukradła mu ją Ebis, a potem Jeziorska. Albo napisała ją ta Cesarzowa, ukradł ją najpierw Sułtan, a potem od niego dopiero Caryca, która równie dobrze mogła wiedzieć, że Mocek ukradł ją Jeziorskiej, albo i nie wiedzieć...

- No rzeczywiście, brzmi logicznie... Tylko czy jest prawdą... - Na biurku starszego aspiranta zaterkotał telefon. - Smańko, słucham... Oczywiście, wpuśćcie ją. - Odłożył słuchawkę.

- Caryca już jest? - domyślił się Łoś, a starszy aspirant, dopinając guziki marynarki i podnosząc się z miejsca, pokiwał twierdząco głową. - Ciekawe, czy coś nam rozjaśni, czy jedynie zamiesza w głowie... - mruknął pod nosem, ale Smańko wcale go nie słuchał, tylko wyprężył się w oczekiwaniu. Tak jakby monarchiczny tytuł gościa zmusił go do otwarcia mu drzwi i ukłonienia się połączonego z zapraszającym gestem, co Łoś obserwował nieco rozbawiony.

Caryca jednak przyjmowała te gesty ze zrozumieniem, a nawet z pewnym przyzwyczajeniem. Patrzyła na starszego aspiranta z góry, co mimo jego ukłonu nie było łatwe, bo miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. I nawet dzięki wysokiemu koczokowi na czubku głowy, który bardziej przypominał kupkę niż elegancką fryzurę, lecz miał sprawić, że czuła się wyższa, nie była w stanie naprawdę przerosnąć policjanta.

Stała przed Łosiem, który bez słowa wskazał jej krzesło naprzeciwko siebie. Caryca nie raczyła jednak go zająć i wciąż patrząc z góry, co akurat było łatwe, gdyż podkomisarz siedział, zwróciła się do niego z wyższością:

- Nie będą odpowiadała na żadne pańskie pytania. Zwróciłam się już do przełożonych, aby zmienili prowadzącego śledztwo, bo pan podobno współpracuje przy nim z detektywem Przypadkiem.

Bartosz Fifka ciężko odchorował udział w awanturze na spotkaniu autorskim Cesarzowej Polskiego Kryminału. Wprawdzie nie był bezpośrednim uczestnikiem sporu, ale jak już powiedziano, dziennikarz wprost uwielbiał zgadzać się ze wszystkimi swoimi rozmówcami, więc sytuacja była dla niego zabójcza jak dla komputera, który musi wykonać trzy wyklucające się polecenia. Dlatego układy scalone i procesory umysłu Bartosza nie wytrzymały takiego przeciążenia i się przepaliły, prowadząc do awarii całego redaktora Fifki.

Na szczęście teraz już ta awantura go nie dotyczyła i mógł nie mieć z nią nic wspólnego. A tak przynajmniej mu się wydawało do momentu, w którym dziś wyszedł ze swego apartamentowca i natknął się na kpiące spojrzenie.

– Witam pana redaktora! – Detektyw wykonujący skłony wyglądał, jakby niemal padał do nóżek przedstawicielowi mediów.

– Czego chcesz? – warknął Fifka, który doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie zdarzenie losowe sprowadziło tu Przypadka.

– Chciałem zapytać, co tam u naszego wspólnego znajomego.

– U Bolka Szofłysika? – zdziwił się Fifka. – Rozkleił się znów po tej sprawie z Klempuchem. Zdaje się, że wciąga coraz mocniejsze rzeczy. Jeszcze mu zostało trochę kasy z ostatniego odbicia, ale raczej długo nie pociągnie – powiedział bez żalu.

– Nie ma żadnych widoków na program?

– Nie interesuje mnie to. Robię swoje...

– Ja właśnie w tej sprawie. Pewnie pan redaktor słyszał, że się zajmuję kwestią autorstwa *Cesarskiego blefu*?

– Słyszał, słyszał – odpowiedział zirytowany Fifka. – Za to ja nie mam ochoty mieć z nią nic wspólnego.

– Rozumiem. Potrzebuję tylko trochę informacji...

– Pan detektyw ma problemy ze słuchem?

– Pan detektyw liczył na drobny rewanż. W końcu uratował dupę pana redaktora i to w bardzo dosłownym sensie. Ja wiem, że o tym wie tylko kilka osób, ale miałem nadzieję, że pan redaktor nie zapomni.

Fifka spojrział niechętnie na detektywa. Tak naprawdę mógłby zlekceważyć jego prośbę. Owszem, zdarzało mu się nieraz okazywać wdzięczność, ale tylko wtedy, gdy mogło to przynieść mu korzyść. Tymczasem pomaganie Przypadkowi zwiastowało raczej kłopoty niż profity. Wprawdzie przez pewien czas nie był już tak mocno nienawidzony, ale ostatnio znów jakby zaczęły się nad nim zbierać czarne chmury. Podobno Gerhard Sowa, właściciel Ekstra TV, był na niego cięty nie mniej niż Klempuch i już montował dużą kampanię, która miała pogryźć detektywa. Dlatego wszyscy ludzie na pewnym poziomie powinni się od niego trzymać jak najdalej. Szczególnie zaś ci, których los zależy wprost od medialnego giganta. Tak jak Fifki. A jednak wspomnienie tamtej nocy, kiedy tak niewiele dzieliło go od definitywnego końca, nie pozwoliło mu wzruszyć ramionami.

– Pytaj – mruknął niechętnie Fifka.

– Dziękuję panu redaktorowi. Przede wszystkim jestem ciekaw, co środowisko sądzi o tej sprawie.

– Zamoyski ci nie mógł powiedzieć? Przecież wiem, że cię polubił. Chociaż nie wiem za co...

– A to już nasza słodka tajemnica – odpowiedział dwuznacznie Jacek, a Bartosz otworzył ze zdziwienia usta, bo takiej sugestii by się nigdy nie spodziewał po detektywie. – W każdym

razie on po prostu uważa, że żadne z nich nie potrafiłoby napisać dobrej książki, więc w zasadzie może ona być autorstwa każdego z monarchów.

– Cały Zamoyski – prychnął Fifka. – Nigdy nie potrafił nikogo docenić. Tylko „on, ja, mnie?”. – Dziennikarz urwał przestraszony, że na zbyt wiele sobie pozwolił. – Ale nie powiesz mu o tym?

– Nie, w aż tak dobrych stosunkach nie jesteśmy – uspokoił go detektyw. – A wracając do pytania...

– Tak naprawdę środowisko podzieliło się na trzy części. Największa część uważa, że książkę napisała Jeziorska, bo Mocek i Ebis złożyli swoje wersje w wydawnictwach dużo później. Niektórzy sądzą nawet, że to jakaś akcja Mocka i Ebis przeciwko Jeziorskiej. To znaczy, że wymyślili to wszystko, by jej dogryźć...

– Tak bardzo jej nie lubią?

– Od jakiegoś czasu tak. Zresztą cała trójka nie cierpi się nawzajem. Gdy zobaczyłem Mocka i Ebis na tym spotkaniu, to bardzo się zdziwiłem. Od roku żadne się nie pokazywało w towarzystwie drugiego. Nawet jeśli niechęć spotkali się na jakimś evencie, to się trzymali od siebie na kilometr.

– Czyli pokłócili się rok temu?

– Jakoś tak. Najpierw Jeziorska z Ebis, a Mocek to zdaje się próbował jakoś mediować. I chyba za to się na niego obrażyły, że nie wziął strony żadnej z nich. A kiedyś uchodzili nawet za przyjaciół. Zaczynali razem w takim małym wydawnictwie Zakładka. Mieli wspólne promocje, spotkania autorskie, wyjazdy na targi. A potem ich podkupiły większe wydawnictwa, drogi się trochę rozeszły, ale zasadniczo przez długi czas uchodzili za trójkącik. – Fifka się uśmiechnął.

– Mieszkali w trójkę?

– Nie. Ale Mocek był trochę z Jeziorską, potem z Ebis, potem znów z Jeziorską. A jednocześnie chodziły plotki, że i Jeziorska z Ebis są parą. Ale moim zdaniem to ściema. Czasami, gdy się jakiś fotograf nawinął, to się tak mocniej do siebie przytuliły, ale według mnie to nie to. Dla lansu to robiły i tyle.

– Książkę czytałeś?

– No tak. Ale wiesz, cały czas miałem w głowie, że to każde z nich mogło napisać. I czasem mi się wydawało, że to Jeziorska, czasem, że Mocek, a czasem, że Ebis... Może najmniej ona, ale z drugiej strony najradziej wcześniej ją czytałem. Więc tu ci nie pomogę. – Fifka spojrzął na zegarek. – Jeszcze jakieś pytania?

– Nie, to chyba wszystko.

– No to jesteśmy kwita – odetchnął z ulgą dziennikarz, odchodząc.

– W sumie dużo pan redaktor nie zapłacił jak za uratowanie życia – mruknął pod nosem Jacek. – Choć nawet tyle to dla mnie całkiem sporo.

Jerzy Horwacik był uważany od zawsze za osobę niezwykle wpływową w środowisku literackim. W końcu od wielu lat był głównym recenzentem w dzienniku „Nowe Życie”, pisywał też felietony o książkach w poczytnych tygodnikach i miesięcznikach. Brał udział w audycjach i programach telewizyjnych o literaturze, wyznaczając tam trendy.

Nie da się ukryć, że nie był osobą przesadnie lubianą w środowisku, gdyż nosił zaszczytny tytuł Najbardziej Krytycznego Krytyka. Otrzymanie od niego pozytywnej recenzji o książce graniczyło wręcz z cudem, choć złośliwi twierdzili raczej, że z odpowiednio dużą kwotą pieniędzy. Autor stanowczo jednak zaprzecza takim insynuacjom, gdyż rozliczenia w gotówce zdarzały się Horwacikowi nadzwyczaj rzadko. Krytyk kierował się zwykłe

kluczem towarzyskim, czyli kto akurat ma dobry kontakt z jego naczelnym, kogo lubią wpływowi hipsterzy lub kto się ostatnio naraził środowisku jakąś niepoprawną politycznie wypowiedzią. Do tego gdzieś na końcu była też lektura książki, w sumie jednak mająca jedynie potwierdzić jego wcześniejszą opinię. Uważano go przy tym za mistrza wycucia, kogo należy pochwalić, a kogo akurat zganić. Miał niezwykle zdolności pozwalające mu wyczuwać, który literat znudził się właśnie ludziom ważnym i wpływowym.

Posiadał również własne ambicje literackie i co jakiś czas udawało mu się swoje dzieło w ramach handlu wymiennego wcisnąć różnym wydawcom. Ale mimo dobrej promocji i świetnych recenzji utwory te nie osiągały sukcesu komercyjnego, co pogłębiało jego przeświadczenie o fatalnych gustach literackich tego narodu. Finansowo osładzały mu ten fakt okazyjne nagrody literackie.

Jedną z nich przyznał zresztą sobie sam, wygrywając konkurs na esej urządzany przez pewną państwową instytucję, którą zarządzał. Nie przejął się wtedy pomrukami, które pochodziły nie tylko od wrogów, lecz także od ludzi z jego środowiska. W końcu kto mógł mu coś zrobić? Nazywał się Jerzy Horwacik i jeśli nawet sam sobie przyznał nagrodę, to przecież tylko dlatego, że ona mu się należała i jego esej był lepszy od innych. A jak ktoś chce mu podskoczyć, to jego sprawa, najwyżej on zjedzie jego najbliższą książkę lub odegra się w inny sposób.

Niestety, ostatnio musiał z niechęcią przyznać, że jego pozycja nie była już tak mocna jak kiedyś. Na horyzoncie pojawił się groźny wróg nazywany blogerem książkowym. Zwalczał go z całych sił, choć nie mógł pojąć, jak ktoś bez odpowiedniego przygotowania krytycznoliterackiego i zaplecza w postaci licznych znajomości i układów może być w jakikolwiek sposób opiniotwórczy. Bolał go ten upadek obyczajów niezmiernie. Do tego stopnia, że gdy osoba, której nie znał, wyrażała przy nim jakąś opinię o książce odbiegającą od oficjalnych recenzji, natychmiast posądzał ją o bycie książkowym blogerem.

I kiedy na imieninach u jakiegoś nudnego staruszka, na których bywał głównie dlatego, że jego żona piekła niezwykle pyszne ciasta, zobaczył pewną kobietę koło sześćdziesiątki uśmiechającą się do niego nieśmiało, pomyślał, że to musi być jakaś blogerka. Zaraz pewnie podejdzie do niego i wygłosi głupią opinię o lekturze będącą w kontrze do jego wyważonej recenzji. Szykował się nawet wewnętrznie do tego, że ją ochrzani, co mogło mu przyjść o tyle łatwiej, że wypił już kilka kieliszków wina, a to zawsze dobrze wpływało na jego szczerość.

Ale nie, te blogerki są zwykle młodsze. A twarz tej kobiety coś mu mówi. Szkoda, że nie było pod ręką kogoś, kto mógłby mu przypomnieć, kim ona jest. Cholerna pamięć do twarzy, zawsze miał ją słabą. A co gorsza, ona chyba rzeczywiście do niego idzie...

– Dzień dobry, panie Jerzy – przywitała się pani Felicja Przypadek. – Chciałam podziękować za tę wspaniałą recenzję w „Nowym Życiu”!

– A tak, proszę bardzo – mruknął Horwacik, intensywnie poszukując w pamięci twarzy mogącej pasować do osoby, z którą rozmawiał. O jaką recenzję chodzi, nie bardzo wiedział, gdyż pisał dwie, trzy na tydzień, a przecież równie dobrze ktoś mógł mu dziękować za coś sprzed roku.

– Przyznam szczerze, że nie myślałam, iż tak bardzo spodoba się panu moja książka...

– No... ja też. Trochę mnie nią pani zaskoczyła. – Kto to mógł być?! Chyba jednak ktoś niedawno recenzowany. Kobieta. Na dodatek nie kojarzył jej z wyglądu. To jakaś podpowiedź, choć przecież nie wiedział, jak wygląda co najmniej połowa autorów recenzowanych przez niego książek.

– Kiedyś też pana zaskoczyłam. Ale wtedy in minus. – Pani Przypadek uśmiechnęła się smutno, przypominając sobie, jak Horwacik pastwił się nad jej tomikiem wierszy.

– Przykro mi – powiedział przytomnie krytyk, nie dlatego, żeby było mu naprawdę przykro, ale wiedział, że jeśli kiedyś napisał coś bardzo krytycznego, a teraz coś pozytywnego, znaczyło to, że pisarka owa musiała ostatnio zyskać jakichś potężnych sojuszników i trzeba się mieć na baczności. Na niczyją kochankę raczej nie wyglądała, ale przecież są też inne sposoby pomagające w pozyskaniu wpływów. Może wyszła za kogoś ważnego? A może jej stary mąż dorobił się pieniędzy? Trzeba by to sprawdzić, może się przydać. – Ale sama pani rozumie, muszę się kierować niezależną opinią, gdyż niezależność i niezawisłość opinii w krytyce jest, tak jak w sądach, podstawą...

– Wiem, oczywiście – przyznała pani Felicja, której naiwność dorównywała jej łagodności. – Tym bardziej się cieszę, że w sposób niezależny i niezawisły pochwalił pan mój kryminał...

– Kryminał? – Horwacik drgnął nerwowo. Ostatnio nie czytał żadnego kryminału, ale jeden, owszem, recenzował. Dlatego w jego głowie otworzyła się klapka. – Pani Felicja Przypadek?

– Tak. Nie poznał mnie pan wcześniej?

– Nie. Ale tak dla formalności spytam: pani naprawdę wierzy, że mnie się podobał pani kryminał?

– Tak pan napisał w recenzji.

– Proszę pani... – Krytyk wziął głębszy oddech, czując ulgę, że już nie musi być grzeczny i po prostu może dać upust swemu zwykłemu charakterowi. – Dla pani dobra będzie lepiej, żeby to pani od razu wiedziała. Gdyby nie miała pani tego swojego synalka, to może jakieś wydawnictwo w końcu zdecydowałoby się na tę komedię kryminalną, chociaż ludzie nie lubią tego gatunku, a dystrybutorzy się przed nim bronią. Ale na pewno nie wydałyby tego Polskie Książki. A oni się na to zdecydowali tylko dlatego, że zażądał tego pani synalek.

– Z tego, co wiem, to tylko przyspieszyło ich decyzję.

– Z tego, co ja wiem, to było jedyne i decydujące!

– Ale chyba teraz tego nie żałują, bo wszyscy chwalą moją książkę...

– Robią to wyłącznie dla Zamoyskiego. Ten pani synalek zaszantażował go, że jak nie dostanie pani dobrych recenzji, to nie znajdzie jego zgubionego pomysłu na kryminał. Inaczej nikt by dobrego słowa o *Detektywie w meloniku* nie napisał!

Sułtan Polskiego Kryminału na początku nie wierzył własnym uszom, kiedy dzwoniący do niego Smańko zaproponował miejsce przesłuchania w sprawie o plagiat książki. Dopiero kiedy starszy aspirant powiedział: „Pan podkomisarz tak jak pan lubi biegać”, nie pytał więcej, tylko poinformował, gdzie najbardziej lubi biegać przed południem i dokładnie o której. Nikt go jednak nie uprzedził, że będzie na niego czekało dwóch biegaczy, a nie jeden. Choć gdyby nawet się nie przedstawił, Mocek doskonale wiedział, kim jest ten drugi.

– Czyli to jednak prawda? – zapytał Sułtan, patrząc na detektywa. – Współpracuje pan z nim przy tej sprawie?

– Pan podkomisarz nie ma wyjścia – wyjaśnił Przypadek. – Przełożeni już dawno wyznaczyli go do śledztw prowadzonych przeze mnie. Wprawdzie interwencja pani Carycy spowodowała, że intensywnie szukają kogoś na jego miejsce w tej konkretnej sprawie, ale dopóki nie znajdzie się taki samobójca, dopóty działamy razem.

– Tak oficjalnie?

– Chyba już nie ma co się kryć, skoro i tak zostaliśmy rozszyfrowani.

– Ale oczywiście nie musi pan odpowiadać na nasze pytania – zaznaczył dla porządku Łoś, który od początku uważał pomysł Przypadka na wspólny bieg z Mockiem za wyjątkowo

głupi.

– Ależ skąd, chętnie odpowiem. Nie mam nic do ukrycia. Poza tym myślę, że Terenia – imię Carycy wymówił z wyraźną ironią – nie chciała składać zeznań, bo się właśnie pana Przypadka przestraszyła. Że ją prześwietli, a wtedy wyjdzie na jaw, że ona nie mogła napisać tej książki.

– Czyli myśli pan, że to Jeziorska ukradła panu tę książkę? – zapytał podkomisarz.

– Tego nie powiedziałem.

– No ale na tym spotkaniu autorskim Jeziorskiej...

– Powiedziałem tylko, że to ja napisałem tę książkę. Ale sam nie wiem, która mi ją ukradła.

– Ale ma pan jakieś podejrzenia?

– Trochę tak. Czytałem ich wersje i powiem szczerze, że odnoszę wrażenie, iż wersja Tereni jest jakby bliższa mojej, a wersja Anki z kolei tej wersji Tereni...

– Program do badania plagiatów tego nie wykazał – zauważył sceptycznie Łoś.

– No wiem, ale to są takie niuanse. A może nawet bardziej pewne wrażenie, którego nie mogę udowodnić – przyznał Sułtan. – Ale tak mi się wydaje...

– A gdyby jednak to najpierw Cesarzowa panu ukradła tekst, a potem dopiero Caryca, to dopuszcza pan taką możliwość? – zapytał Przypadek.

– Szczerze mówiąc, tak. Bo wiecie, panowie, w zasadzie to Anka mnie wyrzuciła, ponieważ domyślała się, że ja znów coś kręcę z Terenią... Kiedyś zdarzyła mi się taka chwileczka zapomnienia, gdy Anka wyjechała z synem na parę dni i zostawiła w domu laptopa. – Sułtan powiedział to bez cienia wyrzutów sumienia, a raczej z odcieniem dumy właściciwym posiadaczowi haremu.

– Mieszkali państwo razem?

– Nie. Ale miałem klucze do domu Anki i wpadałem sprawdzić, czy nie zapomniła kranu zakręcić przed wyjazdem albo rybek syna nakarmić. No i tak kiedyś wpadłem z Terenią. Nie da się ukryć, trochę się zapomnieliśmy. – Uśmiechnął się chętnie, a Jacek pomyślał, że w tym momencie Sułtan przypomina mu Błażeja. – I odniosłem wrażenie, że coś grzebała w laptopie Anki, bo jak się po wszystkich zdrzemnąłem, a potem obudziłem, to gdzieś się zapodziała. Ale wtedy pomyślałem, że jest w łazience czy coś.

– Pani Jeziorska twierdzi, że pisała swoją książkę, gdy jeszcze z panem była, i często o niej rozmawialiście.

– Bzdury opowiada. W ogóle nie gadaliśmy o swoim pisaniu, żeby sobie bez sensu nie podkradać pomysłów. Tak wie pan, nie żeby specjalnie, tylko czasem coś człowiek usłyszy i za jakiś czas wydaje mu się, że to jego własny pomysł, więc wkłada do swojej książki. Nie znam pisarzy, którzy obgadują własne pomysły. Przyznam się nawet, że nie czytuję innych kolegów, żeby nie wchodzić przypadkiem w ich buty. Chyba że dostanę w prezencie, to wtedy coś tam przekartkuję. Ale w życiu nikt mi się nie zwierzał szczegółowo ze swoich pomysłów ani ja nikomu.

– Czyli ani pani Anna, ani pani Teresa nie miały pojęcia, nad czym pan pracuje? – upewnił się Łoś.

– Tak.

– To skąd któreś z nich mogło przyjść do głowy, że warto ukraść pańską książkę? – zapytał Przypadek.

– No... – Sułtan na chwilę się zawahał. – Wiedzą, że jestem dobrym pisarzem...

– Same też na pewno uważają się za dobre pisarki. Każda ma w planach kilka książek, więc nie cierpią na brak natchnienia. Po co się narażać na oskarżenia?

– Skąd ja mam to wiedzieć? – Mocek wzruszył ramionami. – Wiem, że to ja napisałem tę książkę i już!

– Ale czemu złożył ją pan w swoim wydawnictwie dopiero trzy miesiące temu, skoro była niemal gotowa prawie przed rokiem?

– Musiałem ją dopracować – odpowiedział lekko już zirytowany Sułtan. – Poza tym chciałem jeszcze napisać inną książkę, którą uważałem za lepszą. I cały czas uważam, że *Podstęp sułtana* to nie jest mistrzostwo świata – przyznał samokrytycznie, ale zaraz dodał: – Chociaż *CesarSKI bief* jest jeszcze gorszy.

– A jak pan się dowiedział, że *CesarSKI bief* to pański *Podstęp sułtana*? – zapytał detektyw. – Nie mógł pan jej czytać przed tym spotkaniem autorskim.

– Ale widziałem opisy i wydały mi się nieco podobne.

– Ja też je czytałem – przyznał Przypadek. – Opisy były bardzo enigmatyczne, czegoś można się było z nich domyślić, ale na pewno nie tego, że to pańska książka...

– Widać jestem bardziej spostrzegawczy od pana, bo się domyśliłem – oświadczył Sułtan.

– Dlatego poszedłem na to spotkanie autorskie, sięgnąłem po jedną z książek, które były tam rozłożone, przekartkowałem ją w kilku miejscach i widziałem, że jest podobne. Fakt, nie miałem pewności, dlatego bym się nie wyrwał od razu z tym, że to moje. Ale jak Terenia się przyznała do autorstwa, to wiedziałem, że nie mogę czekać. Wszyscy zresztą pewnie widzieli, że mam tę książkę w ręku. To wszystko? Bo chciałem już pobiegać.

Cesarzowa z zachwytem patrzyła na fiata 500, który wyglądał dokładnie jak z jej marzeń. Czarnoczerwony z kremową tapicerką. Ideał, do którego dążyła przez lata, zaczynając od starego malucha, przez seicento, a na punto kończąc. Była wierna tej włoskiej marce jak żadnemu mężczyźnie. I wściekała się, że mimo monarchicznego tytułu nie mogła sięgnąć po każdy model, jaki sobie wymarzyła. Niektórym się wydawało, że przy tym rozgłosie i rzekomo sprzedawanych ilościach egzemplarzy stać ją na wszystko. Ale ilości były często sprytnie podbijane dla uzyskania lepszego efektu marketingowego, a ona sama miała najwyżej złotówkę od każdej naprawdę sprzedanej książki. A ponieważ każda z nich, jak wspomniał wcześniej autor ustami starszego aspiranta Smańki, miała blisko tysiąc stron, praca nad nią zajmowała jej ponad rok. Dlatego nie miała szansy wpaść ze swoimi dochodami w drugi próg podatkowy i pozwolić sobie na kupno dowolnego auta.

Na szczęście *CesarSKI bief* wydawał się ogromnym sukcesem. Sprzedawał się lepiej nawet od najnowszych książek Krajewskiego i Bondy! Tego pierwszego nie lubiła głównie za wysokie nakłady. Za to ta druga skradła jej na dodatek tytuł królowej. To znaczy dostała go bezprawnie i za szybko od tego Miłoszewskiego, który nie wiedzieć czemu nie przyznał go Jeziorskiej! Na szczęście marketing w jej wydawnictwie szybko postarał się dla niej o tytuł cesarzowej, czym ubiegł o włos wydawcę Ebis, która musiała się zadowolić tytułem carycy. To był chyba początek ich wzajemnych kłótni o to, który tytuł jest ważniejszy. Cesarzowa czy Caryca?! Złośliwi mówili, że królowa, mając na myśli Bondę. Jeszcze złośliwsi dodawali, że królowa jest tylko jedna i jest nią Joanna Chmielewska, a wszelkie mniej lub bardziej utytułowane współczesne autorki kryminałów mogłyby co najwyżej robić porządki w jej kuchni.

– Podoba się pani to auto? – zapytał jakiś bardzo miły męski głos za plecami Cesarzowej. Odwróciła się i zobaczyła przystojnego blondyna w garniturze, najwyraźniej pracującego w salonie samochodowym, w którym się znajdowała.

– Tak. Mam nadzieję, że już niedługo będzie mnie na nie stać.

– To może omówilibyśmy teraz warunki zakupu?

– Obawiam się, że muszę to odłożyć do czasu wplynięcia pierwszych tantiem za książkę – westchnęła.

– Ach, pani pisze. To ciekawe – powiedział lekko zawiedzionym głosem sprzedawca aut. – Czyli zapewne nie ma pani regularnych dochodów. No tak, to może być problem z kredytem.

– Pracownik salonu widocznie nie należał do tego nielicznego grona osób uważających, że pisarz może dobrze zarabiać. Dlatego w tej chwili raczej rozglądał się już za nowym, bardziej perspektywicznym klientem, niż zwracał uwagę na Cesarzową, co bardzo zdenerwowało władczynię polskiego kryminału.

– Ale jak dostanę tantiemy za *CesarSKI blef*...

– Momencik, to pani napisała tę książkę, którą ktoś ukradł? To znaczy ukradła książkę, którą kto inny napisał? – Sprzedawca usilnie starał się sobie przypomnieć, o co chodziło w informacjach prasowych dotyczących *CesarSKiego blefu*. – Chciałem powiedzieć, że ukradli pani tę książkę, którą ktoś inny ukradł, to znaczy napisał. Nie to miałem na myśli. To znaczy kto inny napisał, pani ukradła, a pani znów ktoś ukradł. A może pani napisała i dwóch innych pisarzy ukradło naraz. Nie, chyba dwóch innych napisało, a pani im ukradła? – W dociekaniach pracownika salonu nie było nuty potępienia, ale zwykła ciekawość, kto kogo próbował okraść. – Tak? – Spojrzał na Jeziorską, mając nadzieję, że trafił właśnie w treść medialnych przekazów.

– Nie. To ja napisałam książkę, którą ktoś usiłuje przedstawić jako swoją.

– Aha. Może i tak.

– Jak to może?!

– Ja tam się nie znam, nie czytam. Ale to nawet ciekawe, kto z was napisał tę książkę...

– Ja!

– Skoro tak pani mówi. Moja dziewczyna powiedziała, że nawet przeczyta, chociaż kryminałów nie lubi.

– To nie jest kryminał. To ważna książka o historii sięgającej we współczesność i odniesieniach do teraźniejszych podziałów społecznych mających korzenie w klasowym niezrozumieniu emancypacji szlachty północnomazowieckiej.

– Znaczy to historyczna książka – ocenił rozczarowany sprzedawca aut. – Kryminały sprzedają się podobno lepiej. Na pewno łatwiej by pani było kupić nasz samochód na kredyt.

– Gdy tylko dostanę tantiemy, to kupię go sobie za gotówkę.

– Oczywiście, naturalnie, życzę tego pani. – Sprzedawca wrócił do swojej roli unizonego doradcy, jednak w jego słowach trudno było poczuć wiarę, co bardzo ubodło Cesarzową. – To kiedy możemy się pani spodziewać?

– Pierwsze tantiemy powinny być w styczniu.

– Jest maj. Płacą wam raz na rok? – Zawód pisarza w oczach pracownika salonu aut spał jeszcze niżej niż przedtem.

– Na pół roku. Ale w lipcu dostanę resztówki za poprzednie książki. Czasem też zaliczkę. – Cesarzowa czuła, że traci resztki majestatu, musząc się tłumaczyć pracownikowi salonu ze swoich dochodów. – Teraz jednak chętnie bym się przejechała. – Pisarka niemal poprosiła.

– W tej chwili to niemożliwe, mamy trochę za duży ruch. Proszę się umówić, ale obawiam się, że najbliższy termin mam za dwa tygodnie.

– A może zainteresuje pana, że mógłby nas sfotografować paparazzi ze znanego portalu plotkarskiego? Ostatnio cały czas za mną chodzi – rzuciła od niechcienia, udając znużenie nagłą popularnością.

– A gdzie on jest? – zainteresował się sprzedawca aut.

- Zwykle stoi przy moim samochodzie. - Pokazała dłonią w kierunku parkingu przed salonem samochodowym.

Niestety, jak na złość koło jej fiata punto nie kręcił się akurat paparazzi, który niemal nie odstępował jej od wybuchu afery. Była nawet pewna, że robił jej zdjęcie, gdy oglądała nowy samochód. Zamiast niego koło jej auta stał jakiś bezdomny o fioletowej twarzy w brudnoszarej kurtce.

Detektyw i podkomisarz wpatrywali się w ekran komputera starszego aspiranta siedzącego przed nimi. Obraz nie był wyraźny, ktoś cały czas przechodził przed obiektywem kamery skierowanej na stos świeżo przywiezionych z drukarni egzemplarzy *Cesarskiego blefu*. Ale to, co widzieli, nie pozostawiało cienia wątpliwości. Pierwszym, który wziął do ręki książkę, był Paweł Mocek. I zrobił to tuż przed podejściem do podestu, chwilę przed tym, zanim przyznał się do autorstwa kryminału.

- Czyli pan Sułtan kłamał - stwierdził kwaśno podkomisarz Łoś. - Nic wcześniej nie przekartkował i nie miał prawa znać treści książki. No chyba że ją ukradł autorce, kimkolwiek ona jest. Bezczelny kłamca!

- Jak mówi mój ulubiony lekarz, doktor House, wszyscy kłamią.

- To prawda - zgodził się podkomisarz. - Ale w tym wypadku jedni muszą kłamać więcej, a inni mniej, bo przecież w końcu ktoś z nich musiał tę książkę napisać.

- No właśnie, jeśli mogę - wtrącił się Smańko, a Jacek spojrzał na niego z zainteresowaniem. Starszy aspirant w trakcie ich rozmów zwykle tylko się przysłuchiwał, czekając na końcowe konkluzje i wynikające z nich polecenia do wykonania. Dlatego Łoś zerknął na podwładnego ze zdziwieniem i z tego powodu kiwnął przyzwalająco głową. - Pomyślałem w sumie, że może tę książkę napisał kto inny. I wysłał im do oceny, a każde z nich trochę tylko zmieniło i postanowiło wydać jako swoją. Tak jak przy tym Karasińskim-Wołkowyjskim, co ukradł sztukę Fredrze. - Starszy aspirant przypominał jedną z pierwszych spraw rozwiązywanych „wspólnie” przez podkomisarza i detektywa. - To by tłumaczyło te zmiany, że jedna od drugiej różni się trochę...

- To ma sens, sam się nad takim rozwiązaniem zastanawiałem - przytaknął Przepadek, a podkomisarz Łoś lekko się skrzywił i wydawało się, że zaraz powie, iż on też tak przypuszczał. Uznał chyba jednak, że skoro detektyw już wcześniej brał taką ewentualność pod uwagę, ale się z nimi tą myślą nie podzielił, to musi ona mieć jakiś feler. - Ale sądzę, że mimo wszystko baliby się to zrobić. Karasiński-Wołkowyjski miał pewność, że jest jedyną osobą, która dostała sztukę od Fredry, bo ten mu o tym powiedział. A ci mogli przypuszczać, że jeśli książka trafiła do nich, to mogła również trafić do innych, być rozesłana po wydawnictwach. Za duże ryzyko... - Jacek urwał, bo coś mu przyszło do głowy.

- No to oczywiście. - Łoś spojrzał z niekłamanej satysfakcją na Smańkę. - Też mi się tak od razu wydawało.

- Niemniej jednak gdy pan starszy aspirant wspominał teraz o tej wersji, przyszedł mi do głowy pewien pomysł...

- Jaki?

- Nie mam pewności, dlatego muszę pomówić z Carycą.

- Nie będzie chciała z panem rozmawiać.

- Spokojnie, moi ludzie ją rozpracowują.

- Tylko niech się pan pospieszy, bo chodzą słuchy, że znalazł się już chętny, by mnie zastąpić w roli pańskiego nadzorca przy tej sprawie. - Łoś się skrzywił.

- Kto to taki?

- Nie wiem. Na razie to tylko plotki. Ale intensywne, prawda, Smańko?

- Tak – potwierdził starszy aspirant. – Wszyscy zachodzą w głowę, kto to może być.
- A mówią, czy to na stałe, czy tylko do tej jednej sprawy? – dopytywał się detektyw.
- Podobno na stałe.

- Zatem to chyba raczej plotki – uznał Przypadek. – Ktoś mógłby chcieć zapunktować przy jednej sprawie, ale na stałe to musiałby być samobójca. Albo moja siostra. – Jacek ruszył w stronę drzwi. – Jeszcze raz dziękuję, panie starszy aspirancie.

Przypadek wyszedł, nie zwracając uwagi na skrzywioną minę podkomisarza Łosia.

- Myśli pan, szefie, że mu pomogłem? – zapytał wyraźnie zadowolony starszy aspirant i niemal od razu tego pożałował.

- Nie wydaje mi się, Smańko – powiedziała kwaśno podkomisarz.

- No ale... przecież powiedział...

- Słuchajcie no, Smańko, a może to wy jesteście tym nowym człowiekiem, który ma nadzorować śledztwa Przypadka? – Podkomisarz spojrzął podejrzliwie na podwładnego.

- Ależ skąd, panie podkomisarzu! – Starszy aspirant był przerażony podejrzeniami przełożonego i dlatego postanowił podkreślić podległość służbową. – Przecież ja jestem za niski stopniem.

- W zasadzie od dawna należał się wam awans. Zresztą tak jak mnie. Pewnie obaj dawno byśmy go dostali, gdybyśmy nie musieli się zajmować sprawami Przypadka. I może wy postanowiliście go sobie wyszarpać, deklarując chęć zastąpienia mnie, co? – Spojrzął groźnie na Smańkę. – Pewnie obiecaliście, że będziecie lepiej go kontrolować niż ja, co? To wam się tylko tak zdaje, nie dacie rady!

- Zapewniam pana, panie podkomisarzu, że nawet by mi to do głowy nie przyszło! Ja też go lubię...

- A kto wam powiedział, że ja go lubię, co? Ja tylko nadzoruję jego śledztwa!

- Oczywiście, panie podkomisarzu. I daję słowo honoru, że w życiu bym się na to samodzielnie nie odważył.

Zapewnienie starszego aspiranta było na tyle szczere, że podkomisarz spojrzął na niego łaskawszym wzrokiem.

- Mam nadzieję, Smańko, mam nadzieję. A tą jego pochwałą się nie przejmujcie. Pewnie chciał być grzeczny. I pamiętajcie, że to ja zostałem oddelegowany do nadzorowania jego śledztw i wszelkie teorie powinniście konsultować najpierw ze mną.

Koziołek, bezdomny zbieracz złomu, który zawdzięczał swój pseudonim zarówno charakterystycznej bródce, jak i niezbyt lotnemu umysłowi, oblizał spieczoną wargi. Wstał z ławki i wychylił się zza rogu bloku, w którym mieszkała Teresa M. Ebis, żeby sprawdzić godzinę na wielkim ekranie wyświetlającym reklamy, ale co kilka minut pokazującym też czas. Trzynasta zero zero. Najwyższa pora zaspokoić pragnienie. Ale przecież nie powinien schodzić z posterunku, zwłaszcza że wiedział, iż obiekt obserwacji może niedługo wyjść z domu. A tu słońce prażyło niemożliwie...

- Cześć, Koziołek, pani Caryca w domu? – Bezdomny usłyszał za sobą głos detektywa. Odwrócił się i zobaczył Przypadek w stroju do biegania.

- Tak jest, mistrzuniu. Ale za niedługo powinna wychodzić na te dziwne wygibasy.

- Wiem, o wpół do drugiej ma jogę.

- Mistrzunio przejmuję ode mnie obserwację? – zapytał z nadzieją Koziołek.

- Tak. Pewnie cię suszy? – Bezdomny tylko przewrócił oczami. – Widzisz tego z aparatem? Od niego na pewno wydebisz piąta. Tylko pamiętaj, nie odpuszczaj mu. Jestem pewien, że ci w końcu da, chociaż będzie próbował ściemniać, że nie ma.

Koziołek posłusznie pokiwał głową i poszedł w kierunku mężczyzny z aparatem fotograficznym. Zatrzymał się przy paparazzim, który z nudów majstrował akurat coś przy swoim narzędziu pracy, i nie zastanawiając się wiele, powiedział:

– Mistrzuniu, piąteczek do winka potrzebny.

– Nie mam – mruknął paparazzi Ołowski.

– Taki drogi sprzęt w rękach i piąteczka nie ma?

– Spadaj! – Fotograf uznał, że nie ma sensu wdawać się z bezdomnym w dalszą dyskusję na temat zasobności swojego portfela.

– Sorry, mistrzuniu, ale ja jestem u siebie. – Bezdomny przysiadł się na ławkę do paparazziego. – A spaść to mogę za piąteczka.

– Powiedziałem, nie mam. – Ołowski podniósł się i odszedł, ale Koziołek, zgodnie z poleceniem swojego zleceniodawcy, nie odpuszczał. Ruszył za paparazzim i już wkrótce obaj zniknęli za rogiem.

Po chwili z bloku wyszła Caryca ubrana na sportowo. Rozejrzała się z uśmiechem, czekając być może na błysk flesza czy choćby odrobinę zainteresowania ze strony fotografa. Srodze się jednak zawiodła, bo nikogo takiego nie było w zasięgu wzroku. Za to stanął przed nią uśmiechnięty detektyw i oznajmił z kpiną w głosie:

– Proszę się nie obawiać o swoją prywatność, pan paparazzi musiał gdzieś pójść, zatem nic pani nie grozi.

– No tak. Krótkie spodenki, bezczelna mina, z której wyziera pewność siebie. To musi być pan Przypadek.

– Do usług, pani Caryco. – Ebis bardzo lubiła, gdy ją tytułowano w ten sposób, więc czasem wybaczała mówiącemu pewną ironię. Ale tej dawki sarkazmu nie mogła znieść.

– Nie zamawiałam żadnych usług i jeśli pan myśli, że skłoni mnie do rozmowy ze sobą, to grubo się pan myli.

– Nawet jeśli powiem, że moim zdaniem to pani jest autorką tej książki i potrzebuję tylko kilku informacji, żeby to potwierdzić?

– Ja to wiem i nie muszę tego potwierdzać. – Ruszyła w stronę niezbyt odległego klubu, w którym regularnie uprawiała jogę.

– Doprawdy? To jak ma pani zamiar udowodnić, że to pani jest autorką? Bo chyba pani tego chce. No chyba że nie...

– Oczywiście, że tego chcę! Ale nie myśli pan, że wszystko panu zdradzę. Pan pracuje dla konkurencji. Zachowam to na proces...

– To jeszcze bardzo dużo czasu. A zanim się skończy, jeszcze więcej. Nie lepiej od razu udowodnić wszystko i czerpać zyski z *Cesarskiego blefu*, a raczej z *Zagrywki carycy*? Jest na drugim miejscu empikowej topki, zaraz za książką mojej mamy...

Ta uwaga Przypadka bardzo zdenerwowała Carycę. Zatrzymała się i wymierzyła palec w Jacka, jakby ze złości chciała go przygwoździć do ściany.

– Wkrótce ją przegoni! W ogóle nie wiem, jak jakaś komedyjka kryminalna mogła ją wyprzedzić. Ja rozumiem, jakaś Bonda, a nawet Krajewski, ale coś takiego?! Przecież tam nie ma niczego poza zagadką...

– O to przecież głównie chodzi w kryminale. Czyż nie?

– To bardzo staroświecki pogląd.

– Bo to staroświecki kryminał. Okazało się, że wystarczą dobre recenzje odpowiednich krytyków, duży nakład i świetna dystrybucja, by pokonać nawet taki nowoczesny kryminał, jak *Cesarshi blef*, w którym zagadki nie uświadczysz, roi się od różnych niedokończonych wątków i pojawia się kilkadziesiąt postaci wprowadzonych, nie wiadomo po co...

– Czytał pan moją książkę? – przerwała mu wyraźnie zainteresowana Caryca.

– Nie musiałem. Wszystkie nowoczesne kryminały się na tym opierają. Jeszcze tylko dolać sporo krwi, dorzucić kilka scen erotycznych i męskiego samobiczowania i jest jak znalazł...

– Skoro pan lubi takie zabawne kryminałki, to niech pan sobie Rudnicką poczyta. Albo tę Kotlarską... – Wyras pogardy, jaki malował się na twarzy Carycy przy wypowiedzianiu tych nazwisk, świadczył o tym, że nie miałyby nawet ochoty, by te osoby zostały jej poddanymi. – Albo Getnera. Nie słyszał pan o nim? Nic dziwnego, nikt o nim nie słyszał. I bardzo dobrze, bo to, co on pisze, nie ma nic wspólnego z prawdziwą literaturą! – Chciała odejść, ale jakby sobie przypomniała, że miała jeszcze coś powiedzieć. – A o tym, że mi Anka ukradła książkę, dowiedziałam się od znajomego, który pracuje w Polskich Książkach. Skojarzył, że mu opowiadałam podobną treść, i podesłał mi do lektury fragment, akurat taki słowo w słowo przepisany. I niech mnie pan nie pyta, kto to, bo i tak panu tego nie zdradzę!

– Ja nawet nie zapytałem, jak się pani dowiedziała, że to pani książka.

– Aha... – zdziwiła się Caryca. – To... wydawało mi się.

– Nie sądzę. – Przypadek się uśmiechnął. – I dziękuję za odpowiedź, wiele mi ona wyjaśnia.

Jacek ruszył biegiem w stronę swojego domu odprowadzany wściekłym spojrzeniem kobiety. Caryca po chwili sięgnęła do torby po komórkę i błyskawicznie wybrała numer.

– No cześć – przywitała się i od razu dodała grobowym głosem: – Czuję, że mogą być kłopoty przez tego detektywa...

Dom Sułtana Polskiego Kryminału zapewne rozczarowałby większość miłośników jego talentu. Nie było w nim właściwie żadnych orientalnych elementów, poza jednym pokojem urządzonym nieco na pokaz, w którym zwykł udzielać wywiadów. Był tam nawet egzemplarz Koranu, choć sam Mocek nie miał nic wspólnego z islamem i znał jego zasady bardzo powierzchownie.

Zresztą nawet sam wygląd Sułtana nie bardzo kojarzył się z arabskimi klimatami. Jego broda na co dzień była raczej skromnych rozmiarów, ale gdy zbliżała się promocja książki, właściciel pozwalał jej urosnąć o kilka dodatkowych centymetrów. Tak naprawdę jedynie wtedy upodabniał się do sułtana. Nawet biegi uliczne, w których czasem startował, odbywał wówczas w arabskim stroju. Był to zresztą z jego strony nie tylko element marketingu, lecz także prowokacji, gdyż widział, jak wielu jego rodaków krzywiło się na jego wygląd. Mógł sobie z tego kpić, bo w gazetach ukazywała się kolejna pozytywna notka o tym, jak odważnie przełamuje swoim zachowaniem kulturowe tabu. Po biegu chował jednak strój do plecaka i wracał do domu, wyglądając jak przeciętny Europejczyk.

W domu tym z rzadka gościły kobiety, gdyż Sułtan starał się do nich nie przywiązywać. Choć bardzo lubił, gdy one były do niego przywiązane i jemu posłuszne. Gdy tylko wykazywały zbyt dużo nowoczesnych poglądów, zniknęły błyskawicznie, a Mockowi zdarzało się nawet mówić, że Koran nie pozwala mu słuchać kobiety, więc panie muszą uszanować jego wiarę i odejść.

Niektóre wzruszały ramionami, wiedząc, że to tylko rodzaj specyficznego żartu niż serio wyrażona prośba. Ale były też takie, które w to wierzyły, a nawet mówiły użenienie, że gotowe są pogodzić się z rolą „jednej z wielu” i zająć miejsce w jego haremie. Tego było jednak dla Mocka już za dużo i stanowczo takie panie wypraszał, gdyż wbrew pozorom cenił w kobietach inteligencję i szanowanie samych siebie. Żegnał je zwykle ozięble i z domieszką ironii. Był bowiem mizoginicznym mrukiem o wyjątkowo szyderczym rodzaju humoru.

Koran nie zabraniał jednak Sułtanowi Polskiego Kryminału bezwzględnie słuchać się kotów, których był oddanym sługą. W tej chwili w jego domu rządziły niepodzielnie trzy kocie futra: czarna jak dobra kawa Mokka, nieustraszony buras Arya oraz cynamonowa Sophie, zwana czule Sofinką. Właśnie ta ostatnia strąciła przed sekundą z biurka egzemplarz *Cesarskiego blefu*.

– Sofinko, uważaj – zbeształ ją łagodnie Mocek, a następnie chwycił i pogłaskał, żeby kotka nie miała wątpliwości, jak bardzo on ją kocha. – Ta książka może nam przynieść majątek. Już zresztą nam go powoli przynosi.

Cynamonowy kot, niezadowolony z tego, że jego własność śmie mu udzielać choćby najłagodniejszej nagany, bezceremonialnie wyrwał się Sułtanowi i pobiegł do drugiego pokoju. Mocek schylił się na podłogę i podniósł egzemplarz *Cesarskiego blefu*. Przez chwilę wyglądało, jakby miał zamiar czytać, potem jednak położył książkę na blacie. Sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niego wydruk *Podstępu sułtana*.

Otworzył go na chybił trafił na jednej ze stron i uśmiechnął się z zadowoleniem. Uwielbiał bowiem czytać swoje słowa. Chłonał je jak najlepszą muzykę. Dlatego z rozkoszą przerzucił kilka kartek, aż doszedł do kolejnego rozdziału.

Odłożył wydruk do biurka i otworzył laptop. Czas było tworzyć następną książkę. Ta ostatnia, która ukazała się zaledwie dwa tygodnie przed *Cesarskim blefem*, sprzedawała się znakomicie, choć nie tak dobrze jak kryminał podpisany przez Jezierską. Ale w Polsce pisarz, który chce choćby myśleć o utrzymaniu się z pisania, musi pisać co najmniej jedną książkę rocznie. Jak dobrze, że może powoli odchodzić od tych kryminalnych klimatów. Wprawdzie on w odróżnieniu od swoich kolegów piszących kryminały nie miał ambicji tworzenia wysokiej literatury, ale chciał się sprawdzić w mrocznych dreszczowcach ociekających erotyką. To znaczy dreszczu nie musiało być tam dużo, grunt, żeby seksu było sporo. Już dawno miał na to ochotę, ale jeszcze dziesięć lat temu wydawcy mówili, że rynek nie jest na to gotowy. Teraz wydawał się wystarczająco dojrzwały i można już było zacząć pisać gotowe scenariusze przyszłych filmów dla dorosłych.

Zadzwoił telefon, który Sułtan zapomniał wyciszyć przed pracą, co zwykł robić. Mocek niechętnie spojrzął na jego ekran i, po chwili zastanowienia, odebrał.

– No cześć, kotku! – Tak mówił zawsze do każdej, byłej, obecnej, a nawet przyszłej spodziewanej kobiety, którą chciał do siebie choć trochę przywiązać. – Oj, nie panikuj... Ja wiem, ten Przypadek to spryciarz, ale bez przesady. I tak nie będzie w stanie udowodnić, że to nie ja napisałem tę książkę. Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Zobaczysz, w styczniu będziemy dzięki niej bogaci...

Są takie dni w życiu każdego człowieka, kiedy nie dzieje się absolutnie nic. Ba, są nawet tygodnie i miesiące, które mijają tak, iż każdy się zastanawia później, kiedy zdarzyło się coś kompletnie nieistotnego, otoczonego innymi równie nieważnymi wydarzeniami. I trudno to umiejscowić na osi czasu, bo wszystkie dni przedtem i potem były tak bardzo podobne do siebie. Niekiedy z pomocą przychodzi jakieś nagłe zjawisko pogodowe, oberwanie chmury, niespotykana zamieć śnieżna. I to ono pomaga odróżnić jeden zwykły dzień od drugiego.

Czasem jednak któregoś dnia zbiegają się tak różne i niezwykle wydarzenia, że trudno stwierdzić o takim dniu, że to ten, w którym wydarzyło się coś. Bo dzieje się tak wiele, choć są to rzeczy o zupełnie innej wadze. Wprawdzie wzajem na siebie nie oddziałują, ale zmieniają bieg naszego życia. Niekiedy dzieje się to nawet w ciągu jednej chwili.

Jacek, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon z Cesarzową Polskiego Kryminału, już wychodząc z drzwi, nie miał wątpliwości, że zaczyna się dzień drugiego rodzaju. Ubrał się jak na siebie bardzo zwyczajnie, choć z minimalną nutką elegancji. Za chwilę miał wystąpić we własnym kanale internetowym, a zaimprovizowane studio telewizyjne znajdowało się na szczęście tylko kilka przecznic dalej. Nie zdążył jednak zamknąć drzwi, gdy zobaczył na schodach swoją mamę. Pani Felicja dysponowała jeszcze kluczem do wejścia na klatkę schodową kamienicy przy Koneckiej 40, bo nikt tam od piętnastu lat nie wymienił zamka.

– Nigdzie nie idziesz – powiedziała stanowczo na widok syna.

– Mamo, jestem umówiony z operatorem. I podkomisarzem Łosiem.

– Absolutnie mnie to nie interesuje. Najpierw musisz mi wytłumaczyć, jak sprawiłeś, że mam te wszystkie świetne recenzje!

– Masz do mnie pretensje, że wreszcie o jakiejś książce napisali uczciwe recenzje?

– One nie były uczciwe, skoro napisali je podobno pod przymusem.

– Mamo, przesadzasz, twoja książka na to zasługiwała. Dzięki temu jest na pierwszym miejscu sprzedaży w Empiku i pewnie wkrótce się sprzeda sto tysięcy egzemplarzy. I to jest najważniejsze.

– Nie, nie to jest najważniejsze. Wolałabym, żeby sprzedał się tysiąc, ale żeby nikt mnie nie oskarżał, że doszłam do tego nieuczciwie. A ponieważ nie zaprzeczasz, rozumiem, iż rzeczywiście zmusiłeś ich do tego jakimś obrzydliwym szantażem! Bardzo mnie rozczarowałeś, synku!

– Mamo, to nie był właściwie szantaż...

– Nieważne, w jaki sposób ci się to wszystko udało, ale wiem, że ten sposób na pewno by mi się nie spodobał. Pamiętaj, nikogo nie wolno uszczęśliwiać na siłę.

– Nie przeszkadzam? – Usłyszeli głos pani Irminy. Rozmawiając, nie zauważyli, jak otwierają się drzwi jej mieszkania.

– Nie, pani Irmino. Ja już skończyłam z synem i chyba chwilowo nie mam o czym z nim rozmawiać.

– Ale mamo...

Pani Felicja nie słuchała Jacka, tylko w pośpiechu schodziła do wyjścia z kamienicy. Detektyw wiedział, że teraz jej do niczego nie przekona, i rozumiał, że do czasu następnej ich rozmowy musi minąć trochę czasu. Gorzej, że w tej chwili czekała go jeszcze jedna rozmowa.

– Czym ja sobie na to zasłużyłam, bezwarunkowo? – zapytała nieco melodramatycznie pani Irmina.

– To nie jest tak, jak pani myśli...

– Nie? Zastąpiłeś mnie jakimisź bezdomnymi, Antoni mi o tym dzisiaj powiedział. Nie mam nic przeciwko nim, nawet im współczuję, ale dlaczego wyłączyłeś mnie ze swoich śledztw?! Przecież zawsze pomagałam ci jak, mogłam, a ty tak... – W oczach pani Irminy pojawiły się łzy, a Jacek pomyślał, że choć ludzie są banalnie przewidywalni, to bardziej w tym, co robią, a nie w tym, co czują.

– Pani Irmino, proszę mi wybaczyć, ale chciałem, żeby pani pojechała w podróż dookoła świata.

– Słucham?! – zawołała pani Irmina, a za nią odezwał się dźwięk tłuczonej szklanki. Odrzuciła się. – Antoni, co ty tam wyprawiasz?!

– Pan Antoni się przestraszył, bo właśnie zdradziłem jego tajemnicę. – W drzwiach pokazał się Gelberg ze spodeczkiem, ale już bez szklanki, która razem z zawartością wylądowała na podłodze. – Proszę mi wybaczyć, ale dłużej już nie mogłem zwlekać...

– Ale... skąd pan wiedział? – zapytał zdziwiony były antykwariusz.

– Jeszcze pół roku temu odwiedzał pan panią Irminę głównie wieczorami i w weekendy. Teraz często pan bywa w środku dnia w dni powszednie. Czyli raczej zamknął pan swój biznes, gdyż jest on zbyt specyficzny, by móc go na stałe powierzyć komukolwiek. Wygląda pan świetnie, ciągle jest pan bardzo energiczny, czyli choroba odpada. A z drugiej strony zawsze bardzo pan kochał bycie antykwariuszem. Czyli do likwidacji antykwariatu zmusiły pana jakieś inne plany na przyszłość. Pomyślałem, że te plany muszą wiązać się z panią Irminą, gdyż od pewnego czasu świata pan poza nią nie widzi. Jeśli przy okazji wymagały zamknięcia antykwariatu, to znaczy, że chodziło o wyjazd i to raczej na długo, bo na miesiąc czy dwa znalazłby pan zastępstwo albo zamknął tuż przed wyjazdem na ten czas. Ale to miało trwać dużo dłużej, może nawet rok. Pomyślałem więc o podróży dookoła świata.

– Czy to prawda?! – Pani Irmina wyciągnęła oskarżycielsko palec w kierunku pana Antoniego.

– Tak... W zasadzie wszystko mam zaplanowane, w lipcu statek odbija z Gdyni.

– To życzę miłej podróży, bo mnie nikt na nią nie zapraszał!

– Pan Antoni się bał, że pani odmówi, sądząc, że jest mi potrzebna na miejscu. Dlatego ja z kolei chciałem udowodnić, że sobie poradzę w śledztwach bez pani pomocy, i stąd to wszystko. – Jacek mówił coraz głośniejszym głosem, bo w lokalu numer trzynastym trwała coraz głośniejsza kłótnia. Nikt z obecnych nie zwracał jednak na to uwagi, ponieważ odbywała się o dozwolonej porze. – Spodziewałem się, że trochę się na mnie pani pogniewa, ale...

– Ale pewnie się nie spodziewałeś, że się śmiertelnie obrażę?! Niestety, muszę się zgodzić z twoją matką, nie wolno ludzi uszczęśliwiać na siłę. Cieszę się, że będziesz sobie mógł radzić beze mnie, bo teraz już będziesz musiał to robić. A w żadną podróż dookoła świata nie mam zamiaru się wybierać. – Wracając do mieszkania, pani Irmina odebrała Gelbergowi spodeczek i zamknęła mu drzwi przed nosem. Po chwili otworzyła je ponownie, ale tylko po to, żeby podać mu parasol.

– Dlaczego ja? – zapytał zrozpaczony mężczyzna.

– Jesteś tak samo winien – oświadczyła pani Irmina, nie bawiąc się w uzasadnianie, tylko trzaskając drzwiami.

– Bardzo panu dziękuję. – Antykwariusz najchętniej zdzieliłby detektywa parasolem, ale uznał, że być może nie będzie musiał tego robić osobiście, bo drzwi pod numerem trzynastym otworzyły się i wypadli z niego Roman i Gabrysia, obaj z widocznymi śladami bójkę na twarzy. Ich wzajemna kłótnia była już chyba przeszłością, gdyż razem spojrzeli na Przypadka.

– A, jest pan detektyw! – wykrzyknął Roman, a Gabrysia mu zawtórowała:

– Detektyw?! Chyba morderca szczęśliwych związków! Tak, panie Przypadek, dobrze pan słysza! Morderca!!! Dopóki się pan nie wtrącił w nasze życie, byliśmy tacy szczęśliwi! Mogliśmy się kłócić dzień i noc. A pan to wszystko popsuł swoją podłą propozycją.

– Ale od dzisiaj koniec, słyszy pan?! – oświadczył Roman.

– Od dzisiaj będziemy się kłócić, ile będziemy chcieli! Dzień i noc! I znów będziemy żyli w szczęśliwym związku!

I to był właśnie dzień, w którym po raz pierwszy w życiu pogniewała się na Jacka matka, obraziła się jego ulubiona sąsiadka, a sąsiedzi zapowiedzieli piekło na ziemi. Od tej chwili, gdy Przypadek miał jakoś nazwać ten dzień, mówił po prostu: „To najgorszy dzień w moim życiu”.

Choć do tej pory wydawało mu się, że tym najgorszym był ten, w którym dowiedział się o zaginięciu Basi.

Jeziorska, mimo że zakończyła rozmowę dobrych kilka minut temu, wciąż z przerażeniem wpatrywała się w ekran telefonu. Nie, to nie może być prawda. Przecież tak dobrze wszystko wymyśliła. Zaplanowała. A teraz ktoś może to popsuć. To straszne. Nie, to okropne. Przecież jak się wyda, że *Cesarskiego blefu* nie napisała ona...

Zrobiło jej się gorąco. A potem chłodno. A później znów gorąco. Następnie sama nie wiedziała, czy jest jej ciepło, czy zimno. Na pewno było jej słabo. Ale nie, nie może się poddawać, musi coś z tym zrobić! Zadzwoni do... Nie, to bez sensu, najlepsza jest osobista rozmowa.

Ubrała się i wyszła, ale zaraz wróciła. Pewnie w trakcie ubierania zrobiło jej się chłodno i dlatego chwyciła z wieszaka ciepłą kurtkę, która nie wiadomo dlaczego nie wylądowała już jakiś czas temu w szafie. Zdjęła ją i dopiero zobaczyła w lustrze, że jest nieumalowana. Ona! Tak zawsze dbająca o makijaż i swój perfekcyjny wizerunek Cesarzowej Polskiego Kryminału.

Zdenerwowana próbowała się umalować, ale szminka tylko się rozmywała, tusz do rzęs lądował na brwiach, a słoiczek z podkładem wypadł jej z rąk. Dlatego postanowiła zmyć z siebie błyskawicznie resztki nieudanego makijażu i wyjść jednak w ogóle bez niego.

„Może to i lepiej? – pomyślała. – Nikt mnie nie pozna po drodze, żaden paparuch nie zrobi mi zdjęć!”

Dla pewności wyjęła z szafy jakiś dawno nieużywany dres i wybiegła. Okazało się, że miała nosa, bo fotograf czyhający ostatnio na nią i sąsiada z góry, który był obecnie gwiazdorem jakiegoś piosenkarskiego zespołu, nie zwrócił na nią uwagi. Chciała wziąć taksówkę, która stała na niedalekim postoju, lecz uświadomiła sobie, że w tym dresie nie ma z pewnością ani grosza. Postanowiła pobiec, co w sumie zajęło jej nie więcej niż kwadrans. Nie była jednak przyzwyczajona do takiego wysiłku, więc dobiegła, ledwo dysząc. Tu z kolei czekał się paparuch Ołowski, czatujący na Carycę. On również kompletnie jej nie poznał. Gorzej, że musiała zadzwonić domofonem do mieszkania Teresy M. Ebis, bo inaczej nie dałaby rady wejść do bloku. A to już przedstawiciel prasy kolorowej i plotkarskich portali mógł zauważyć. Zasłoniła więc jak mogła panel domofonu i nacisnęła numer Carycy.

– Słucham? – odezwał się po chwili burkliwy głos gospodyni.

– To ja... – szepnęła maksymalnie dyskretnie Cesarzowa i zerknęła w stronę Ołowskiego.

– Słucham?! Nie słyszę!

– To ja – powiedziała już znacznie głośniej Jeziorska, pewna, że zostanie rozpoznana przez Carycę, ale odpowiedź ją rozczarowała.

– Jaka ja?! Kim pani jest?!

– Cesarzową – wyszeptła teatralnie Jeziorska do domofonu.

– Ja nie znam żadnej cesarzowej! I proszę sobie darować te głupie prowokacje i wbić sobie do głowy, że to ja napisałam tę książkę!

– Przypadek zna prawdę – powiedziała głośno Cesarzowa i teraz już fotograf nieco zbystrzał, a nawet nastawił aparat, gdyż wyczuł temat. – Wpuść mnie, do jasnej cholery, bo mnie zaraz Ołowski pstryknie!

Stanowczy ton oraz znajomość nazwiska paparaziego, czatującego na dole, przekonał Carycę do naciśnięcia brzęczka domofonu. Jeziorska skorzystała z tego skwapliwie i weszła do apartamentowca, a potem przesadzając po kilka schodów naraz, popędziła na drugie piętro do mieszkania pisarki. Caryca czekała na nią w otwartych drzwiach.

– Oszalałaś?! – wrzasnęła, gdy tylko zobaczyła Jeziorską.

– Miałśmy się nie kontaktować! Ołowski pewnie się zorientował...

– To nieważne.

– Jak nieważne?! To podstawa naszego planu!

- Przecież mówiłam. Przypadek już wszystko wie. Dzwonił do mnie i powiedział mi o tym. Zaprosił, żeby oglądać go na żywo w telewizji.
- Moment, w której?! Zadzwoń, żeby go nie puszcza!li!
- Nic z tego, on ma swój kanał w Internecie.
- To może nikt nie zauważy.
- Wierzysz w to? W Internecie nic nie ginie, ludzie będą sobie pokazywać jego rozwiązywanie zagadki. Jesteśmy skończone!
- Ale jak on się domyślił?!
- Nie chciał powiedzieć. Mówił, żebyśmy oglądały, to się dowiemy.
- Aaaaa! - wrzasnęła Caryca.

Okrzyku pisarki nie spowodowało przerażenie tym, co odkryje Przypadek, lecz błysk flesza. Ołowski, sobie tylko znanymi metodami, przedostał się do budynku i cyknął fotkę monarchiniom polskiego kryminału, które wciąż dyskutowały na klatce schodowej.

Następnego dnia zdjęcie zrobiło furorę na plotkarskich portalach, stając się tam prawdziwą sensacją, a potem trafiło do kolorowej prasy i było wiele razy komentowane. Ale nie sprzedajmy faktów...

Podkomisarz Łoś nie był przekonany, czy powinien znaleźć się w tym pomieszczeniu. Wprawdzie niewątpliwie część chwały za rozwiązanie kolejnej zagadki Przypadka należała się jemu, ale ze względu na karierę zawodową powinien raczej unikać przyznawania się do tego. Z drugiej jednak strony było to krzyżującą niesprawiedliwością, że poza przełożonymi nikt nie zdawał sobie sprawy z jego wkładu w rozwój kariery detektywa. Dlatego przyjął zaproszenie Jacka do jego ministudia.

Wątpliwości policjanta pogłębiły się jednak, gdy ujrzał smutnego detektywa, który spytany o bardzo poważną jak na niego minę odpowiedział:

- Naraziłem się dwóm najważniejszym osobom.
- Prezydentowi i premierowi?! - Łoś zmartwił ze strachu.
- Mojej mamie i sąsiadce.

Po tym oświadczeniu policjant uspokoił się jedynie trochę, gdyż - jak to mu się często zdarzało - nie wiedział, czy detektyw sobie z niego nie żartuje. Na wszelki wypadek jednak powiedział, że stanie sobie cichutko z drugiej strony kamery, by tylko sprawdzić, czy Przypadek czegoś w tłumaczeniu nie pokręcił. Była to postawa rozsądna, ponieważ detektyw wcześniej nie zdradził podkomisarzowi, jakie jest rozwiązanie zagadki. Chciał mieć w nim jedynie partnera do rozmowy, bo tak mu się lepiej tłumaczyło. Teraz jednak zobojętniał chyba na wszystko, gdyż nie próbował namawiać Łośa do wspólnego występu.

Jackec usiadł na krzeselku za biurkiem, a przed sobą miał ekran komputera, na którym mógł na bieżąco śledzić wyniki oglądalności. Kamerzysta dał znak i zaczęli.

- Dzień dobry, szanowni telewidzointernauci. O, widzę, że jest już was setka. A teraz nawet dwie setki. To właściwie wystarczy, w razie czego opowiecie to innym. Szczególnie że jest już was prawie pięciuset. Czyli popularność mojego kanału rośnie. Ale muszę was zmartwić, dziś nie będzie już żadnej pornografii. O, widzę, że oglądalność odrobinę spadła. Ale zapewne przed ekranami komputerów pozostali już tylko ci, którzy liczą na rozwiązanie sprawy autorstwa *Cesarskiej blefu*.

Jackec sięgnął po egzemplarz książki leżącej obok i pokazał ją do kamery.

- Przyznaję, to nie była łatwa zagadka, bo w końcu wymyślona w pewnym sensie przez specjalistów od wymyślania zagadek. Ale jak to często w kryminale bywa, można po nitce dojść do kłębka. Tak było również tym razem. Wszyscy autorzy znani byli kiedyś z dużej

przyjaźni. Potem wiele ich poróżniło i raczej znana stała się ich niechęć wobec siebie. Ktoś mógłby powiedzieć, że to wzajemna zazdrość o twórczość. Lecz przecież jest dużo więcej pisarzy, którym mogliby zazdrościć i których mogliby nie lubić bardziej niż siebie nawzajem. A jednak ponad nienawiść do Krajewskiego, Bondy czy Miłoszewskiego przedkładali niechęć wobec siebie.

Podkomisarz pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział Jacka tak skupionego i spokojnego. W twarzy detektywa nie było widać chęci jakiegoś efektownego triku, a jej wyrazu nie dałoby się już określić jako ironicznodobrotliwopobłaźliwego. Teraz malował się na niej cynizm, o który Łoś by nie podejrzewał Przypadka.

– Niektórzy myśleli, że to przez to, że zagubili się nieco w trójkącie uczuć. Pan Sułtan dość oficjalnie był związany z Carycą, a potem z Cesarzową, choć w środowisku nie brakowało plotek, że coś łączy bezpośrednio Carycę z Cesarzową. W sumie więc od miłości do nienawiści tylko krok. Za to do wyjaśnienia zagadki autorstwa bardzo daleko.

Jacek urwał na moment, jakby jego myśli błądziły gdzie indziej, ale po chwili znów zaczął mówić:

– Sprawa zaczęła się nieco rozjaśniać, kiedy spotykałem się sam lub pośrednio z potencjalnymi autorami. Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że udowodnienie swojego autorstwa jest dla nich mało istotne. Że nie chcą złapać króliczka, ale raczej gonić go. I że są do tej zabawy dobrze przygotowani, i to coraz lepiej wraz z każdym spotkaniem. Tak jakby nawzajem informowali się o postępach śledztwa.

– To oni byli w spisku?! – odezwał się głos zza kamery. To sprawiło, że Jacek na moment się uśmiechnął i powiedział:

– Zapomniałem państwu przedstawić: podkomisarz Łoś, bez którego pomocy i współpracy rozwiązanie tej sprawy nie byłoby możliwe.

Zdekonspirowany policjant, chcąc nie chcąc, wyszedł przed kamerę i uklonił się widzom. Potem chwycił stojące obok detektywa krzesło i usiadł.

– Odpowiadając na pytanie podkomisarza: tak, byli w spisku. Wymyślili przestępstwo doskonałe. Doskonałe, bo każdemu z nich zależało, żeby prawda nie wyszła na jaw. Gdyby tak się stało, zyskaliby miano oszustów. Ale pozostawiając niedomówienie, każde z nich aż do końca kariery mogło zgrywać niewinną ofiarę okradzioną z dzieła swojego życia. Jako autorzy tak genialnych książek, że warte są kradzieży, zapewniłoby sobie po wsze czasy reklamę i przy każdej następnej publikacji wspomniano by o wciąg nierozwiązanej zagadce. Zyskami z *Cesarzkiego blefu* podzieliliby się pewnie po równo. Dochody, które uzyskaliby z własnych lepiej sprzedających książek, zatrzymaliby dla siebie.

– No ale które z nich napisało tę książkę?

– Zapewne wszyscy. To był rodzaj zabezpieczenia, bo znaczyłoby, że każde z nich w jakimś sensie, przyznając się do wyłącznego autorstwa, ukradło tę książkę, choć jednocześnie było jej autorem. A zatem każdy z owych monarchów polskiego kryminału mógł twierdzić z czystym sumieniem, że to on ją napisał, i być pewien lojalności pozostałych.

– Więc to wszystko... tylko dla reklamy? – zapytał rozczarowany policjant.

– Tylko, panie podkomisarzu? – Na twarzy Jack pojawił się ironicznodobrotliwopobłaźliwy wyraz. – Reklama jest dziś w książce wszystkim. Może zresztą zawsze była? W każdym razie dziś jest podstawą. Proszę wejść na dowolny portal czytelniczy, gdzie ludzie oceniają książki. Piszą, że po raz kolejny dali się nabrać na kupione recenzje, na rozgłos, który w ten czy inny sposób zapewnił książce kolejni klakierzy. A gdy zastanawiają się nad kupnem następnej książki, sięgają po kolejną głośną, której kupione recenzje przeczytali. Nie wszyscy się nawet do tego przyznają, racjonalizując sobie, że skoro

tak wybitne osoby w tak szacownych gazetach oceniły dobrze książkę, to pewnie jest w niej coś naprawdę dobrego. I swoją niską ocenę pozycji przypisują własnemu brakowi odpowiedniego gustu, głośno nie mówiąc, że przeczytali coś kiepskiego. A gdy ktoś wrzaśnie: „Król jest nagi!”, klakierzy go zakrzykują, że się nie zna i nie potrafi docenić prawdziwej, ambitnej literatury.

Jacek się podniósł i ironicznodobrotliwopobłażliwy wyraz jego twarzy zniknął niemal w jednej chwili.

– Na tym muszę już kończyć. Bardzo się cieszę, że oglądają nas już dwa tysiące. Może jak opowiecie o tym znajomym, ludzie zrozumieją, że powinni polegać na własnym guście i wystrzegać się książek budzących jednomyślny zachwyt oficjalnych recenzentów. Choć mówię to raczej bez wiary. Cesarzowa, Caryca i Sułtan zyskają chwilowy rozgłos, co pewnie przysporzy im czytelników. Stracą wprawdzie swój genialny wehikuł marketingowy, który mógł być przydatny przez wiele lat, ale za jakiś czas wrócą z kolejną genialną książką. I będzie tak jak z głośną aferą dotyczącą fałszowania wyników pomiaru dowodzących globalnego ocieplenia spowodowanego przez człowieka. Szczyt w Kopenhadze poniósł klęskę, na kilka lat walka zamarła. A teraz już tylko wspominają o traumie oszustów, którym źli ludzie wykradli dowody ich oszustwa z komputerów. Przy czym to nie była ich wina, chcieli dobrze, i walczyć trzeba nadal. Najdalej za kilka lat to ja okażę się tym złym człowiekiem, który ujawnił piękny plan dobrych pisarzy, a oni przecież nie mieli innego wyjścia, żeby przebić się przez medialny szum – stwierdził z goryczą i dodał pod nosem bardziej do siebie niż do widzów: – Muszę jeszcze potrenować, bo jutro przede mną pierwszy maraton.

Pan Jędrzej Sakowicz wracał dziś do domu w nastroju wielce ambiwalentnym. Wprawdzie sprawy, w które była obecnie zaangażowana jego kancelaria, szły nadzwyczaj dobrze, ale kolejne sukcesy zawodowe nie przynosiły mu tej radości co dawniej. Czuł, że da radę jeszcze pracować tak intensywnie najwyżej kilka lat, potem będzie musiał ograniczać już swoją aktywność zawodową. Szczere mówiąc, powoli już miał na to ochotę.

Tylko co zrobić z kancelarią? Wnuczek, którego miał się wkrótce dochować, w chwili jego przejścia na emeryturę będzie miał najwyżej pięć lat. Musiałby pracować co najmniej kolejnych dwadzieścia, żeby przekazać mu kancelarię. Tego nie był sobie w stanie wyobrazić, a przecież nie mógł mieć nawet pewności, że tenże wnuczek zechce przejąć schedę właśnie po nim. Zwłaszcza że Sakowiczowie zawsze byli współnikami swoich ojców i dopiero jego Błażej zerwał z tą tradycją.

– Boże drogi, dlaczego on jest taki zupełnie niepodobny do mnie? – westchnął pod nosem pan Jędrzej, zdejmując płaszcz w korytarzu. – Jak on wychowa tego chłopaka? Jeszcze, nie daj Boże, w ogóle nie będzie prawnikiem, tylko nie wiadomo kim. Cała nadzieja w tym, że Sakowiczowie co drugie pokolenie są nad wyraz rozsądni. Gdybym ja wzorował się na ojcu, to kancelaria już by dawno przestała istnieć. Dobrze, że miałem za wzór dziadka.

Pokrzepiony tą myślą wszedł do gabinetu i stanął jak wryty.

– Co ty tu robisz?! – zapytał pan Jędrzej.

– Raczej co ty tu robisz?! – odpowiedział pytaniem nie mniej zdziwiony Błażej.

– Jeśli nie zauważyłeś, to mój gabinet – stwierdził sarkastycznie Sakowicz senior.

– Zauważyłem. Ale miałeś dzisiaj wrócić wyjątkowo późno, dlatego zdecydowałem się odwiedzić mamę z Anią.

– Nie widzę ich.

– Poszły zrobić herbatę i przynieść ciasto z kuchni.

Drzwi do gabinetu się otworzyły i weszła pani Helena Sakowicz z Anią. Na wielkiej tacy nosiły cztery herbaty i ciasto pokrojone na czterech talerzykach. Bez słowa postawiły je na blacie stoliczka. Pani Helena pokazała gestem ręki, że mąż powinien usiąść, to samo zrobiła Ania. Obaj panowie posłuchali bez słowa protestu, patrząc tylko, jak panie zajmują swoje miejsca.

– Skoro już jesteśmy w komplecie, możemy zacząć naszą rozmowę – rozpoczęła z uśmiechem pani Helena. – Otóż postanowiliśmy z Anią, że połączycie swoje kancelarie. – Dziennikarka tylko kiwnęła potakująco głową.

– Ależ, moja duszko, jak ty to sobie wyobrażasz?! – oburzył się pan Jędrzej.

– Żabko, to absolutnie niemożliwe! – wtórował mu Błażej.

– Przecież wiesz, jak Błażej jest nieodpowiedzialny!

– Mówiłem ci, że z ojcem nie da się rozwinąć kancelarii!

– Błogosławię chwilę, w której odszedł na swoje! – Sakowicz senior uniósł ręce do góry, jakby rzeczywiście komuś lub czemuś błogosławił.

– Od momentu gdy założyłem własną kancelarię, rozwinąłem skrzydła! – Sakowicz junior rozłożył ręce niemal jak skrzydła i zatrzepotał nimi w powietrzu.

– Duszko, to niemożliwe, żebyśmy ponownie razem pracowali!

– Absolutnie nie wyobrażam sobie powrotu do współpracy, żabko!

– On musiałby się absolutnie zmienić i stać się choć trochę podobny do mnie.

– Ojciec się już nigdy nie zmieni, to pewne.

– To by była klęska i męczarnia.

– Taka współpraca skończyłaby się katastrofą – przewidywał Błażej ponuro.

– Zaprzepaściłbym, duszko, długi dorobek kancelarii Sakowiczów.

– Nie po to pracowałem ostatnio na własne konto...

– Nie zrobisz mi tego, prawda, duszko?

– Żabko, chyba nie chcesz mnie do tego zmusić?

Uważny Czytelnik z pewnością dostrzegł, że początkowo wypowiedzi obu panów autor kończył wykrzyknikami. Kolejne ich kwestie były już ich pozbawione, a ostatnie nawet należałoby zwieńczyć jakimś nowym znakiem interpunkcyjnym, który wskazywałby na bardzo cichy i nad wyraz spokojny ton, nieprzystający wręcz do treści wypowiedzianych słów. Te, których autor z sympatii do obu panów, już nie cytuję, były właściwie coraz bardziej skamlące i błagalne. Ich żony wysłuchiwały ich z dużym spokojem, popijając herbatę i jedząc ciasto. Ania wprawdzie parę razy miała ochotę odpowiedzieć Błażejowi mocniejszym słowem, ale teściowa powstrzymywała ją delikatnym gestem ręki.

– Dlaczego nie pijecie herbaty i nie próbujecie ciasta? – zapytała w końcu zdziwiona pani Helena i dodała z wyrzutem:

– Tak się z Anią starałyśmy, żeby wyszło jak najlepsze.

– Ale przecież... – próbował zaoponować słabnącym i nieco już chrypiącym głosem Sakowicz senior.

– Jakie „ale”, Jędrzeju? Jest pyszne ciasto i herbata, nie psujmy atmosfery bezsensownymi dyskusjami. Prawda, Aniu?

– Zgadza się.

– No ale kancelarie... – wybąkał nieśmiało Błażej.

– Nie ma żadnych kancelarii – stwierdziła łagodnie Ania, a zadowolona z jej riposty teściowa dodała:

– Jest tylko kancelaria Sakowicz & Sakowicz. A teraz spróbujcie wreszcie tego ciasta, bo się na was obrazimy. A tego na pewno byście nie chcieli.

Jacek stał wciąż pośrodku hali przylotów i wpatrywał się w jakiś punkt obok Malwiny, zupełnie nie reagując na to, co powiedziała.

– No to jesteście – powtórzyła Malwina. – To znaczy w pewnym sensie jesteście.

Przypadek nawet nie drgnął, choć dziennikarka odniosła wrażenie, że nawet delikatnie się uśmiecha. Ale nie tak po swojemu, ironicznodobrotliwopobłaźliwie, tylko ciepło i sympatycznie. Dawno już nie widziało tego jego uśmiechu i pamiętała, że wiele by dała, aby go zobaczyć. Jednak w tej chwili bardziej ją przerażał, niż cieszył.

– Jacek, dobrze się czujesz? – Podeszła do detektywa i potrząsnęła nim. Przypadek spojrzał na nią półprzymtomnie i oświadczył:

– Widziałem ją obok ciebie.

– Kogo?

– Basię – przyznał cicho.

– Przyleciała razem ze mną. Ale zabrali ją od razu do zakładu pogrzebowego. Wiesz, nie mogłam urny z prochami przewozić w bagażu podręcznym.

– Rozumiem. Gdzie reszta twoich rzeczy?

– To wszystko, co mam. – Pokazała na plecak przewieszony przez jedno ramię. – Reszta ubrań mi się zdarła przez ten rok i zostało mi tylko tyle.

– Dokąd cię odwieźć?

– Mówiąc szczerze, gdy wyjeżdżałam z Warszawy, to zwolniłam mieszkanie.

– Jasne. Chodź.

W drodze na postój taksówek obok lotniska oboje milczeli. Kiedy jechali na Konecką 40, detektyw zdobył się tylko na pytanie „Jak lot?”, na które usłyszał odpowiedź „W porządku”. Bez słowa dotarli również na czwarte piętro i weszli do mieszkania. Malwina dyskretnie się po nim rozglądała. Nie była tu już kilka lat, trochę się zmieniło. Jak na konserwatystę, którym mienił się Przypadek, to nawet sporo. Ale pewne zmiany były zrozumiałe. W końcu został detektywem, więc miał coś w rodzaju gabinetu ze szklaną kulą jasnowidza, na którą był naciśnięty melonik w stylu Herkulesa Poirota.

To jednak były w gruncie rzeczy drobiazgi. Cały czas czuć się można było tutaj nie jak w mieszkaniu dorosłego mężczyzny, tylko chłopca, który wciąż świetnie bawi się swoim życiem. Nic nowego. Może poza jedną bardzo ważną rzeczą. Najważniejszą rzeczą. Zdjęciem w kuchni, które Malwina świetnie знаła, a na którym przez wiele lat widniała uśmiechnięta Basia w puchowej kurtce na tle ośnieżonych szczytów. Teraz go tu nie było. A raczej zamiast niego uśmiechała się z fotografii inna kobieta.

– Czy to ta była modelka, z którą się minęłam, gdy odwiedziłam cię przed wyjazdem? – zapytała dziennikarka.

– Tak, to ona.

– To widzę, że bardzo dużo się u ciebie zmieniło – stwierdziło sucho Malwina. Poczula jakby ostatni rok, a nawet ostatnich kilka lat przeżyła kompletnie bez sensu. Wszystko, co robiła, do czego dążyła, rozpadło się jak domek z kart. – Może chcesz chociaż dowiedzieć się, jak Basia...

– Czytałem cały czas twojego bloga. Przecież pisałaś go dla mnie.

– Dokumentowałam wyprawę.

– To mogłaś zrobić, zapisując notatki w komputerze.

– Chciałam, żeby o tej wyprawie usłyszało więcej osób. Łatwiej mi będzie sprzedać książkę o niej, bo nie wiem, czy mam ochotę wracać do dziennikarstwa.

– Malwina, ja wiem, że raz udowodniłaś mi już, iż ludzie niekoniecznie są banalnie przewidywalni, ale nie trzeba być mną, żeby zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś. Tak, pamiętam dokładnie, co ci kiedyś powiedziałem. Że dopóki nie będę miał pewności, że Basia nie żyje, nie będę potrafił związać się z nikim na stałe. I nie będę potrafił kogoś innego pokochać...

– Ale spotkałeś tę Małgosię Urbanek i zmieniłeś zdanie. Tylko że ona chyba też nie żyje.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– A pamiętasz, jak mówiłeś, że gdybym znalazła Basię i gdyby okazało się, że nie możesz z nią być, to wtedy zamieszkałbyś ze mną? Pewnie nie pamiętasz, to przecież była jakaś nudna impreza siedem lat temu, a ty wypiliśmy parę drinków i zacząłeś mi wróżyć z ręki. – Wściekłość Malwiny rosła z każdym słowem. – Twój stały sposób na podryw. Boże, ile kobiet dało się na niego nabrać! Właściwie sama nie wiem, dlaczego ci wtedy uwierzyłam. I pomyślałam, że jeśli kiedyś będę chciała, to znajdę Baškę martwą czy żywą i przyprowadzę ją do ciebie, i zapytam, czy pamiętasz! Ale nie, ty nie pamiętasz, pewnie nawet następnego dnia już o tym nie pamiętałeś...

– Zawsze o tym pamiętałem. I byłem pewien, że jesteś jedyną szansą na wyjaśnienie, co się z nią stało – przerwał jej Jacek i dodał: – Mam bardzo duże łóżko. Jakoś się w nim pomieścimy...

JUŻ W KSIĘGARNIACH

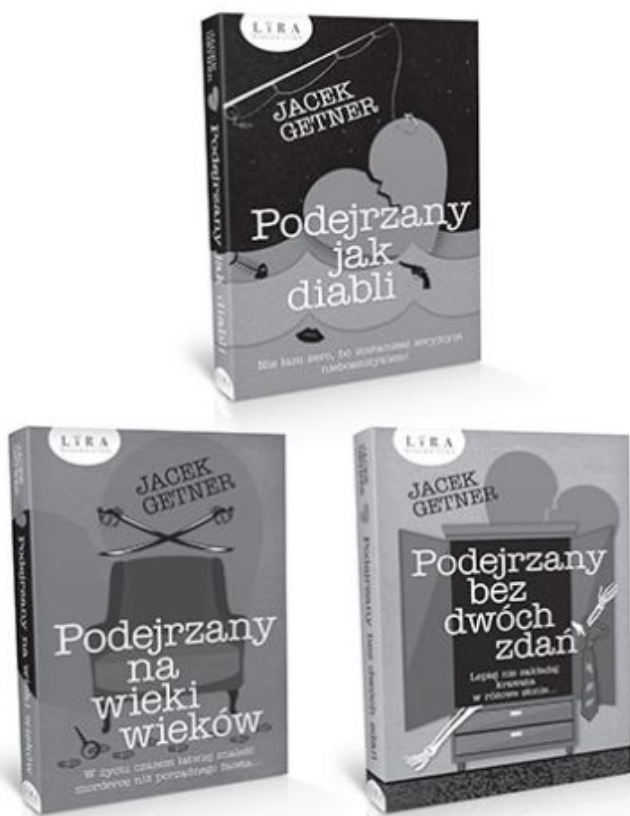


Polecamy serię komedii kryminalnych z genialnym detektywem Jackiem Przypadkiem w roli głównej. Łączy on w sobie przenikliwość Sherlocka Holmesa z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a.

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



„Kryminał to taki romans, tyle że z trupem w tle”
– mawia jedna z bohaterek doskonałych komedii kryminalnych Jacka Getnera. Te książki to najlepszy dowód na to, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony!

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

Detektyw Przypadek rozwiązuje sprawy, w które zamieszani są autorzy kryminalów. Próbuje uwolnić młodego pisarza o afrykańskich korzeniach od zarzutu zabójstwa znanej kolekcjonerki sztuki nowoczesnej, a także szuka zaginionego pomysłu uznanego autora, który przeżywa twórczy kryzys. Rozwiązuje również zagadkę dotyczącą autorstwa pewnego bestselleru, do którego napisania przyznają się jednocześnie Cesarzowa, Caryca i Sultán polskiego kryminału.



Jackowi Przypadkowi w śledztwach pomagają warszawscy zbieracze złomu oraz duet policjantów: Łoś i Smańko. Jednak sukces gwarantuje mu przede wszystkim wrodzona przenikliwość Sherlocka Holmesa połączona z łobuzerskim wdziękiem porucznika Borewicza i irytującym charakterem doktora House'a.



„Dziesięciu Mulatków” to kolejna część z cyklu doskonałych komedii kryminalnych, w których nic nie dzieje się przypadkiem, a wszystko dzieje się z Jackiem Przypadkiem!



Jacek Getner

– wicehrabia polskiej komedii kryminalnej. Autor m.in. książki o genialnym detektywie Jacku Przypadku, pomysłodawca i fundator corocznej nagrody „Zbrodnia z przymrużeniem”, laureat nagród dramaturgicznych, w tym Nagrody im. Rolanda Topora. Wyznaje zasadę, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony. Swoją przygodę z pisaniem zaczął od tworzenia zabawnych reklam, by potem stać się współscenarzystą serialu „Daleko od noszy”.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat
medialny:

PORTAL
KRYMINALNY



ISBN: 978-83-67388-75-7



cena:
39,99 zł
(w tym
5% VAT)